



Liryczne Jasio



Liryczne Jaśło

Wiersze i opowiadania
z XXIV Ogólnopolskiego Konkursu
Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży

Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
Jaśło 2019

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle | 2019

www.mbp.jaslo.pl

Copyright by

Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle

Redakcja: Magdalena Chart

Projekt okładki i opracowanie graficzne:

Małgorzata Smyka

ISBN 978-83-940901-5-9

spis treści

7	Entuzjazm, pomysłowość i inne jakości
9	Lista osób nagrodzonych
14	Kategoria I szkoły podstawowe, klasy 3-6
52	Kategoria II szkoły podstawowe, klasy 7-8 i klasy gimnazjalne
122	Kategoria III szkoły ponadpodstawowe

Entuzjazm, pomysłowość i inne jakości

Wydaje się, że nie tak dawno jasielski Ogólnopolski Konkurs Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży „Liryczne Jasło” obchodził swoją XX edycję, a tu szybkim krokiem zbliża się już edycja XXV. To jednak dopiero przed nami, tymczasem za nami edycja XXIV, której niniejsza antologia jest zwieńczeniem.

Powiedzieć, że OKLTDiM, organizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle, ma się dobrze, to powiedzieć mało. Bez przesady można stwierdzić, że ten konkurs, adresowany do najmłodszych i młodych entuzjastów literatury, nie tylko wpisał się na stałe w kalendarz ogólnopolskich imprez literaturze poświęconych, ale należy do najważniejszych konkursów tego typu w naszym kraju. Najbardziej oczywistym i wymiernym tego potwierdzeniem jest liczba prac, jakie co roku napływają do Jasła z całej Polski a nawet z zagranicy. Gwoli statystycznej ścisłości powiedzmy, że na XXIV edycję OKLTDiM „Liryczne Jasło” wpłynęło łącznie 715 utworów autorstwa 330 osób. Dodajmy, tytułem przypomnienia, że konkurs obejmuje utwory poetyckie i prozatorskie. W tej drugiej kategorii dominują opowiadania, ale trafiają się również eseje, fragmenty dzienników czy teksty z pogranicza opowiadania i reportażu.

Od lat jury jasielskiego konkursu jest pod wrażeniem poziomu nadsyłanych prac, zdradzających nie tylko literackie fascynacje młodych autorów, ale również niemałą biegłość warsztatową i dociekliwość w obserwowaniu rzeczywistości oraz artykułowaniu owych obserwacji. Cieszą nas również te utwory, w których piszący ujawniają niemałą erudycję, ale też świadomość pisarską, wyrażającą się w grach z literackimi gatunkami, stylami, konwencjami. Oryginalność niektórych pomysłów i sprawność ich literackiej realizacji pozwalają na sytuowanie takich utworów w zasadzie wśród literackiego zawodowstwa.

Nie inaczej ma się rzecz w bieżącej edycji jasielskiego konkursu. W poezji najbardziej przypadły nam do gustu wiersze gęste, zwarte,

oszczędne w środkach wyrazu, ale zarazem pomysłowo odświeżające jakiś literacki koncept, obraz, topos. Z kolei w prozie podobały się nam narracje intymistyczne (forma dziennika, pamiętnika), ale również dowcipne i inteligentne trawestacje znanych autorów (Gombrowicz) czy gatunków (kryminał). Pojawia się też od kilku lat coraz więcej dobrych i bardzo dobrych opowiadań o tematyce historycznej. Autorzy tych tekstów sięgają nierzadko do wydarzeń i postaci z historii lokalnej, którą znają również ze wspomnień swoich rodziców i dziadków. Cieszy owa różnorodność, gdyż świadczy o otwartości młodych adeptów pióra na „nieobjętą ziemię” literackich pomysłów, stylów, gatunków, języków.

Od kilkunastu lat jury jasielskiego konkursu pracuje w tym samym składzie, który tworzą: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, eseista, dramaturg). Wstępnej lektury i oceny prac dokonują jasielskie polonistki. Cienimy sobie tę współpracę, więc pragniemy za pomoc podziękować paniom: Annie Kamińskiej-Grzesiak, Annie Bełdzie, Renacie Erban i Katarzynie Koczwarze.

Jasielski konkurs ma kolejne edycje, gdyż literatura wciąż jest dla młodych ludzi ważna. Pomaga poznawać siebie i świat, stanowi przedmiot estetycznych fascynacji, umożliwia wypowiedzenie tego, co egzystencjalnie niepokoi, uwiera, boli, ale też cieszy, fascynuje, rozwija i umacnia. Bywa zapewne ucieczką od monotonnej, banalnej codzienności, ale zachęca także do podróży w głąb rzeczywistości, stając się przestrzenią ważnych inicjacji w to, co ogólnie zwiemy człowiekiem i światem. A wyjątkowość literackich inicjacji polega na tym, że dowiadujemy się niemało o sobie i świecie poprzez czytanie i pisanie. Cóż więc powiedzieć na koniec? Czytajmy i piszmy! Piszmy i czytamy!

Grzegorz Kociuba

Lista osób nagrodzonych

Kategoria I

Szkoły podstawowe, klasy 3-6

Wiersze

Miejsce 1

Domis – Dominika Skiba, kl. 6 PSP nr 12 Stalowa Wola
– *cykl wierszy*

Miejsce 2

Herbatka – Julia Musiał, kl. 5 Klub Literacki „Pegazik”
MDK „Iskra” Piła – *cykl wierszy*

Miejsce 3

Wiki – Wiktoria Truszkowska, kl. 6 PSP nr 12 Stalowa Wola
– *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Kuba M. – Jakub Miklus, kl. 6 PSP nr 12 Stalowa Wola
– *Jakubowe haiku*

Miszka – Michał Skowronek, kl. 6 SP nr 33 Bytom – *cykl wierszy*
Pachnąca róża – Agnieszka Rosińska, kl. 5 Grupa poetycka
Art Ovo Centrum Praktyk Artystycznych Międzyrzec Podlaski
– *cykl wierszy*

Zuza – Zuzanna Kopczyńska, kl. 6 SP nr 7 Łódź – *cykl wierszy*

Opowiadania

Miejsce 1

Torpeda – Zuzanna Armata, kl. 5 SP nr 1 Frysztak
– *cykl opowiadań*

Miejsce 2

Magda. K – Magdalena Kopyto, kl. 5 PSP nr 12 Stalowa Wola
– *cykl opowiadań*

Miejsce 3

Olek 2007 – Aleksandra Pietrzycka, kl. 5 ZS Czemierniki
– *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Brzoza – Katarzyna Karaś, kl. 5 OSM I st. Kraków – *Trzy pamiątniki*
Juedka – Julia Ueda, kl. 5 SP nr 9 STO Warszawa – *Sąsiad*
Kora – Kornelia Mikrut, kl. 5 SP nr 4 Jasło – *Orzełek na czapce*
Zein – Jan Kocot, kl. 4 SP nr 36 Bytom – *cykl opowiadań*

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8 i klasy gimnazjalne

Wiersze

Miejsce 1

Aaria – Klaudia Szynal, kl. 3 gimnazjalna SP nr 2 z Oddziałami
Dwujęzycznymi Jasło – *cykl wierszy*

Miejsce 2

Gosix – Małgorzata Sobkiewicz, kl. 3 gimnazjalna PSP nr 12 Stalowa Wola – *cykl wierszy*

Miejsce 3

Emilia – Emilia Bednarz, kl. 8 SP Staświny – *cykl wierszy*
Personifikacja – Gabriela Bochenek, kl. 3 gimnazjalna SP nr 1
Ustrzyki Dolne – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Amber – Magdalena Oksińska, kl. 7 ZSiPP nr 3 PSP nr 5
Ostrowiec Świętokrzyski – *cykl wierszy*
Autorka – Joanna Wyrzykowska, kl. 3 gimnazjalna SP nr 2 Siedlce
– *cykl wierszy*
Mał-Goś – Małgorzata Chodyka, kl. 7 ZPO nr 3
Międzyrzec Podlaski – *cykl wierszy*

Princessa – Julia Jabłońska, kl. 3 gimnazjalna SP Bądkowo
– *cykl wierszy*

Opowiadania

Miejsce 1

Aurora – Julia Kawalec, kl. 3 gimnazjalna SP Czudec
– *cykl opowiadań*

Zwiad 36 – Julia Gorący, kl. 7 ZS-P nr 3 Kościerzyna – *Oaza*

Miejsce 2

Banachówka – Zuzanna Banach-Dziura, kl. 3 gimnazjalna SP nr 2
z Oddziałami Dwujęzycznymi Jasło – *Dmuchawce z tamtych lat*

Miejsce 3

Towarzysz M. – Maciej Serżysko, kl. 8 SP nr 1 Witkowo – *Wołodia*

Wyróżnienia

Czytelniczka x16 – Natalia Kędreń, kl. 3 gimnazjalna SP nr 2
z Oddziałami Dwujęzycznymi Jasło – *Sara*

Ina 2 – Ina Kłopotowska, kl. 3 gimnazjalna SP nr 24 Białystok
– *Mrowisko*

Jarzy – Jakub Murak, kl. 8 SP nr 16 Studzienice – *cykl opowiadań*

Tauriel – Iga Rusek, kl. 8 II SP STO Gdańsk – *Półzbliżenie*

Kategoria III Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

Miejsce 1

Los – Klaudia Soczewka, kl. 1 Klub Literacki „Pegazik” MDK
„Iskra” Piła – *cykl wierszy*

Miejsce 2

Eirene – Katarzyna Krysa, kl. 3 II LO Jasło – *cykl wierszy*

Miejsce 3

Rossie – Magdalena Cebula, kl. 2 ZSO Głogów Małopolski
– *cykl wierszy*

Wyróżnienia

EmilkeK – Emilia Kiełtyka, kl. 2 I LO Gliwice – *cykl wierszy*
Karosia – Karolina Leśniak, kl. 1 I LO Jasło – *cykl wierszy*

Opowiadania

Miejsce 1

Cała – Aleksandra Niełacna, kl. 3 III LO Kalisz
– *Kot Schrödingera postanawia umrzeć*

Miejsce 2

m&m – Magdalena Moś, kl. 2 ZSO nr 2 Nowy Targ
– *Mój kochany Pan Dodo*

Miejsce 3

Hermenegilda – Magdalena Łukasik, kl. 1 V LO Kraków
– *Dziennik pokładowy małego Stworzyciela*

Wyróżnienia

Bjørn Dostojewski – Nikodem Rzepnicki, kl. 1 II LO Sieradz
– *Przyjaciel*

Buba – Jakub Krzymiński, kl. 3 II LO Gniezno – *cykl opowiadań*

Etiam – Katarzyna Soja, kl. 4 ZS Mielec – *cykl opowiadań*

Lily – Jagoda Sałdyka, kl. 2 LO Tarnobrzeg – *cykl opowiadań*

Mistrz Bogumił – Jan Skoumal, kl. 2 ZS Głubczyce

– *Serce ludwisarza*

Niewieski – Adrian Jacecko, kl. 3 VI LO Kielce – *Przodkowie*



Kategoria I

Szkoły podstawowe, klasy 3-6

Wiersze

Miejsce 1

- 15 Dominika Skiba: *Muszę się uanielić*

Miejsce 2

- 15 Julia Musiał: *Przyznam się*

Miejsce 3

- 16 Wiktoria Truszkowska: *Dorastanie*

Wyróżnienia

- 16 Jakub Miklus: *Jakubowe haiku*

- 17 Michał Skowronek: *Przed podróżą*

- 18 Agnieszka Rosińska: *List otwarty do Poety*

- 19 Zuzanna Kopczyńska: *Popękana*

Opowiadania

Miejsce 1

- 20 Zuzanna Armata: *Kolejny rok w wystrzałowej rodzinie*

Miejsce 2

- 23 Magdalena Kopyto: *Brygada Eko wkracza do akcji*

Miejsce 3

- 27 Aleksandra Pietrzycka: *Testament ojca*

Wyróżnienia

- 29 Katarzyna Karaś: *Trzy pamiątniki*

- 37 Julia Ueda: *Sąsiad*

- 43 Kornelia Mikrut: *Orzełek na czapce*

- 48 Jan Kocot: *Ciapeczek i tajemnicze urodziny*

Dominika Skiba (Domis), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Muszę się uanielić

Zszataniałam
Pakuję
kłamstwa
walizka ledwo się domyka

Chwytam
obłudę
zapiera się nogami

Jak wejść do nieba
Z walizką ciężką jak diabli

Muszę się uanielić

Julia Musiał (Herbatka), kl. 5
Klub Literacki „Pegazik” w MDK „Iskra”
w Pile

Przyznam się

Gdybym mogła się spowiadać
ze wszystkich swoich grzechów.
Nie tylko z zimnej herbaty
i tykającego zegarka.
Gdy w garść biorę
ogół błędów myślę:
„A kiedy przyznam się do reszty?”
A kiedy przyznam się do siebie?

Wiktoria Truszkowska (Wiki), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Dorastanie

Rozrzucam myśli
w bałaganie oddechów
biorę ślub z panią Smartfonową
tata wygłasza monolog
do głuchego pokoju
A ja?
Dorastam
bez celu
Gdy dorosnę
uczeszę myśli
wezmę rozwód
z pożeraczem czasu
polubię dialog
chyba

Jakub Miklus (Kuba M.), kl. 6
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Jakubowe haiku

Horyzont płacze
rzuca strugami deszczu
tęcza znów rządzi

*

Cienkie leszczyny
głaszczą ścianę sąsiada
drzewa łysieją

*

Zachodnie niebo
krwią barwi jesienny las
czern zachwyca świat

*

Lipcowy ranek
letni wiatr czesze trawy
dzięcioł stuka w pień

Michał Skowronek (Miszka), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 33
w Bytomiu

Przed podróżą

Poświęcam mojej ukochanej śp. Babci

Coraz więcej zapomina
Mylą jej się strony świata i mikrokosmos zaciera
Często czuje się jak stara kobieta,
jakby czas w niej zastygł.
Tak wie, nie zasłużyła sobie jeszcze na starość
pachnącą kadzidłem i drewnem kościelnych ławek
Na ten spokój wieczny
zwany świętym.

Wie, ale pakuje się powoli.
Układa wspomnienia,
jak swetry na półkach.
Od tych najbrzydszych,
najbardziej nielubianych.

Nie kupuje filizanek,
nowych mebli.

Odpowiada na listy i niby żartem prosi,
żeby nie przykrywali jej granitem.
Choć tak lubi czarny kolor i błyszczące ozdoby.

Nie boi się kresu,
ale tej niepamięci, że nie odwróci już głowy,
kiedy usłyszysz mamę.

Agnieszka Rosińska (Pachnąca róża), kl. 5
Grupa poetycka Art Ovo
w Centrum Praktyk Artystycznych
w Międzyrzeczu Podlaskim

List otwarty do Poety

Tadeuszowi Różewiczowi

Ludożercom znowu jest dobrze na świecie
A kto jest dziś ludożercą – czy wszyscy Państwo wiecie?
Ludożerca to ten, który z twojego nieszczęścia się cieszy
i nigdy nikomu z pomocą nie pośpieszy.
Ludożerca jest szczęśliwy i głośno się śmieje,
gdy tobie źle się dzieje!
To on wpycha się w kolejkę
i wyciągniętą do niego rękę
odtrąca...

Panie Poeto!

Moja sprawa, mój dom, moje pieniądze,
moja ławka, moja praca, moje żądze...
To wciąż jest na czasie!
Nic się w tej sprawie nie zmieniło,
człowiek człowiekowi wilkiem – tak jest i tak było...

Zmartwychwstać łatwo nie będzie,
bo złość, buta i egoizm panoszą się wszędzie!

Zuzanna Kopczyńska (Zuza), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 7
w Łodzi

Popękana

Jestem popękaną filiżanką
Posklejaną powiewem czasu.
Ból pali od wewnątrz
Wlany niczym wrzątek.
Wypływa przez szpary
Niedomkniętych pęknięć.
Porcelanowa ja, krucha czy twarda?
Pobladła, poraniona,
Kiedy ostudzę żal
W ramionach czasu,
Wystygnie żar
Pokonany chłodem.
Wyrzucę filiżankę i pójdę
Poszukać nowej szklanki...

Zuzanna Armata (Torpeda), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 1
we Frysztaku

Kolejny rok w wyrzutowej rodzinie

Dzień dobry! Na początku się przedstawię i wyjaśnię, o co chodzi z tym rokiem w wyrzutowej rodzinie.

Mam na imię Zuzia i jako jedenastolatka czuję, że świat powoli zaczyna należeć do mnie i tylko do mnie. Podobno to typowe wśród dzieci w tym wieku, ale u mnie to chyba coś więcej niż tylko stereotyp. I żeby nie było: wcale mi się nie wydaje! Generalnie... to chodzi o piątą klasę Szkoły Podstawowej we Frysztaku i wbrew przeciętnej naturze statystycznego ucznia – ja naprawdę lubię język polski. Wracając do tytułu mojego opowiadania, chcę wyjaśnić, dlaczego tak brzmi. Kluczem do odpowiedzi jest moje nazwisko. Mianowicie... Ja, moja siostra, moja mama, mój tata, moja babcia i mój dziadzio solidarnie mamy na nazwisko: Armata. Więc jaki ma być rok, jak nie w wyrzutowej rodzinie? Wiem, że trudno będzie w to uwierzyć, ale wszyscy mieszkamy w Twierdzy – to taka miejscowość w gminie Frysztak. Z militarnego punktu widzenia jesteście więc najbardziej bezpieczną rodziną w Polsce – sześć „Armat” w jednym domu.

Mój tata zawsze rozpoczyna nowy rok od Reduty Ordona Adama Mickiewicza, cytując pierwsze dwa wersy opowiadania adiutanta: „Nam strzelać nie kazano – Wstąpiłem na działo i spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało”, a mama składa życzenia w stylu: „życzę, aby Wam się dobrze działo, a że dobre działo to armata, więc żeby wam się armaciło”. Podsumowując: Armata z Twierdzy to brzmi dumnie...

Nowy Rok 2019 rozpoczął się od fajerwerków o północy, która otworzyła kolejny rozdział mojego życia. Sylwestra spędziłam z moją koleżanką, Martyną. Nie spałyśmy do rana! Nasze tańce,

śpiewy i hulanki uspiły moją siostrzyczkę Wiktorię i nie pozwoliły zmrużyć oka babci i dziadziowi. Rodzicom się udało, bo byli na balu, przez co nam też się udało...

Kolejnym elementem układanki były postanowienia noworoczne. Jak na armaty przystało, mama na dzień dobry wystrzeliła o odchudzaniu, a tata wybuchł, że on nie ma zamiaru, ja bez zastrawienia palnęłam o nowej komórce, a moja siostra rozbroiła wszystkich tym, że jej postanowieniem jest zwiększenie ilości zjadanych słodczy.

Na szczęście, udało się wybrać pokojowe rozwiązanie w postaci wprowadzenia do naszego życia nowych dyscyplin sportowych oraz wyjazdów turystycznych. Przez głowę przeszła mi tylko jedna myśl: „dobrze, że nie strzelanie”.

Harmonię nastolatki zburzył już drugi dzień nowego roku wraz z pierwszą lekcją w szkole. Na szczęście był też język polski, który zagospodarował mi początek nowego roku poprzez udział w konkursie literackim, w ramach którego piszę to wypracowanie.

Nie chcę być egoistką, dlatego nie będę pisać tylko o mnie. Na początek obgadamy moich rodziców. Oboje WF-iści, co sprawia, że mam doskonale zagospodarowany czas pomiędzy nauką a sportem. Kultura fizyczna w naszym domu dorównuje kulturze osobistej i dyplomacji, która ma za zadanie wychować mnie i siostrę na wartościowych ludzi – temat znany w niejednym domu, w którym dorastają dzieci. Mówiąc krótko, połączenie zdrowia z wiedzą i dobrymi manierami są, według moich rodziców, strzałem w dziesiątkę. Ja co do tego mam spore wątpliwości, ale o tym w dalszej części opowiadania.

Teraz napiszę coś o mojej siostrze, z którą rodzice nie mają tak łatwo jak ze mną. I nie piszę tego tylko dlatego, że to moja młodsza siostra. Wiki to prawdziwa rozrabiarza, która ma swoje sposoby, aby zmiękczyć każdego. Nawet ja się nabieram na te jej sztuczki i kocie oczy proszące o wybaczenie za każdym razem, gdy coś zbroi.

Z kolei babcia i dziadzio to najbardziej roztropne osoby w naszej rodzinie, które znajdują zawsze idealne rozwiązanie na wszystkie wątpliwości naszego armaciego świata.

Każdy rok w mojej rodzinie to eksplodująca bomba rozpadająca się na milion odłamków, które jak puzzle można poukładać w jeden wielki obraz przedstawiający nasze życie. Jeździmy na nartach, pływamy, biegamy, gramy w tenisa, uprawiamy siatkówkę i ścigamy się na rolkach. Czasem tylko zastanawiam się, kiedy zaczniemy latać, ale akurat ten pomysł boję się podsunąć rodzicom, bo jeszcze wezmą to na poważnie.

Tylko nie myślcie, że moje życie przemija w biegu z zadyszką i z językiem na brodzie. Zdarza nam się czasem poświęcić trochę czasu na, tak zwany, Family chillout, którego zadaniem jest niby wypoczynek. I tu chciałam wrócić do zagadnienia dobrych manier. Wszystkiego nie zdradzę, ale i w naszej rodzinie zdarza się niepoprawne zachowanie, które polega na leżeniu na plecach i wpatrywaniu się w telewizor; że o komórkach nie wspomnę. Do tego dochodzi jedzenie czekolady i picie niezdrowych napojów. Jeśli jesteśmy przy temacie żywienia, to trudno nie wspomnieć o naszym armacim menu, którego motywem przewodnim są, oczywiście, granaty.

Najgorsze są te wystrzałowe pomysły mamy związane z sobotnimi porządkami w domu. Nie jest to łatwe zadanie, ponieważ Wiki w dwie minuty zrobi więcej bałaganu niż my wszyscy w ciągu godziny jesteśmy w stanie posprzątać. Gdyby jakimś cudem udało się ten proces odwrócić, pewnie Wiktoria zlikwidowałaby problem śmieci na świecie.

W naszym domu, tak jak w każdej rodzinie, są lepsze i gorsze chwile, z tą różnicą, że u nas nie wiadomo, co jest gorsze. Wygląda to tak, że wiszące w powietrzu napięcie najczęściej eksploduje jakimś fajnym wyjazdem turystycznym; z kolei sielanka niesie ze sobą ciszę, której motywem przewodnim jest nieprzyjemne bzyczenie komara.

Nie da się ukryć, że w naszej rodzinie jest fajnie i jestem pewna, że kolejny rok będzie nie tylko wystrzałowy, ale przyniesie wiele niespodzianek i będzie eksplodował dobrą energią, którą uda się obdarować naszych znajomych i przyjaciół.

Magdalena Kopyto (Magda. K), kl. 5
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Brygada Eko

wkracza do akcji

Atramentowy mrok nocy spowił ostępy boru sosnowego. Ciemność pory dnia zalała czernią ażurową ścianę okolicznego sitowia. Nieśpieszny podmuch wiatru lekko rozchylił konary ponadstuletnich drzew. Było spokojnie, mrocznie i cicho. Potężny puchacz, rozochocony nastrojem nocnej przygody, rozpoczął zaloty do strojnejszej w wiosenne pióra szaropopielatej sowy...

Wtem leśny ład kwietniowej nocy zburzył bulgot starego silnika. Narastał pomruk rytmicznych taktów. Pojawiły się światła. Samochód, wleczący za sobą warkocze śmierzących spalin, wolno wtoczył się na polanę. Dwóch ludzi, w służbowych uniformach, wyskoczyło z szoferki i rozchyliło plandeki naczepy. Kilkoma ruchami zgarnęli jej zawartość do przygotowanego wcześniej dołu. Działali szybko i niezwykle sprawnie. Dół zasypali niechlujnie i wskoczyli do wozu. Zaczęli cofać, gdy nagle, jakby wielka siła, zatrzymała dostawczy samochód. To, co zobaczyli mężczyźni, całkowicie ich sparaliżowało. Przerazenie odebrało im możliwość wykonania jakiegokolwiek ruchu. Zamarli z otwartymi ustami...

*

Klara właśnie skończyła jeść obiad. Odgarnęła warkocze, otarła usta chusteczką i uśmiechnęła się do swoich myśli. Szkolna stolówka to miejsce, gdzie trudno jest spokojnie porozmawiać. Przeżuwanie klusek z serem wymaga skupienia nie lada. Produkcja śliny absorbuje tyle energii młodego człowieka, że w zasadzie brakuje jej potem na inne podstawowe czynności życiowe. Jak tu jeszcze pogadać o ważnych sprawach... Czy nie mogliby codziennie serwować kurczaka?

Na szczęście zegarek marki Super Watch jest niezawodny. Klara jednym kliknięciem wezwała swoich przyjaciół. Niecałe dziewięćdziesiąt sekund zajęło Eko – Brygadzie stawienie się w komplecie na miejscu zbiórki. Szkolny korytarz, piętro drugie, skrzydło zachodnie. Wszyscy przynieśli ze sobą składniki tajnej broni. Mieli jutro użyć jej po raz pierwszy. Na twarzach ich widoczny był grymas skupienia i żądzy powszechnej sprawiedliwości...

*

– Kochani! Lekcja informatyki nie służy do tego, by bawić się zegarkami – powiedziała lekko podniesionym głosem pani Nowak.
– Klara! No, ty już chyba naprawdę przesadzasz! Proszę, opowiedz wszystkim, o czym rozmawialiśmy na poprzedniej lekcji!

– Ależ proszę pani, ja jestem pochłonięta programowaniem emisji trójwymiarowej rzeczywistości. Razem z Tomkiem i Marcinem tworzymy obraz hologramowy...

– Proszę, przestań fantazjować! – powiedziała zniecierpliwiona całą sytuacją pani. – Jeśli nie będziecie potrafili poprawnie zrealizować zadań właściwych dla jedenastolatków, to fantazjowanie o hologramach zawiedzie was na manowce!

– Ale, proszę pani, my...

– Dosyć! Koniec dyskusji. Odkładamy gadżety do szuflady! Stawicie się po nie wraz z rodzicami!

Wystraszeni spojrzeli po sobie. Plan zawisł na włosku! Nie było czasu na konsultacje. Każdy był zdany na własne zasoby sprytu...

*

– Uff, udało się – Klara z uśmiechem popatrzyła na Marcina. Lubiła go bardziej niż innych chłopców w klasie.

Spotkali się wieczorem na tyłach szkoły. Plac zabaw nie był od dawna używany, wręcz trochę straszyl powyginanymi urządzeniami do zabawy. Karuzela zardzewiała całkowicie – lepiej było jej nie dotykać, by hałasem nie wzbudzić zainteresowania połowy osiedla.

Marcin spojrzął na Klarę zalotnie: – Co wrzuciłaś do szuflady?

- Stare casio mojego brata, he, he...
- Spryciula z ciebie.
- A ty jak dałeś sobie radę?
- Baśka podała mi swój czasomierz komunijny...
- Super. Ale prawie polegliśmy. A przecież jutro działamy, nie?
- Tomek ze swoim dziadkiem – leśniczym dzisiaj sprawdził rozlokowanie kamer i dopinają ostatnie szczegóły rozpoznania planu działania bandziorów.
- Słuchaj, a czy my nie powinniśmy iść z tym na policję?
- Nic to nie da. Na pewno bandziory mają informatorów na komendzie. Mój tato mówi, że ich działanie to nie tylko niszczenie przyrody, ale też wielki biznes. Podobno szefowie całego procederu mogliby kupić sobie całą naszą szkołę wraz z nauczycielami...
- Dobra, dość gadania. Widzimy się jutro w szkole i nie korzystamy z zegarków. A wieczorem akcja. Spotkanie w leśniczówce dziadka Tomka.

*

Dobrze, że dzień w szkole minął szybko. Lekcje upłynęły pod znakiem zaangażowania myśli gdzie indziej...

Troje przyjaciół z jednej klasy od kilku tygodni przygotowywało projekt walki o czyste środowisko. Najpierw przeglądali lokalne portale internetowe, potem rozmawiali z rodzicami, w końcu „ruszyli w teren”. Trafili do leśniczego Kujawiaka, dziadka Tomka, który nie potrafił poradzić sobie z dzikimi wysypiskami śmieci w swoim rewirze. Podejrzał jedną zagraniczną firmę, która zamiast fachowo utylizować odpady zebrane od mieszkańców miasta, postanowiła wysypywać je do dołów w lesie. Najgorsze było to, że odpady przyjęte od szpitala i zakładu produkcji wędlin, trafiły nieopodal młodnika, w którym leśniczy Kujawiak zbierał grzyby jesienią. Jego ukochany pies Walery wykopał jakieś świństwo i po krótkiej chorobie zdechł. Klara, Tomek i Marcin całą zimę szykowali się do akcji przeciw bandytom niszczącym przyrodę. Wykorzystali najnowsze technologie, by stworzyć system hologramów stojących na straży leśnego ładu...

*

– Teraz – szepnął do zegarka Tomek.

Panowie w kombinezonach już chcieli wycofać swoją ciężarówkę z niewielkiej, leśnej polany, gdy stanął przed nimi obraz potworzonego Dziada Borowego...

Ni niedźwiedź, ni człowiek... Gigant! Potężnymi łapskami chwycił wielkie konary, którymi cisnął w samochód. Przerażeni „leśni rozbójnicy” wyskoczyli z szoferki i pognali, gdzie pieprz rośnie. Musieli niejedno mieć na sumieniu... Porzucili samochód i inne dowody swoich zbrodni.

*

– Tu, panie inspektorze, mamy wszystko nagrane – relacjonował leśniczy Kujawiak. Szczegóły nocnej akcji opisał rankiem szefowi lokalnej policji. – Ale gdyby nie dzieciaki i te ich „magiczne” zegarki z projektorami, to nigdy nie udałooby się udowodnić bandytom ich działalności. Porzucili oni w lesie samochód, w którym były dokumenty pochodzące z ich wielu akcji.

– Panie leśniczy, od początku trzeba było współpracować z nami. Naraziliśmy dzieci na niebezpieczeństwo...

– Niech pan nie przesadza – wtrąciła się do dyskusji Klara. – Oprogramowanie w naszych zegarkach dawało nam pełną kontrolę nad sytuacją...

– Zaczynam się bać współczesnych dzieciaków – powiedział inspektor, śmiejąc się pod wąsem. – Czeką nas śledztwo, ale was czeka... nagroda. Niewielu młodych ludzi troszczy się o środowisko tak odpowiedzialnie, jak wy!

Klarę, Marcina i Tomka rozpierało poczucie dumy i satysfakcji...

*

Puchacz oczyścił upierzenie. Dziś nocny wypad musi zakończyć się romantycznym spotkaniem. Sowa, za którą tęsknił i o której śnił, musi w końcu też ruszyć na nocne łowy... Wtedy rzuci na nią swój urok ptasiego przystojniaka...

Przysiadł w konarach grabu. Czekał. Gdy z wolna tracił już nadzieję, poruszył nim dreszcz radości! Dojrzał bowiem znajomy kształt. Jest! Ruszył z gracją w jej stronę. Wypreżył pierś, nastroszył pióra i zaczął gruchać uwodzicielsko...

Aleksandra Pietrzycka (Olek 2007), kl. 5
Zespół Szkół w Czemiernikach

Testament ojca

Przyglądałam się mojemu bratu, który łamie opłatek tuż przy uchu i wsłuchuje się w odgłos pękającego symbolu pojednania. Co chwila krzyczy, żeby wszyscy byli cicho, bo nie słyszy opłatka! Widzę też zgorszzone miny cioc i wujków, którzy nie tolerują takiego zachowania przy wigilijnym stole. Oczywiście nikt głośno tego nie skomentuje w obawie przed reakcją mojego taty, który uwielbia swojego autystycznego syna. Jasiowi zawsze na więcej pozwalano, rodzice mówili, że jego świat jest piękniejszy i uczciwszy od naszego i trzeba to uszanować. Kiedyś jedna z cioc powiedziała głośno, przy okazji jakiejś rodzinnej uroczystości, że zaburzenie rozwojowe zaburzeniem, ale jakby Janek czasem dostał porządnego kłapsa to nauczyłby się kultury. „Bo kiedyś tego nie było i dzieci były grzeczne”. Od tamtej pory nie widuję już tej cioci na najważniejszych imprezach w naszym domu. Jasiiek natomiast zajmuje tam zawsze honorowe miejsce, siedzi zawsze obok taty.

Odkąd pamiętam wstydziłam się brata, unikałam go na korytarzach szkolnych, moje urodziny to był horror. Głupio było mi przed moimi przyjaciółkami, gdy wypytywał je po sto razy na godzinę, co miały na obiad i odganiał je z krzykiem od jego ulubionej huśtawki, na której bujał się godzinami bez względu na pogodę i porę roku. Dziwiłam się tacie, że wszędzie zabiera ze sobą swojego Jasia, czy to do urzędu, czy do sklepu po zakupy. I nie wstydziło go zachowanie syna. Pokonywał też setki kilometrów, wożąc go na te jego terapie. Jednak tata zawsze twierdził, że są one potrzebne

Jasiowi na przyszłość, gdy brat dorośnie i zabraknie już rodziców. Wtedy nikt go już nie ochroni i będzie mu łatwiej żyć w „naszym” świecie.

Teraz, kiedy Jaś chwilowo ucichł i „zawiesił się” w swoim świecie ogrzewając dłonie nad zapaloną świecą, przyglądam się mu uważnie. Przecież przed chwilą dzieliliśmy się wszyscy opłatkiem, powinniśmy więc być dla siebie dobrzy i wyrozumiali. Staram się więc zrozumieć chociaż trochę mojego brata, wejść na chwilę do jego świata.

Jaś zrywa się nagle, zobaczył za oknem zaświecone latarnie uliczne. Podskakuje i krzyczy, że chce iść na dwór! Po wielu tłumaczeniach rodziców, że wigilia, że należy...Jasiek upiera się i ojciec, jak zwykle, ulega. Przerywają wieczerzę i ubierają się na spacer. Widzę ulgę na twarzach niektórych biesiadników. Pod byle pretekstem wymykam się i ja. Stoimy na chodniku, brat wpatruje się uparcie w blask przydrożnej lampy. Nagle zaczyna padać gęsty śnieg. Jaś aż piszczy z radości. Boże, jaki on jest szczęśliwy! Łzy radości spływają mu po rozpromienionych, czerwonych policzkach. Czy ja potrafię się tak cieszyć? Dostałam wprawdzie swój wymarzony prezent pod choinkę, ale na pewno tak mnie nie uszczęśliwił. Nie cieszyłam się tak bardzo, jak brat z głupich latarni i padającego śniegu. Może nie takich głupich? Bo może są one ważniejsze od tej mojej kamerki sportowej, skoro dają tyle radości? Brat nic nie dostał pod choinkę. On niczego nie chce, nie ma żadnych zabawek. Pytany wielokrotnie, co chce dostać od świętego Mikołaja twierdzi, że chce iść z tatą na huśtawkę!

Jaś podskakuje tymczasem w swoim tańcu radości, ściska ojca, w oczach którego też widzę łzy. Czy to też są łzy szczęścia? Już teraz wiem, co będzie moim przeznaczeniem w życiu, aby wypełnić „testament” ojca. Zaraz po powrocie do domu zniszczę wszystkie ściągawki. Muszę nauczyć się tego uczciwie. Wśród moich koleżanek tylko jedna toleruje zachowanie mojego brata. Może nie ma najnowszego telefonu, nie jest też lubiana w klasie. Jest cicha i skromna, ale to może ona jest tą prawdziwą przyjaciółką? I uwielbia Janka!

W moim życiu już zawsze będzie Jaś, któremu będę musiała pomóc, gdy rodziców już nie będzie. Pomóc, aby nie zniszczono mu tej jego krainy, choćby był to tylko marny skrawek ziemi pod uliczną latarnią. Jednak skoro ta cudowna kraina daje tyle szczęścia, jest piękna i wspaniała. Kocham ją!

Katarzyna Karaś (Brzoza), kl. 5
Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna I stopnia
w Krakowie

Trzy pamiętniki

Pamiętnik Alka: Hej! Jestem Alek. Mam 12 lat i chodzę do VI klasy. W szkole i w klasie czuję się dziwnie, bo nie jestem lubiany. Ale tak to już bywa, gdy się w porę nie znajdzie przyjaciół. Próbowaliśmy zaprzyjaźnić się z innymi dziećmi, żartować, ale nic z tego nie wychodziło. Poza tym, każdy należał do jakiejś grupy lub miał już przyjaciela. I co? I tak oto stałem się klasowym dziwakiem. Jestem strasznie samotny. Tym bardziej, że jestem jedynakiem, a tata wraca późno z pracy.

Dodatkowo uwziął się na mnie Wiktor – klasowy łobuz. Nie daje mi spokoju.

Wczoraj, na przykład, wziąłem do szkoły cukierki. I co? On zabrał mi jednego, żuł go chwilę, a potem wyjął z buzi i przykleił mi do zeszytu. Zdenerwowałem się i rzuciłem tym cukierkiem w jego plecy. Wiktor odwrócił się z furią w oczach i pewnie by mnie pobił, gdyby w tej chwili do klasy nie wszedł nauczyciel.

Pamiętnik Agaty: *Cześć! Mam na imię Agata. Mam 12 lat i jestem uczennicą VI klasy. W klasie przyjaźnię się z Zosią – koleżanką z przedszkola. Całe szczęście, bo w innym wypadku pewnie byłabym odludkiem. Tak, jak taki Alek.*

Przywiązuję dużą wagę do nauki, więc okrzyknięto mnie kujonem. Zosię też. Czasem jestem zmęczona tą nauką, ale moja mama jest taka

dumna, gdy dostaje piątki. Mam starszą siostrę Monikę. Ona też uczy się najlepiej z klasy, a ja nie chcę być gorsza.

Wczoraj Klara, która jest klasową modnisią i liderką, kazała mi (zresztą piąty raz z rzędu) dać do odpisania pracę domową. Raz czy dwa zapomnieć o zadaniu – rozumiem, ale ciągle! Jejku! Zdenerwowałam się i odmówiłam, a wtedy ona zaczęła mnie przezywać. Byłam tak wzburzona, że poszłam po nauczyciela, choć zwykle nie jestem skarżypytą. Kiedy wróciłam z nim do klasy, zobaczyłam wściekły wzrok Wiktora, spoczywający na przestraszonym Alku. Wiktor cieszy się opinią klasowego łobuza, dlatego pomyślałam, że weszłam we właściwej chwili i zupełnie przestałam myśleć o Klarze. Wiktor pewnie by go znowu pobił, gdybym nie weszła z polonistą.

– O co chodzi? – spytał nauczyciel.

– Już wszystko w porządku – odparłam.

– To dobrze, bo mam dyżur – Pan Zakrzewski wrzucił ramionami i wyszedł z klasy.

Pamiętnik Klary: Jestem Klara i chodzę do VI klasy. Mam już 12 lat. Jestem dość ładna i znam się na modzie. W szkole mam mnóstwo znajomych. Niektórzy nazywają mnie liderką, ale ja nie zawsze się nią czuję. Bo, na przykład, ta cała Agata w ogóle mnie nie słucha. Wczoraj zapomniałam o zadaniu, a ona mi nie pomogła i jeszcze poleciała po nauczyciela. Jak ja tego nie lubię! W sumie miała prawo mi odmówić, ale po co było wołać Zakrzewskiego?!

Na szczęście w klasie była jakaś akcja z Wiktorem i Agata skupiła się na nim. Chyba znów zaczął Alka. A Alka to chyba nikt nie lubi. W sumie nie ma się czemu dziwić. On zawsze się wygłupia, gdy ktoś chce z nim pogadać.

Dziś po szkole poszłam z Anią i Martą do mojego domu. To takie dwie dziewczyny, które wszędzie za mną chodzą i we wszystkim chcą być takie same jak ja. Ale lubię je. Cieszę się, że się mam do kogo odezwać.

– Twój tata naprawdę prowadzi hotel? – zaczęła mnie Marta.

– Tak... hotel i SPA dla celebrytów – odparłam udając obojętność.

– Wow! A spotkałaś tam kogoś znanego? – zapytała Ania.

– Jasne – odparłam tym samym obojętnym tonem i w tej chwili uświadomiłam sobie, że tak naprawdę tata nigdy nie zabrał mnie ze sobą na relaks do hotelu.

Pamiętnik Alka: Gdy tylko pan Zakrzewski przestąpił próg klasy, Wiktor puścił mi jeszcze jedno wrogie spojrzenie (mające pewnie na celu uświadomienie mi, że to jeszcze nie koniec) i odszedł. I co? Jestem pewny, że właśnie z tego powodu dziś chciał się na mnie zemścić.

Na przerwie przed matematyką Wiktor podbiegł do mojej ławki i zabrał mój zeszyt do geometrii. Przeczuwałem kłopoty, więc próbowałem wyrwać mu zeszyt, ale mnie odepchnął. Otworzył zeszyt i wyrwał moje zadanie! Dwie prymuski – Agata i Zosia – które wszystko widziały, zamarły przerażone. Byłem wściekły, ale nie wiedziałem, co robić.

Wiktor zmiął kartkę i rzucił ją do Klary. Klara chciała wrzucić ją do kosza. Zdenerwowany popchnąłem ją tak, że kartka spadła tuż koło biurka. Chciałem ją podnieść, ale Wiktor był pierwszy. Podniósł ją i wsadził do swojego plecaka. I co? I wtedy zadzwonił dzwonek.

W drzwiach stanęła Pani Kras – postrach wszystkich uczniów.

– Dziś powtórzymy pola figur – zaczęła – ale najpierw sprawdzę zadanie domowe.

Klasa zamarła. Ja tym bardziej, gdyż moje zadanie znajdowało się w plecaku Wiktora.

Matematyczka wzięła czerwony długopis i zaczęła sprawdzać zadania.

– Twoje zadanie, Kacperek – powiedziała przy mojej ławce.

– Nie mam – odpowiedziałem.

Jeszcze nigdy nie czułem takiego strachu. A ona spiorunowała mnie wzrokiem. I co? I oczywiście wstawiła mi pałę, po czym spokojnie wróciła do sprawdzania innych zadań. Czułem się okropnie. Nagle plecak Wiktora przewrócił się obok niej i wypadło z niego moje zadanie!

– A to co? – zapytała groźnie.

I co? I wtedy wstała Agata i powiedziała, że to moje zadanie i że wziął je Wiktor.

– No proszę – pani Kras popatrzyła na swój długopis, a potem przeniosła wzrok na Wiktora.

– Mamy nowego kandydata do jedyńki. Tym razem z zachowania – powiedziała.

Pamiętnik Agaty: *Miałam dzisiaj bardzo dziwną sytuację w szkole. Otóż wszystko zaczęło się na przerwie przed matematyką. Rozmawiałam z Zosią, gdy nagle zauważyłam, że Wiktor trzyma w ręku zeszyt Alka. Podeszłyśmy trochę bliżej, żeby widzieć całą sytuację. Pomyślałam, że ten Wiktor nigdy nie odpuści Alkowi i miałam rację, bo po chwili wyrwał mu z zeszytu kartkę z zadaniem domowym! Jejku! Nasza pani od matematyki jest strasznie surową nauczycielką i aż bałam się pomyśleć, jak zareaguje, gdy zobaczy brak zadania i ślad po wyrwanej stronie w zeszycie Alka.*

Wiktor rzucił pomiętą kartkę do Klary, a ona miała ją wrzucić do kosza, ale Alek nagle zerwał się i tak ją pchnął, że upuściła kartkę na podłogę. Wiktor szybko podniósł papier i włożył do swojego plecaka. Wtedy zadzwonił dzwonek.

Pani Kras stanęła w drzwiach, a cała klasa umilkła. Pani spenetrowała klasę wzrokiem i stukając obcasami podeszła do biurka. Zapisała temat o polach figur geometrycznych i zatrzymała kredę z piskiem.

– Zanim zaczniemy – pani Kras zrobiła znaczącą pauzę – sprawdź pracę domową.

Jejku! Zrobiło mi się żal Alka. Patrzyłam ze zgrozą jak nauczycielka złowrogo na niego patrzy, gdy jej objaśnił, że nie ma zadania.

– Dlaczego on jej nie powie o Wiktorze? – szepnęła do mnie Zosia.

– Pewnie się boi – odszepnęłam.

„Jak my wszyscy”, dodałam w duchu, ale nagle poczułam falę odwagi i wpadłam na śmiały pomysł. Gdy tylko pani sprawdziła moje zadanie i pochyliła się nad Zosią, zrzucałam linijkę na podłogę.

– Przepraszam – popatrzyłam na panią Kras, a ona kiwnęła mi na znak, że mogę podnieść linijkę. Schyliłam się po linijkę i potraçałam nią

plecak Wiktora, z którego wypadła kulka papieru. Nauczycielka natychmiast ją zauważyła i podniosła.

– A to co? – zmrużyła oczy.

Znowu załała mnie fala odwagi i zaczęłam wyjaśniać.

– To zadanie Alka Kacperka – zaczęłam – Wiktor wyrwał mu je z zeszytu i zabrał – powiedziałam.

Pamiętnik Klary: Dziś, przed matematyką, znowu była akcja z Wiktorem. Ale wcześniej zaskoczyły mnie dziewczyny.

– Czyli twój tata ma firmę SPA? – zapytała mnie Ania.

– Tak, pytasz się o to trzeci raz – odparłam zirytowana.

– A możesz załatwić nam wejściówki? – podsunęła Marta.

Zamurowało mnie. Normalnie bym odmówiła bez zastanowienia, ale chciałam utrzymać swoją pozycję, więc przytaknęłam, jakby to była łatwizna.

– Super! – dziewczyny zaczęły się przymilać. – Klara, ale masz fajny zeszyt. Gdzie go kupiłaś?

W tej chwili zauważyłam, że Wiktor mnie jakiś papier. Nagle rzucił go do mnie i pokazał, że mam go wrzucić do kosza. Zdziwiłam się, ale co tam. Wtedy, nie wiadomo czemu, popchnął mnie Alek. Kartka spadła i Wiktor ją zabrał z powrotem.

Zadzwoił dzwonek i wszyscy już myśleli o lekcji. Matematyczka jest naprawdę ostra i nie ma z nią żartów. Napisała temat na tablicy i zabrała się za sprawdzanie zadań.

– Twoje zadanie – powiedziała, kiedy podeszła do mnie.

Zrobiło mi się słabo, bo pewnie (jak zwykle) zrobiłam je źle. Podałam jej zeszyt.

– Znów to samo – stwierdziła i pokręciła głową.

Było mi mega przykro.

Kilka minut później zrobiło się zamieszanie.

– A to co? – usłyszałam głos nauczycielki.

Kras trzymała w rękach wymiętą kartkę, którą wcześniej rzucił mi Wiktor! To było zadanie Alka Kacperka. „No ładnie”, pomyślałam. Dobrze, że tego nie wyrzuciłam.

Pamiętnik Alka: Nie wierzę! Będziemy mieć w klasie Amerykankę. Nazywa się Caroline. Jak tylko ją zobaczyłem, chciałem się zaprzyjaźnić, ale wyszło inaczej. A jak?

Pani Bastel (nasza wychowawczyni) weszła do klasy z nową dziewczynką.

– To jest Caroline – powiedziała – przyjechała z Ameryki. Jej tata jest Amerykaninem, a mama Polką. Prawda? – zapytała.

– Yes, it's true – powiedziała Caroline. – My mom urodziła się w Polsce, ale pojechała z moim tatą do Ameryki. Tam urodziłam się. I mieszkalam tam all my life. A teraz będę tu – zakończyła.

– Dziękuję. Usiądź tam, koło Alki – powiedziała nauczycielka.

– Cześć, jestem Alek – przywitałem się, a Caroline uśmiechnęła się do mnie.

Chciałem, żeby mnie polubiła, więc spróbowałem ją rozśmieszyć.

– Wiesz, co to za zwierzę? – zapytałem i zacząłem udawać małpę. Caroline spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– He's crazy – powiedziała do niej pogardliwie Marta, która siedziała przed nami.

Mina Caroline mówiła sama za siebie. I co? I tyle w sprawie przyjaźni.

Chciałem wybrać dogodny moment i przeprosić Caroline. Następnego dnia po lekcjach zobaczyłem ją przed sobą na schodach i próbowałem ją dogonić.

– Cześć! – krzyknąłem i poślizgnąłem się. Wpadłem na nią i przypadkowo upuściłem pamiętnik.

– Ała! – krzyknęła dziewczyna, która, jak się okazało, wcale nie była Caroline. To była Klara. Przez te długie włosy dziewczyny z tyłu są do siebie takie podobne. Klara też upuściła zeszyt.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Uważaj jak chodzisz! – warknęła na mnie.

– Masz taki zeszyt jak ja – zauważyłem, ale ona nie usłyszała.

Podniosła jeden z zeszytów i odeszła.

Tak mnie to zaskoczyło, że chwilę później na korytarzu wpadłem na Agatę. Pamiętnik znów upadł mi na podłogę, a z torby Agaty wysypały się na niego wszystkie jej książki. Poszukałem wśród

nich zeszytu i podniosłem go, ale Agata wyrwała mi go z ręki i schowała do swojej torby.

– Dzięki – powiedziała. – To chyba twój – dodała, podając mi drugi pamiętnik.

I co? Gdy wróciłem do domu chciałem zapisać to wszystko w moim pamiętniku. Ale wtedy zauważyłem, że wcześniejsze strony zapisała zupełnie inna osoba. Niechcący zacząłem przeglądać wpisy. To był pamiętnik Agaty!

Pamiętnik Agaty: *Do naszej klasy dołączyła nowa uczennica. Ma na imię Caroline i mówi z amerykańskim akcentem. To trochę irytujące. Ale nie w tym rzecz. Dzień po przyjeździe Caroline do klasy miało miejsce dziwne zdarzenie. Otóż było już po lekcjach, gdy szłam korytarzem i wpadłam na Alka. Wszystkie książki wysypały mi się z torby. Zbierałam je pospiesznie, gdy nagle zauważyłam, że podaje mi mój pamiętnik. To było trochę krępujące.*

– Dzięki – prawie wyrwałam mu zeszyt.

Spakowałam go szybko, a potem zauważyłam taki sam egzemplarz, leżący koło niego.

– To chyba twoje – zdziwiona podałam mu zeszyt. Czyżby też pisał pamiętnik?

W domu rozpakowałam szkolną torbę. Chciałam się upewnić, czy na korytarzu nie pomyliłam pamiętnika z zeszytem Alka. Otworzyłam na ostatniej stronie. Jejku! Pamiętnik wcale nie był mój, ani Alka! Po wpisie domyśliłam się, że to był pamiętnik Klary!

Pamiętnik Klary: Do naszej klasy przyszła jakaś Caroline, ale nie to jest najgorsze. Serio!

Rano, przed lekcjami dałam Marcie i Ani wejściówki do SPA. Bardzo długo prosiłam o nie tatę, a gdy się zgodził, kazał mi za to wymyć naczynia i odkurzyć dom.

Ania i Marta ogromnie się cieszyły i gadały ze mną aż do dzwonka. A potem pani Bastel wprowadziła do klasy tę całą Caroline, która mówiła trochę po polsku, a trochę po amerykańsku. Najpierw nie przejęłam się tym zbyt, ale gdy zaczęła się przerwa Marta

i Ania zaczęły obskakiwać Caroline i przymilać się. Było mi niezmiernie przykro. Myślałam, że to moje przyjaciółki, a one bawiły się ze mną tylko dlatego, że mam bogatego tatę.

Nazajutrz po lekcjach szłam schodami, gdy nagle tuż za mną ktoś krzyknął „Cześć!”, a chwilę później wpadł na mnie tak, że upuściłam swój pamiętnik.

– Przepraszam – powiedział.

No nie, to był Alek.

– Patrz jak chodzisz! – wybuchłam. Nadal byłam przybita po wydarzeniu z Anią i Martą. Na podłodze leżały dwa identyczne zeszyty. Wzięłam ten bliżej mnie. Alek powiedział, że mamy takie same zeszyty, ale wtedy nie zwróciłam na to uwagi. W domu chciałam napisać coś w pamiętniku, ale od razu zobaczyłam, że ten zeszyt jest starszy od mojego. Ten zeszyt musiał należeć do Alka. Nie mogłam się powstrzymać i z ciekawości zaczęłam czytać.

Pamiętnik Alka: Dziś, gdy przyszedłem do szkoły, od razu zacząłem szukać Agaty. Siedziała na schodach, więc usiadłem obok i podałem jej zeszyt.

– Słuchaj, dziękuję, że uratowałaś mnie przed Wiktorem i jedynką – zagadnąłem.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się i wzięła zeszyt.

Chciałem jej wyjaśnić, że czytałem tylko fragment i to niechący, ale w tej chwili podeszła Klara.

– Alek, przepraszam, że ci dokuczałam i uważałam za dziwaka. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego tak się zachowywałeś – powiedziała i oddała mi mój pamiętnik.

– Nie sądz książki po okładce, co? – zaśmiałem się, choć było mi trochę głupio.

– Taa – ona też się zawstydziała. – Chciałbyś się ze mną zaprzyjaźnić? – zapytała nagle.

– Jasne! – uradowałem się na samą myśl, że będę miał przyjaciółkę.

– Klara – zaczęła z kolei Agata, wyjmując trzeci zeszyt i dając go Klarze – jest mi przykro, że Marta i Ania tak cię potraktowały – powiedziała. – Może i ja mogę się z wami zaprzyjaźnić?

– Jasne! – przytaknęliśmy oboje.

I co? I proszę – żeby znaleźć przyjaciół wystarczyło tylko... pokazać siebie.

Julia Ueda (Juedka), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 9
Społecznego Towarzystwa Oświatowego
w Warszawie

Sąsiad

Czasami w życiu musi wydarzyć się coś złego, żeby spojrzeć na świat inaczej i zrozumieć swoje błędy. Ja miałem to szczęście, że nie wydarzyło się nic złego, a jednak moje życie zmieniło się. Ale może od początku.

Tego dnia jak zwykle wpadłem zdyszany do domu.

– Znowu ścigałeś się z chłopakami – odgadła mama, widząc moją spoconą koszulkę.

– Ćwiczę kondycję – odpowiedziałem, rzucając plecak na stary fotel.

– Jak było w szkole? – usłyszałem pytanie mamy w momencie, gdy zatrząskiwałem drzwi do swojego pokoju. Rzuciłem się na łóżko z telefonem w ręku. Zacząłem przeglądać fejsa, gdy moją uwagę przykuły dźwięki dobiegające zza okna. Podeszedłem do szyby i zacząłem przyglądać się dwóm mężczyznom, noszącym meble. Oo, ktoś się wprowadza do tego domu naprzeciwno – pomyślałem. Ciekawe kto to taki...

Moje rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi:

– Filip, otwórz! – krzyknęła mama.

– Zaraz! – odkrzyknąłem leniwie, mając nadzieję, że ten ktoś sobie pójdzie, ale niestety dzwonek rozległ się ponownie.

– Filip, no otwórz. Ja mam zajęte ręce.

– Dobra, już idę.

Zbiegłem po schodach, otworzyłem drzwi i zobaczyłem za nimi chudego rudzielca, który szczerzył się teraz do mnie, wyciągając rękę.

– Cześć! Jestem Tomek i mam 12 lat. Właśnie wprowadzam się z moją rodziną do domu naprzeciwko. Rodzice mówili mi, że tu mieszka chłopak w moim wieku, więc wpadłem przywitać się – wyrecytował szybko nieznajomy.

Byłem tak zaskoczony tą wizytą, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Filip, wpuść gościa do domu – powiedziała mama, stając za moimi plecami.

– Aaa... Tak... Wejdz – odzyskiwałem powoli mowę.

– Dzień dobry, Pani. Nazywam się Tomasz Kielecki. Przepraszam bardzo za najście, ale wprowadzamy się naprzeciwko i przyszedłem, żeby przedstawić się – powiedział chłopak i cmoknął moją mamę w rękę.

O rany! Co za gość! Jak z kosmosu! W jakim języku on mówi! – pomyślałem, ale mama była najwyraźniej zachwycona.

– Ależ z ciebie gentelmen – powiedziała. Cieszę się, że Filip będzie miał takiego sympatycznego kolegę. Wejdz. Może napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję Pani. Muszę pomóc rodzicom w porządkowaniu mieszkania. No to do zobaczenia, Filip.

Zszokowany, wciąż nie odzyskałem całkowicie mowy, więc tylko machnąłem ręką.

– Co za dziwoląg! – powiedziałem na głos, gdy drzwi zamknęły się za rudzielcem.

– No coś ty! Bardzo miły chłopiec – zaprotestowała mama.

– Jasne, byle nie wchodził mi w drogę – mruknąłem pod nosem, wracając do pokoju.

Na drugi dzień rano wyszedłem do szkoły wcześniej niż zwykle, bo umówiłem się z kumplem, że porzucamy do kosza przed lekcjami. Na szkolnym boisku było już całkiem sporo dzieciaków, ale nikt inny nie miał piłki, więc kosz był nasz. Właśnie celnie rzuciłem, gdy z tyłu usłyszałem głos...

– Świetnie, Filip!!! Czy mógłbym zagrać z wami? Odwróciłem się i zobaczyłem rudzielca, swojego nowego sąsiada.

- Eee... My już właściwie kończymy, bo zaraz będzie dzwonek – odpowiedziałem i zwróciłem się do mojego kumpla.
- Chodźmy już.
- Poszedłem do szkoły, nie oglądając się na Tomka. Nie chcę zadawać się z tym dziwolągiem, bo narobi mi obciachu – pomyślałem. Ale los chciał inaczej... Okazało się, że Tomek nie dość, że chodził do mojej szkoły, to na dodatek do mojej klasy.
- Mamy nowego ucznia – przedstawiła go wychowawczyni.
- Mam nadzieję, że pomożecie mu zaadaptować się w naszej szkole. Tomek szybko zaskarbił sobie sympatię dziewczyn z klasy, ale moi kumple mieli to samo zdanie co ja. KOSMITA!!! Po lekcjach szybko zmyłem się z kolegami, żeby przypadkiem nie wracać z Tomkiem do domu.
- Mamo! Już jestem! – krzyknąłem, trzaskając drzwiami.
- Gdzie byłeś? – zapytała poddenerwowana mama – Lekcje skończyłeś dwie godziny temu.
- Sorry, ale byłem z chłopakami w Macu. Jest piątek, nie mam nic zadane, więc chyba mogłem pójść z kolegami coś zjeść.
- Mogłeś, ale trzeba mi było o tym powiedzieć, żeby nie martwiła się. Mogłeś też zadzwonić lub odebrać telefon ode mnie. Był tu dziś Tomek – mama szybko zmieniła temat, bo chociaż była na mnie zła, to cieszyła się, że jestem cały i zdrowy w domu. – Może idź do niego.
- Ale mamo...
- Filipku, Tomek jest tu nowy i nie ma przyjaciół. Musi czuć się samotnie. Proszę, zrób to dla mnie. Szkoda mi go.
- No dooobra – odwarknąłem i skierowałem się do drzwi. Wyszedłem z domu i za chwilę byłem już pod drzwiami Tomka. Zapukałem. Drzwi otworzyła smukła, elegancka kobieta. Uśmiechnęła się i powiedziała:
- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?
- Czy zastałem Tomka? – zapytałem z nutą niechęci w głosie. – Mieszkam po sąsiedzku. Tomek zachodził do mnie dzisiaj, ale mnie nie zastał.

– Miło mi cię poznać. Jestem mamą Tomka. Tomek, przyszedł do ciebie kolega!

Kobieta krzyknęła w głąb mieszkania.

Chłopak natychmiast zjawił się w drzwiach.

– O, cześć Filip! Miło, że wpadłeś.

– Hej... Yyy... Co robisz? Masz czas? Może oprowadzić cię po mieście? – wybąkałem.

– Byłoby super! – odpowiedział rozpromieniony Tomek.

– Zaczekaj, tylko włożę trampki i mogę lecieć. Mamو wychodzę.

– Kochanie, tylko wróć przed siódmą.

– Jasne mamо! – odpowiedział i zamknął drzwi.

– To dokąd idziemy?

– Może nad rzekę – powiedziałem pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

– Woda to mój żywioł. W ogóle uwielbiam przyrodę.

– A lubisz grać na komputerze?

– Nie za bardzo. Szkoda mi na to czasu.

– Co? A grasz na play station?

– Grałem kiedyś u kolegi, ale nie mam swojej konsoli. Wolę czytać książki.

– Yyyy, a masz...

Naszą dziwną konwersację przerwał głośny płacz dziecka, dobiegający z pobliskiego parku. Chciałem to zignorować, ale Tomek już biegł w stronę szlochającego malucha. Co miałem robić? Pobiegłem za nim.

– Hej mały, dlaczego płaczesz? – zagadnął Tomek, klękając na jedno kolano przed dzieckiem.

– Ja chcę do.... do... mamy!!! – wydusił z siebie chłopiec.

– A gdzie jest twoja mama? – Tomek ciągnął rozmowę.

– Właśnie nie wiem – powiedział malec i wybuchnął jeszcze większym płaczem.

– Ooo, to mamy problem – zmartwił się Tomek.

– Jezu, zostawmy go i chodźmy nad rzekę. Na pewno zaraz ktoś po niego przyjdzie – powiedziałem zniecierpliwiony, ale Tomek w ogóle mnie nie słuchał. Patrzył na malucha i kombinował co tu zrobić.

– Jak masz na imię? – rzekł w końcu.

– Piotruś – powiedział chłopiec, ocierając łzy.

– Nie martw się, Piotrusiu. Znajdziemy twoją mamę.

– Dziękuję bardzo – powiedział Piotruś drżącym głosem.

– I co niby zamierzasz zrobić – burknął do Tomka.

– Popytam w tych najbliższych domach, czy ktoś zna chłopca, a jak nikt nie będzie wiedział, to zadzwonię na policję – odpowiedział Tomek, uśmiechając się i zwrócił się do dziecka:

– Piotrusiu, powiedz mi jeszcze, czy wiesz jak masz na nazwisko, ile masz lat i jak wygląda twoja mama?

– Jestem Piotruś Kowalski i mam yyy... cztery latka. Mama ma długie włosy i jest yyy... bardzo ładna – jękając się odpowiedział chłopiec.

Tomek wziął Piotrusia za rękę i poszedł do najbliższego domu.

– Serio? Myślałem, że ty z tymi domami to żartujesz – powiedziałem, ale Tomek zignorował mnie zupełnie.

Zapukał do pierwszych drzwi, ale nikt ich nie otworzył. Słychać było tylko odgłosy szczekającego za drzwiami psa. Zapukał do kolejnego domu. Tutaj drzwi otworzyła młoda kobieta, ale nic nie wiedziała o Piotrusiu. Tomek chodził od domu do domu, a ja za nim. W końcu, gdy zapukał już chyba do dziesiątych z kolei drzwi, sytuacja zmieniła się.

– Dzień dobry, młodzieńcze.

Na progu stał starszy pan.

– Dzień dobry, panu. Ten maluch nazywa się Piotruś Kowalski, ma cztery lata i zgubił się. Czy może pan kojarzy tego chłopca? Czy wie pan, gdzie on mieszka? – Tomek zapytał z nadzieją w głosie.

– Owszem, wiem – powiedział starzec – ten chłopiec często przychodzi do parku z mamą. Mieszka niecałe pięćset metrów stąd w tej starej, drewnianej chałupie pod laskiem brzoźowym.

– Bardzo panu dziękujemy – wykrzyknął radośnie Tomek.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – rzekł mężczyzna, zamykając drzwi.

Poszliśmy razem we wskazanym przez starszego pana kierunku. Gdy zbliżaliśmy się do domku, wybiegła z niego zapłakana kobieta z malutkim dzieckiem na ręku.

– Piotrusiu, kochanie, gdzie ty byłeś? Chłopcy, dziękuję wam za przyprowadzenie mojego synka. Moja córeczka jest chora i nie mogłam z Piotrusiem wyjść dzisiaj na spacer, więc pozwoliłam mu pobawić się samemu na podwórku, a ja patrzyłam na niego z okna. Tylko na chwilę odwróciłam się, kiedy Piotruś nagle zniknął. Nie mam telefonu, żeby zadzwonić na policję... Nie wiedziałam, co robić... Wejdźcie chłopcy.

Kobieta była bardzo roztrzęsiona i w tej panice chyba trochę nie myślała logicznie. Przecież mogła pobiec po pomoc do sąsiadów albo nawet krzyczeć z okna. Nie wiem... Coś powinna była zrobić.

– Już spokojnie proszę pani. Piotruś jest cały i zdrowy – powiedział Tomek.

– Dziękuję chłopcy. Może napijecie się czegoś. Może czymś się poczęstujecie – kobieta zaczęła rozglądać się po mieszkaniu, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

– Dziękujemy bardzo za gościnność, ale musimy już wracać. Do widzenia – pożegnaliśmy się i opuściliśmy domek.

– Filip – powiedział do mnie Tomek w drodze powrotnej – widziałeś, jacy oni są biedni? Ten dom był prawie pusty i zimno w nim było. A widziałeś tę dziurę w suficie? Powinniśmy tam wrócić i ją coś pomóc tej kobiecie.

Mnie też w sumie żal było tej rodziny. Nie wiedziałem, że niedaleko mnie mieszkają ludzie, którzy mają taką biedę. Jakoś dziwnie głupio mi się zrobiło.

– Ok. Spróbujmy im pomóc – odpowiedziałem Tomkowi.

Po powrocie do domu opowiedziałem o wszystkim mamie. Jeszcze tego wieczoru zorganizowaliśmy z Tomkiem zbiórkę żywności, koców i ubrań na naszej ulicy. Nawet zebraliśmy trochę zabawek dla maluchów. Tomek oddał swoje kieszonkowe, a i ja dołożyłem też swoje oszczędności. Na drugi dzień obładowani po uszy, zapakaliśmy do drewnianego domku. Oddaliśmy wszystko wzruszonej kobiecie, pobawiliśmy się z Piotrusiem i obiecaliśmy, że jeszcze nieraz ją odwiedzimy. Pani Natalia, bo tak miała na imię ta kobieta, bardzo nam dziękowała, a mi... Hmm... Zrobiło mi się jakoś tak ciepło na sercu. Fajnie jest pomagać innym. I w ogóle fajnie jest

być miłym i dobrym człowiekiem – pomyślałem. Popatrzyłem na Tomka. Może nawet fajnie będzie mieć takiego kolegę. Od tamtej historii minęły już dwa lata. Tomek jest moim najlepszym przyjacielem. Działamy razem w kole wolontariatu, gramy też czasami w gry komputerowe, ale niezbyt często, bo szkoda na to czasu. Wolimy poświęcić nasz czas, by zmieniać świat na lepszy! I to jest naprawdę COOL!!!

Kornelia Mikrut (Kora), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 4 w Jaśle

Orzełek na czapce

Było piękne listopadowe przedpołudnie. Szliśmy z dziadkiem wąską, polną ścieżką w kierunku lasu. Bardzo byłam ciekawa, gdzie tym razem mnie zabiera, ale ponieważ jest on człowiekiem skrytym i tajemniczym, to i tak było jasne, że nie dowiem się wcześniej, nim dziadek uzna to za stosowne. Nie oznacza to oczywiście, że nie zadałam po drodze wielu pytań: Daleko jeszcze? Gdzie idziemy? Gdzie to jest? Co tam będzie? itp. Dziadek jednak wytrwale milczał, rzucając jedynie od czasu do czasu krótkim: Jak dojdziemy, to zobaczysz. Po dłuższej chwili spaceru dotarliśmy na miejsce. Na skraju łąki, tuż obok niewielkiego zagajnika, stały wbite w ziemię dwa brzoźowe krzyże. Oplatała je białoczerwona wstęga, a do jednego z nich przybity był orzełek wojskowy z czapki rogatywki oraz tabliczka z mottem: „CZŁOWIEK UMIERA CAŁKOWICIE DOPIERO WTEDY, GDY ZAMIERA PAMIĘĆ O NIM”. Czas zatarł już trochę dwa niewielkie groby, jakie się tu znajdowały. Emanowała z tego miejsca jakaś tajemnicza atmosfera.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł dziadek, po czym podszedł do krzyży, poprawił wstęgi i zapalił znicze przy każdym z nich.

– Wiesz, nie chciałem być tu dzisiaj sam – kontynuował. – Przychodzę tu co roku. Zapalam im znicze i wspominam w milczeniu czas, kiedy jeszcze żyli.

– Ale kim oni byli? – zapytałam zainteresowana. – I jaka jest ich historia?

Dziadek westchnął głęboko, pomyślał chwilę i zaczął opowiadać.

– Czasy były ciężkie. Mieliliśmy wtedy po czternaście, piętnaście lat. W trzydziestym dziewiątym przyszli hitlerowcy i wylapywali takich jak my. Część wywozili do obozów pracy, innych wcielali siłą do wojska i wysyłali na front. Niektórzy z nas mieli trochę więcej szczęścia i jakimś sposobem się uchowali. Mnie udało się uciec do lasu. Przyjechali do wsi w nocy. Zrobili łapankę. Obudziłem się rano w samej koszuli i podartych spodniach. Dziesięć stopni mrozu i pół metra śniegu. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Tułałem się dwa dni po okolicznych lasach i pewnie umarłbym z głodu lub wychłodzenia. Los jednak uśmiechnął się do mnie raz jeszcze. Błądząc tak po lesie, natknąłem się na grupkę chłopaków, którym też udało się uciec z wioski. Był tam Antek od kowala, Julek i Staszek z młyna, Paweł z sąsiedniej wioski oraz Andrzej, który był w wiosce nauczycielem. Starszy kilka lat od nas szybko przejął nad nami dowództwo. Pochodził z Wilna. Ponoć ukończył tam jakąś szkołę wyższą. Uciekł stamtąd przed Rosjanami, którzy zaatakowali Polskę 17 września od wschodu. Był wielkim patriotą ze wzniosłymi ideałami. Jak się później okazało, szybko nawiązał kontakt z partyzantami, co mocno wpłynęło na nasze dalsze losy. Łatwo zaaklimatyzowałem się w grupce. Dali mi coś do okrycia i jedzenia. Ukrywaliśmy się tak w lesie przez kilka tygodni, dopóki sytuacja w okolicznych wioskach się nieco nie uspokoiła. Niemcy zaprzestali już tych swoich łapanek, przynajmniej na jakiś czas, więc zaczęliśmy podchodzić bliżej naszych domów. Czasem nawet odwiedzaliśmy rodziny, ale na bardzo krótko. W międzyczasie poznaliśmy świetnie las, wszystkie ścieżki i kryjówki. Zaczęliśmy trochę działać. Początkowo były to drobiazgi. Przenosiliśmy żywność między domami, jakieś wiadomości czy listy. Później trochę się rozkręciliśmy. Poznaliśmy punkty przerzutowe partyzantów. Służyliśmy za przewodników w naszej okolicy. Kilka razy przeprowadziliśmy ważne osoby, czy jakichś uciekinierów przez nasze lasy. Obserwaliśmy również ruchy wojsk niemieckich i składaliśmy meldunki

partyzantom. Początkiem 1941 r. dołączył do naszego oddziału Jasiu. Miał zaledwie dwanaście lat. Nawet nie umiał posługiwać się bronią. Znał za to trochę niemiecki. Jego ojciec pochodził z Niemiec. Ponoć uciekł od niego z mamą, ale dlaczego i jak było naprawdę, nigdy się nie przyznał. Często podsłuchiwał Niemców lub czytał ich depesze, które udało się nam przejąć. Mieliliśmy też broń, ale nigdy nie braliśmy jej ze sobą na akcje. Na tym polegała nasza przewaga. Niemcy nie mogli w ogóle skojarzyć, że takie małe smyki mogą prowadzić działania partyzanckie. Oczywiście nie myśleliśmy o sobie jak o prawdziwych żołnierzach, choć tworzyliśmy taki mały, zgrany oddziałek. W wolnym czasie przesiadywaliśmy przy ognisku, nucąc jakieś żołnierskie pieśni, których nauczył nas Andrzej. Czytał nam też różne opowieści, takie patriotyczne i o różnych bohaterach. „Pana Tadeusza” to znał prawie na pamięć. Do dziś nie mam pojęcia, skąd on brał te wszystkie książki. Ale miał też prawdziwy skarb. Nie, nie jakieś złote kolie, bransolety czy coś podobnego. Była to najprawdziwsza ułańska rogatywka z orzełkiem. Mówił, że należała do jego ojca w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Tylko tyle mu po nim pozostało. Zaginął na wojnie, jak wielu innych, o których nikt już nie pamięta. Leży pewnie gdzieś w anonimowym grobie. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, gdy powtarzał, że kiedyś przyjdzie mu zginąć za tego orzełka...

Któregoś jesiennoego dnia, pamiętam, że łało jak z cebra i nie wiedzieliśmy, iż Niemcy zorganizowali akcję na szeroką skalę. Nie my byliśmy celem. Po prostu partyzanci poczynali sobie coraz śmielej i dawali się im we znaki. Celem oddziałów hitlerowskich było osaczenie naszych i wyeliminowanie ich z tego rejonu. Pech chciał, że znaleźliśmy się w obszarze działań sporego oddziału wojskowego. Zanim zorientowaliśmy się, na ucieczkę było już za późno. Jednak nie panikowaliśmy. Znaliśmy dobrze nasz las. Szybko zabraliśmy broń i zaczęliśmy się wycofywać. Jedyną szansę stanowił niewielki wąwóz wychodzący, o tu, z tamtego lasu właśnie. Początkowo wszystko szło dobrze. Czołgając się, dotarliśmy niezauważeni do zagajnika, obok którego stoimy. Niemcy jednak znali swój fach dobrze i odcięli wszystkie możliwe drogi ucieczki. Nie było wyj-

ścia. Trzeba było się jakoś bronić. Pierwszy wystrzelił Andrzej. Później to już nie wiem sam. Strzelaliśmy my, strzelali oni. Broniliśmy się dzielnie kilka godzin. Jednak Niemcy ściągnęli posiłki, łącznie z bronią maszynową. Siła ognia była tak potężna, że długo nic innego nie było słychać. Pierwszy dostał Antek. Kula przeszła przez ramię. Obandażowaliśmy ranę, ale wtedy postrzelili Staszka. Jego rana była znacznie poważniejsza. Nie miał szans na przeżycie. Wiedzieliśmy już, że nasza bitwa się skończyła. Wywiesiliśmy białą chustkę na patyku. Ogień ustał. Niemcy podeszli do wąwozu i wyciągnęli z niego siłą Andrzeja. Pewnie dlatego, że jako jedyny był mężczyzną. Jeden z hitlerowców zerwał z jego głowy czapkę, cisnął w błoto pod nogami i zaczął deptać. Andrzej rzucił się na niego, odepchnął i chciał podnieść rogatywkę. Padł strzał. Kula trafiła prosto w serce. Krew natychmiast trysnęła z rany. Pod Andrzejem ugięły się kolana. Upadł. Jeszcze próbował się podczołgać. Wyciągnął dłoń w stronę orzełka. Niemalże go dotknął. I zastygł. Dwa centymetry, może mniej od swojego najdroższego skarbu. Patrzyliśmy przerażeni. Czas się na chwilę zatrzymał. Nie docierało do nas, co się stało. Człowiek, który był naszym dowódcą, mentorem, czasem ojcem, a na pewno przyjacielem, właśnie oddał życie. Ktoś zaczął wykrzykiwać coś po niemiecku. Zrobiło się zamieszanie, żołnierze się rozstąpili, a do nas podeszedł jakiś oficer. W jego oczach pojawił się wyraz zdziwienia i niedowierzania. Zobaczył garstkę wystraszonych chłopaków, może nawet jeszcze dzieci, które przez kilka godzin potrafiły się bronić przy pomocy prymitywnych pistoletów i karabinów przed regularnym niemieckim oddziałem. Podniósł zniszczoną czapkę, oderwał od niej orzełka i wcisnął mi go do ręki. Pamiętam jego wzrok, w którym zjawilo się coś w rodzaju szacunku i podziwu. Dziś myślę, że ów Niemiec mógł być w gruncie rzeczy normalnym człowiekiem. Po prostu znaleźliśmy się w paskudnych czasach, w niewłaściwym miejscu. Potem powiedział cicho łamaną polszczyzną: „Przepraszam”. Podeszedł do żołnierza, który zastrzelił Andrzeja, zaczął na niego strasznie krzyczeć i zabrał mu broń. Następnie zarządził odwrót. Do dziś zastanawiam się, dlaczego ten oficer kazał nas

oszczędzić. Może nie umiał zastrzelić dzieciaków, a może był to wyraz szacunku dla naszej dzielnej walki? Pozostaliśmy sami. Pochowaliśmy Andrzeja i Staszka i wróciliśmy do obozu. Był to jednak koniec naszego oddziału. Skontaktowaliśmy się z partyzantami i walczyliśmy dalej, ale już każdy osobno. Potem dowiedziałem się, że dzięki zamieszanu, jakiego narobiliśmy, partyzanci zdołali się wymknąć z obławy. Po wojnie odznaczono nas za to Orderem Niepodległości. Niestety, niektórzy otrzymali go po śmierci.

– A co się stało z resztą oddziału? – zapytałam cicho, gdy dziadek zamilkł na dłużej.

– Antek przeskoczył do armii generała Andersa. Później wyjechał do USA, ale nie pożył długo. Zginął tragicznie w jakimś wypadku. Julek walczył w opozycji, za co został aresztowany początkiem lat pięćdziesiątych i wtrącony do więzienia. Wtedy słuch o nim zaginął. Paweł zginął w Powstaniu Warszawskim. Z Jaśkiem spotykaliśmy się czasami. Ożenił się w sąsiedniej wiosce. Zmarł całkiem niedawno. Zostałem już tylko ja. Gdy umrę, nikt już nie będzie pamiętał o naszym oddziale. I jeszcze ktoś zniszczy to miejsce, bo nikt nie będzie go doglądał.

Dwa lata później

Piękne listopadowe przedpołudnie. Stoję tu dziś sama. Mojego dziadka już nie ma. Może i lepiej. Serce pewnie by mu pękło. Krzyże ktoś połamał. Buldożer zasypał wąwóz i właśnie niszczy zagajnik. Równa go z ziemią. Ponoć ma tu stanąć jakiś hotel dla bogatych turystów. Biało-czerwone wstęgi, poplątane i poszarpane, podrygują na wietrze. Chce mi się krzyczeć! Podchodzę bliżej. Sięgam po nie. W jednej coś utkwiło. Orzełek, trochę zaśniedział, przyrdzewiały, ale jest. Ciągłe tu jest, związany z tą ziemią. I tabliczka z mottem jeszcze się ostała. W jednym, dziadku, się myliłeś – ja będę pamiętać. Opowiem waszą historię innym. Niech usłyszą o cichych bohaterach – chłopcach, których tak wielu zginęło za Polskę.

Opowieść inspirowana prawdziwymi wydarzeniami.

Jan Kocot (Zein), kl. 4
Szkoła Podstawowa nr 36 w Bytomiu

Ciapeczek i tajemnicze urodziny

W zaklętej krainie Bajolandii żyło wiele zabawek. Wszystkie były barwnymi postaciami i lubiły się wzajemnie. Tego dnia Wiesia Gęś nerwowo krzątała się po kuchni. Była to bardzo ładna gąska o wyjątkowo małym rozumku i dużym przeświadczeniu o swojej szerokiej wiedzy.

– Kto będzie na urodzinach, które szykuję? – rzekła głośno sama do siebie i wdychając powietrze wyliczała:

– Już wiem: gośćmi będą pracowita Mrówka Anta, przemądrzały Miś Gawędziarz, szmaciana lalka Lola, Pies Matematiks i... i... i tyle – zaśmiała się i odeszła śpiewając gęsią piosenkę.

Nie zauważała jednak chowającego się za drzewem psiaka. Ciapeczek, bo o nim mowa, nie słysząc swojego imienia na liście gości Wiesi, połykał właśnie łzy smutku.

– Dlaczego Wiesia o mnie zapomniała? Chyba nikt mnie nie lubi – zaszlochał.

Ciapeczek był małym szczeniakiem, bardzo łagodnym i miłym. Niestety często prześladował go pech. A to rozlał kubeczek z jogurtem, a to wpadł do garnka z rosółem, kiedyś nawet pomylił płyn do naczyń z olejem i rozlał go na patelni... Serduszko Ciapeczka pozostawało bardzo gorące. Jednak choć niezwykle się starał, nie wiedział jak zaskarbić sobie sympatię każdego z mieszkańców Bajolandii.

– Zrobię wszystko, żeby każda zabawka mnie polubiła i wtedy Wiesia Gęś też zaprosi mnie na swoje urodziny – zacisnął małe piąstki, a potem niechcący zahaczył o kosz z praniem, tak że wyrzucił się na niego.

– OO..., przepraszam – jęknął i pobiegł co sił w nogach realizować swój plan.

Na swojej drodze napotkał Wiesię Gęś, która właśnie piekła ciasto.

– Pomogę ci Wiesiu – rzekł przymilnie Ciapeczek na widok białej gąski. – Uwielbiam przecież gotować – skłamał, próbując się jej przypodobać.

Gąska spojrzała na szczeniaczka spod okularów i rzekła:

– Dobrze, mój mały, pomożesz mi w pieczeniu urodzinowego ciasta. Proszę wbijaj jajka.

Piesek posłusznie wykonał polecenie. Widząc zapał psiaka, Gęś pomyślała chytrze:

– Pomoże mi jeszcze w wielu innych czynnościach, a ja odpocznę sobie.

I tak Ciapeczek ubijał pianę, mieszał mąkę, wbijał jajka, a potem jeszcze sprzątał...

– Ojej, jaki jestem zmęczony – powiedział po skończonej pracy, jednak Wiesia nie przejęła się tym, a nawet rzekła:

– Trzeba jeszcze odmierzyć półtora grama proszku do pieczenia. Ale... ale co to znaczy półtora? Będę musiała chyba udać się na dworzec kolejowy i zmierzyć jeden tor, a potem podzielić go na pół, a potem... Ojej, jakie to skomplikowane! Lepiej, zapytam Psa Matematiksa. – po czym oddaliła się w poszukiwaniu swojego kolegi. Pies Matematiks poza obgryzaniem kości, najbardziej lubił rozwiązywać skomplikowane zadania matematyczne.

– Muszę przypodobać się też i Matematiksowi – pomyślał Ciapeczek i jednym susem znalazł się przy swoim psim koledze.

– Witaj, Matematiks! – rzekł Ciapeczek. – Czy mogę ci pomóc w rozwiązywaniu zadań?

Jego kolega zdziwił się szczerze, jednak rzekł:

– Dobrze, przelicz tysiąc przykładów z zakresu mnożenia.

Ciapeczek złapał w łapkę ołówek i rozpoczął swoją umysłową mękę. Za godzinę tak go rozboleła głowa, że zasnął nad kolejnym zawiłym przykładem. Obudził go głos Mrówki Anty:

– Raz, dwa, trzy, pracujemy. Pracujemy zespołowo!

Rozbudzony Ciapeczek postanowił skorzystać z nowej okazji:

– Witaj Mróweczko! Może mogę ci pomóc?

Czerwona Mrówka uśmiechnęła się lekko:

– Owszem, posprzątaj moje mrowisko. Znajdują się tam milion siedemset osiemdziesiąt trzy patyczki. Poukładaj je od najmniejszego do największego.

Ciapeczek posłusznie rozpoczął wykonywanie zadania, na co zadowolona Mrówka skinęła głową z aprobatą:

– Dobra robota, w nagrodę zarządzam pół minuty przerwy.

Zmęczony Ciapeczek zasnął jednak przy układaniu dwutysięcznego sześćdziesiątego trzeciego patyczka.

– Wstawaj Ciapek, miły ziomku – usłyszał przez sen wesoły głos, który należał do szmacianej lalki Loli. Była to lalka, która „czuje luz”, zawsze żuje gumę i niczym się nie przejmując.

– Wstawaj stary – powtórzyła. – Musisz „poczuć luz”. No dalej, idziemy tańczyć. Nie odmówisz mi przecież?

Ciapeczek pragnął zyskać przyjaźń także i Loli, zatem posłusznie przetarł oczka i ruszył na parkiet. Jednak próbując czynić różne wygibasy, nagle przewrócił się i leżał na podłodze jak długi.

– Należy zwracać uwagę na bezpieczeństwo. Należy zawsze mieć przy sobie antypoślizgowe obuwie – zagrzemiał nagle nowy głos.

– Gawędziarz? – leżący na podłodze Ciapeczek spojrzał w górę i zobaczył przemądrzałego Misia Gawędziarza.

– Należy zawsze mnie słuchać. Należy pamiętać, że zawsze mam rację – kontynuował Miś, wpadając w samozachwyt.

– Ciapeczku, powiedz czy mam rację? – zapytał w końcu psiaka, z góry sugerując odpowiedź.

– Tak, Gawędziarzu, jesteś wspaniały i doskonały – szepnął Ciapeczek i odszedł zastanawiając się, czy teraz ktoś go polubił. Myślał o tym tak długo, aż zasnął pod stołem.

– Sto lat, sto lat!!!!!!! – obudził go nagle głośny śpiew wszystkich przyjaciół.

– Sto lat Ciapeczku!!!! – rzekła Wiesia Gęś, a Miś Gawędziarz dodał:

– Dzisiaj są twoje urodziny, zorganizowaliśmy dla Ciebie niespodziankę.

Ciapeczek przetarł oczka ze zdumienia:

– Ale... ale, ja myślałem, że mnie nie lubicie i dlatego nie zaprosiliście mnie na urodziny. A przecież – roześmiał się wesoło – zapomniałem, że dziś jest moje święto! Kocham was wszystkich. Czy jednak zorganizowaliście dla mnie tę niespodziankę dlatego, że się wam próbowałem przypodobać?

Wszystkie zabawki krzyknęły zgodnym chórem:

– Nie Ciapeczku, żeby być lubianym nie trzeba się nikomu podchlebiać. Trzeba być po prostu sobą!

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8 i klasy gimnazjalne

Wiersze

Miejsce 1

53 Klaudia Szynal: *Hipokryzja*

Miejsce 2

53 Małgorzata Sobkiewicz: *Moje myśli*

Miejsce 3

54 Emilia Bednarz: *Sprzeczny sentyment*

57 Gabriela Bochenek: *Tęsknota*

Wyróżnienia

57 Magdalena Oksińska: *Zmiany*

58 Joanna Wyrzykowska: *Sweter*

59 Małgorzata Chodyka: *Wielkanoc*

59 Julia Jabłońska: *** (*Uwija się wiatr...*)

Opowiadania

Miejsce 1

60 Julia Kawalec: *Odezwij się, Maksym*

67 Julia Gorący: *Oaza*

Miejsce 2

74 Zuzanna Banach-Dziura: *Dmuchawce z tamtych lat*

Miejsce 3

76 Maciej Serżysko: *Wołodia*

Wyróżnienia

87 Natalia Kędreś: *Sara*

93 Ina Kłopotowska: *Mrowisko*

97 Jakub Murak: *Domowik*

107 Iga Rusek: *Półzbliznienie*

**Klaudia Szynal (Aaria), kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa nr 2
z Oddziałami Dwujęzycznymi w Jaśle**

Hipokryzja

a w tych czasach – proszę państwa
każdy cięższy o połowę
kiedy problem goni problem
można prędko zgubić głowę
każdy chciałby akceptacji
ciuchy – muszą być markowe
aplauz! czasy innowacji!

to i serca kupcie nowe

**Małgorzata Sobkiewicz (Gosix),
kl. 3 gimnazjalna
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli**

Moje myśli

porozrzucane myśli
po zakamarkach życia
leżą w kątach
zakurzone
zatracone w niemiłym
dźwięku ciszy
pokryte mglistą niepewnością
w nudnym zapisie
szarej plataniny
drżące w pogardzie

odrzucone
czekają
w bezwonnym zapachu fiołków
we wspomnieniach o babci pachnącej szarlotką
tańczącej na pewno z aniołami

tyle myśli
a gdzieś porozrzucane
roztargane
przygniecione
zapomniane

gdy dorosnę
wezmę je i uczeszę...

Emilia Bednarz (Emilia), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Staświnach

Sprzeczny sentyment 25.06.2018

Znane mi są początki tej historii,
Chociaż one się rozciągają w mojej pamięci,
Wiem, że nie zapomnę od tego początku zaczął się mój do ciebie
sentyment.
Z końcem historii sentyment się nie kończy i myślę, że nie skoń-
czy się już nigdy.

Nie tylko ode mnie zależy czy się dogadamy.
Pamiętam nasze wczoraj,
Dzisiaj nie mogę cię dostrzec,
Mam nadzieję, że jutro będziesz przy mnie już zawsze, choć z tro-
chę innym nastawieniem.
Twoje uczucia pozostaną mi nieznane na wieki.
Boję się wymówić przy tobie to jedno słowo, boję się też go nie
wymawiać.

Ja jestem dzieckiem urodzonym wczoraj i nie pasuję do tego świata,
Ty jesteś z jutra i idziesz w przyszłość nie patrząc na to co za plecami,
Dzieli nas jeden dzień i nie tylko ode mnie zależy czy się dogadamy.

Chcę znać twoje intencje.
Chcę być ci przyjacielem.

Czy łączy cię ze mną jakiś sentyment? – tak brzmi na dzisiaj moje pytanie.
Przy ostatecznym spotkaniu chyba też się tego nie dowiem.
Powiedz mi jasno, czego ode mnie oczekujesz, nie lubię myśleć za dwoje.
Powiedz mi jasno, czego ode mnie oczekujesz, nie chcę mieć w głowie burzy.

Nie zapomnę o niczym, słowa na kartce papieru nie zmażą się same,
Ty ich nigdy nie zrozumiesz, pomimo tego, że przez cały czas masz otwarte oczy,
Ty nie rozumiesz mojego języka.
Mam wątpliwości, co do twojej prawdziwości to wszystko jest tak niewidzialne.

Ja jestem dzieckiem urodzonym wczoraj i nie rozumiem tego świata,
Ty jesteś z jutra, ty weźmiesz narzędzia i zaczniesz budować nowy świat,
Jest pomiędzy nami jeden dzień i nie tylko ode mnie zależy, czy most między nami się nie zawali.

Chcę znać twoje intencje.
Chcę być ci przyjacielem.

Potrafisz opiekować się ludźmi, na których ci zależy, choć możesz mówić co innego,

Nie wiem czy opiekujesz się też mną,
Bo moje oczy są na świat zamknięte,
Ale w mojej głowie jesteś prawdziwym aniołem stróżem.

Nie znam wartości mojej osoby,
Ty najwyraźniej nie chcesz jej poznać.

Chciałam poznać cię bliżej i zobaczyć czy masz w sobie jeszcze
dziecko z wczoraj,
Ale ty uciekasz, aby pomóc w budowaniu jutra, a we mnie widzisz
zagubionego człowieka.
Dziecko, które urodziło się wczoraj.

Ja jestem dzieckiem urodzonym wczoraj i bardzo boję się tego świata,
Ty jesteś z jutra i w księdze przyszłości widnieją już wszystkie
twoje jasne plany.

Ja chcę tu zostać i nie dorastać,
Ty ciągniesz za rękę ku dorosłości.

Chcę znać twoje intencje.
Chcę być ci przyjacielem.

Nie potrzebuję patrzeć na cegły tego świata,
Czy nie pamiętasz, że moją bronią są artykuły biurowe?
Jest pomiędzy nami jeden dzień i nie tylko ode mnie zależy, czy
nasz most będzie stabilny.

Wiem, że jesteś po mojej stronie, chociaż nie rozumiesz niektórych
słów,
Ja będę walczyć po twojej stronie, chociaż nie rozumiem z twojej
piosenki niektórych nut.

Chcę znać twoje intencje.
Chcę być ci przyjacielem.

Moje serce w samotności zna wartość wszystkich swoich słów,
ale tylko w samotności bez obecności innych dusz.

**Gabriela Bochenek (Personifikacja),
kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa nr 1
w Ustrzykach Dolnych**

tęsknota

a jedyne co mi po tobie pozostało
to ten gruby koc
pod którym leżeliśmy każdego wieczoru
jedząc popcorn
oglądając kolejny romantyczny film
i śmiejąc się z rzeczy nieśmiesznych
brakuje mi tego, wiesz?

**Magdalena Oksińska (Amber), kl. 7
Zespół Szkół i Placówek Publicznych nr 3
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 5
w Ostrowcu Świętokrzyskim**

Zmiany

I tą daleką od miejskości
szeleszczącą żwirem
w letni czas
łaskoczącą chropowatością
wyzwolone z butów stopy
pokryli skorupą asfaltu
uporządkowali nieład drzew
w jej długości
w dwie niemalże proste równoległe

przystrzygli „na języka”
kłaniające się jej trawy i osty
z jej rozdroża zabrali nawet
pień – ławeczkę
z korzeniami jak dredy
któremu czas
zaczął tkać wilgocia
pled mchu

**Joanna Wyrzykowska (Autorka),
kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa nr 2 w Siedlcach**

Sweter

Boję się pisać o tej starej kobiecie
Z naprzeciwnika.
Widziana z okna co dzień
Robi i robi na drutach.
Piosenka alternatywnie
Zagra grą słów.
Drutem staruchy
Nie ukłuła się żadna
Nieogarnięta księżniczka.
A ona jest stara
I robi na drutach sweter
Dla niego,
Który nie jest jej mężem.

**Małgorzata Chodyka (Mał-Goś), kl. 7
Zespół Placówek Oświatowych nr 3
w Międzyrzecu Podlaskim**

WIELKANOC

Wiosenne okna wpuściły do domu białe obłoki
I szyby lśnią spod ich piany przejrzyście.
Elegancki stół ubrał się w biały obrus,
Lany Poniedziałek skrył się za drzwiami i ... czeka.
Koszyczek jest już gotów wyjść z domu do kościoła
A każda kolorowa pisanka to jedno świąteczne życzenie.
Na świecie coraz więcej wiosny – pachnie deszczem i słońcem,
O świecie ogród ożywa ćwierkaniem i krokusami.
Cały dom wita z radością Wielkanoc

**Julia Jabłońska (Princessa), kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa w Bądkowie**

Uwija się wiatr po wiosce
Uliczki i dachy odkurza
Wieje świszczce dmucha
I w kurzu się zanurza

Chlusnął jak z cebra ulewą
Chmurami chałupy wyciera
I znowu kropi deszczem
W blasku szyby ubiera

Na szkolny plac lakier rzucił
Od słońca promieni pożycza
Później na dzieci zmęczone
Że brudzą – burzą nakrzyczał

**Julia Kawalec (Aurora), kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa w Czudcu**

Odezwij się, Maksym

Biała jadalnia wypełniona jest dźwiękiem stukania łyżki o miskę oraz burzliwymi rozmowami mamy przez telefon. Laura nigdy nie czuła się w niej dobrze. Z każdej chłodnej ściany patrzyły na nią obrazy: mamy, Laury, mamy z Laurą lub innymi kombinacjami z bliskimi. Każde śniadanie spożywane w tamtym pokoju przyprawiało ją o ból brzucha. Już dawno nie rozmawiała z babcią, wujkiem, czy młodszymi kuzynami. Gdzie w tym całym zamieszaniu jest tata? Może to on robił zdjęcie albo przechodził ulicą z rękami w kieszeni? Ciężko powiedzieć, skoro nigdy nie dane było Laurze go zobaczyć. Dziewczyna chciałaby wiedzieć, gdzie się znajduje. Sądząc po zachowaniu mamy – ona też. Ale nie będziemy o tym rozmawiać.

Na jednym zdjęciu wszyscy są bardzo radośni. W rzeczywistości to było ostatnie spotkanie w tym gronie od siedmiu długich i nudnych lat. Właśnie wtedy mama postanowiła odciąć się od bolesnej przeszłości i wyjechać ze stolicy na południe kraju.

– Właściwie po co? – myślała dziewczyna – Ojciec błąka się Bóg wie gdzie, ona ledwo radzi sobie z wiązaniem sznurówek i postanowiła jeszcze obrazić się na pół rodziny, żeby było ciekawiej. Już nie mówię o tym, że musiałam zostawić wszystkich moich znajomych. Ale po takim czasie pewnie już nie pamiętają, kim byłam.

Rozmyślania dziewczyny przerywa natrętny stukot szpilek mamy. Kobieta chaotycznie biega po mieszkaniu, szukając, sama właściwie nie wie czego. Pani mecenas pośpiesznie żegna się z córką, po czym wybiega przez drzwi. Laura nie ma nic przeciwko, gdy mama rozmawia przez telefon. Wtedy nie robi jej wyrzutów odnośnie jej męskiego mundurka, niechlujnych włosów, czy wiecznie obojętnej miny. Wzdycha pod nosem, niechętnie wiosłując w misce pełnej płatków kukurydzianych z mlekiem. To nie tak, że ich nie lubi, są z pewnością pyszne, jednak kiedy je się je codziennie, smakiem

zaczynają przypominać suchy papier. Wstawszy od stołu, wzięła ze sobą miskę, w której znajdowało się jeszcze nieco mleka, po czym ustawiła ją za drzwiami balkonowymi. Oczywiście w cieniu, aby okoliczne koty-przybłędy mogły nieco się schłodzić w ten uciążliwie ciepły poranek. Laura odkryła zalety lodowatej kuchni: nie przedostaje się do niej żadne ciepło. Ani fizyczne, ani to macierzyńskie.

Skrzypiące białe tenisówki zamilkły wśród odgłosów natury. Poranki nigdy nie należały do najłatwiejszych, a już na pewno nie te czerwcowe. Żar lał się z nieba, skutkując tym, że zmierzenie się z ciężarem plecaka nawet bez paru podręczników było ogromnym wysiłkiem nie do udźwignięcia. Kiedyś Laura bardzo chciała mieć piękne czarne proste włosy, lecz teraz już widzi, jak bardzo byłyby niepraktyczne. Zanim doczłapałaby na przystanek, już dawno jej głowa uległaby przegrzaniu. Swoje rude, puchate loki zapewne odziedziczyła po tacie, bo mama jest nudną blondynką. Przynajmniej łatwo będzie go kiedyś odnaleźć gdzieś w tłumie na ulicy. Chyba że jest już w innym mieście, kraju czy galaktyce.

Gdy przekraczała progi akademii, uderzył ją hałas. Automatycznie wyjęła z plecaka słuchawki, którymi próbowała zatamować dobiegający do jej uszu wrzask. Poczuli ulgę, gdy usłyszała głos Franka Sinatry. Brnęła tak przez cały korytarz wypełniony ludźmi przypominającymi pszczoły. Niezliczona grupa młodzieży wydawała głośny bełkot, poruszała się w każdym kierunku, a do tego była ubrana w mundurki o tych samych i niezmiennych od lat barwach żółtej i czarnej.

Jest i ona – klasa, w której, chcąc nie chcąc, dziewczyna spędzi najbliższe i najnudniejsze siedem godzin swojego życia. Łapiąc za kłamkę, stara się nie wydać żadnego dźwięku, jednak stare skrzypiące drzwi mają inne plany. W jej kierunku patrzy teraz cała klasa złożona z dwunastu dziewczyn i dwunastu chłopców. Laura ma serdecznie i z całego serca dość tych ludzi. Każda dziewczyna w klasie to Ola, a przynajmniej na nią się kreuje. Każda z nich ma długie, proste włosy, szczupłe nogi i rzęsy posklejane czymś czarnym i grudowatym. Nie wiadomo, która z nich rozpoczęła trend

bycia Olą. Jedyną wiadomą jest to, że pierwowzór był nudny, chichotał w najbardziej fałszywy sposób, wzdychał do przystojnego Kuby, a w wolnym czasie praktykował makijaż. O co tu właściwie chodzi? Laura pogubiła się w swoich koleżankach z klasy. Od początku miała problem z zapamiętaniem ich imion. Ale potem przyszła myśl, że po co je zapamiętywać, skoro z żadną nie rozmawia? I właściwie po co miałyby się zadawać z kimś, kto połowę swojego kieszonkowego wydaje na ciuchy? Postanowiła, że każda Marysia, Zuzka i Klaudia będzie po prostu Olą. No bo po co silić się na zaprzyjaźnianie z dwunastoma takimi samymi osobami, skoro można kojarzyć jedną pomnożoną razy dwanaście osób? Przechodząc obok zbiorowiska Olek, przez przypadek potyka się o odnóża jednego długonogiego egzemplarza. Dociera do ławki na szarym końcu sali. Jej malutkie krzesło obok parapetu, na którym stoi zaniedbana roślina, to jej ukochane miejsce w szkole. Widzi stąd całe miasto, które chętnie obserwuje. Osobami które czynią jej miejsce idealnym jest Kuba i ... Zaczniemy od Kuby. Kim jest ów Kuba? Kuba to drugie pięćdziesiąt procent klasy Laury. Jest wysportowany, uczy się raczej na trzy z plusem lub cztery z minusem, jeśli pośle nauczycielce zalotne spojrzenie. Ma ciemne, postawione włosy i białe niki. Historia Kuby jest taka sama jak Oli, więc możemy spokojnie oszczędzić sobie wyводу na ten temat. No chyba że Laura miała rację i rasa przystojnych, ale tępych kosmitów planuje opanować Ziemię i w tym celu wysłali na próbę dwunastu z nich, aby szpiegowali odkrycia techniczne ludzkości. Jednak fakt, że Jakub nie wie, ile wynosi pierwiastek z czterech, stanowczo zaprzecza tej hipotezie. Tego Kubę Bozia obdarzyła wzrostem 185 cm, co czyniło go idealną zasłoną, za którą można było rysować, ściągać i spać do woli. Ciężko stwierdzić, jaki właściwie jest Kuba, ponieważ rozmawia tylko z Olami i Kubami. A oto nadchodzi wybawienie Laury, które po dzwonku spocznie ławkę obok. Maksym to naprawdę urokliwa istota. Jest dosyć niski (patrz na Wysokiego Kubę wygina kark o mało go sobie nie łamiąc) i bardzo śmieszny. Jego blond włosy układają się na jego głowie w coś na wzór pieczarki, a spod grzywki bacznie obserwuje

otoczenie para smutnych, napuchniętych oczu o nieokreślonym kolorze. Jego nos jest czerwony od kichania i cały w piegach. Nie wiadomo, kto wybrał mu taki a nie inny kształt okularów, ale właśnie w okrągłych wyglądał rozbrajająco. Wyraźnie sepleni, jednak Laura twierdzi, że jej to absolutnie nie przeszkadza. Nosi skarpetki w dinozaury, a ze słodyczy najbardziej lubi wiśniowe lizaki. To właśnie oni są odmieńcami w klasie. Rudzielec i karzeł. Na każdym zdjęciu klasowym stoją obok siebie, co w efekcie przypomina parę clownów. Mimo tego, że otoczenie zrobiło z nich, a zwłaszcza z Maksyma, kozła ofiarnego, są bardzo szczęśliwi jako przyjaciele.

– Hej, Laurka – zawołał przeciągle chłopiec, wycierając nos.

– No hej, co ci jest? – dziewczyna oparła podbródek na dłoni i nadstawiała uszu.

– Znowu po szkole zostaję sam. Rodzice mają rocznicę czegoś tam, a ja pilnuję domu. To nie fair – mówiąc to, ścisnął w dłoniach szelki od plecaka.

– Wpadaj, kiedy chcesz. Mama robi spaghetti.

– O raju, wiesz, że kocham makaron. Wchodzę w to.

– Patrz na to! – zawołała, wyciągając z plecaka obszerny zeszyt, na co chłopak uśmiechnął się i zatarł ręce

– Czytaj i płacz!

Rudowłosa była bardzo dobrą pisarką. Miała tylko jednego czytelnika, ale był wystarczającą publiką. Pisała komedie, a raczej o abstrakcyjnych zdarzeniach, których bohaterem był Maksym. Chłopak ubóstwiał czytać niestworzone historie, jakie przytrafiają mu się w szkole i w domu, a Laura uwielbiała, gdy on śmiał się z nich do łez.

– To ci się udało! – zawył blondyn, łapiąc się ze śmiechu za brzuch. Całe zdarzenie przerwał dzwonek zwiastujący początek końca. Przyjaciele pozdrowili się smutną miną, po czym rozeszli się do swoich miejsc. Do sali wkroczyła nieco podstarzała już polonistka ubrana w fantazyjną kwiecistą bluzkę. Lekcja minęła typowo. Jak zwykle nudna, okraszona od czasu do czasu drobnymi żartami. Dzwonek oznajmił uczniom koniec ostatniej lekcji.

– Wolność! – krzyknął Maksym, machając rękami.

– No to w drogę – dodała Laura, pakując niedbale książki do plecaka, a robiła to w taki sposób, jakby wyrządziły jej straszną krzywdę. Było już późne popołudnie, słońce dawało o sobie znać, jednak nie w tak agresywny sposób, jak robi to rankiem. Gdy Laura spojrzała na przyjaciela, dostrzegła objętość jego rzęs. Były jak skrzydła motyla, rzucające duży cień. Maksym miał wiele urokliwych detali, które dziewczyna mogła obserwować godzinami.

– Matma na ostatniej lekcji to najgorszy pomysł na świecie – jęknęła rudowłosa, masując skronie. – Mózg zamienił mi się w kisiel.

– Wiem, co czujesz, geometria jest najgorsza – wzdrygnął się chłopiec. – Słuchaj... Twoja mama na pewno nie ma nic przeciwko temu, że przychodzę? Ostatnim razem była lekko nie w humorze przeze mnie...

– Nie mów tak – odepchnęła go dłonią w bok – po prostu nie jest przyzwyczajona do mojego bogatego życia towarzyskiego.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem. Laura jest znana z bycia samotnym wilkiem. To znaczy mogłaby zaprzyjaźnić się z kimś, ale każda Aleksandra i Jakub odpadają. Właśnie taka para, mijając naszych głównych bohaterów, posłała im oceniające spojrzenie po czym ruszyła, plotkując o niczym. Na szczęście obydwój nie zwrócili na to uwagi. Maksym jest bardzo wrażliwy i każdą uwagę bierze do siebie. Potem Laura musi podnosić go na duchu, co jest mało skuteczne, bo sama straciła już dawno temu pewność siebie. Pociesza przyjaciela, jednak sama nie wierzy w tę gadkę, że „wszystko będzie dobrze”.

Na miejscu zaskoczyła ich miła niespodzianka – karteczka na stole mówiąca, że mama musi dłużej zostać w pracy, a obiad jest na kuchence.

– Typowo.

– Dla mnie bomba – mówi chłopak.

Laura nałożyła na talerze dużo makaronu z sosem pomidorowym i zaniósła do pokoju. Pokój Laury w niczym nie przypomina pokoju młodej nastolatki ani też dojrzewającego chłopca. Był raczej bezpłciowy. Na białych ścianach, przyklejone taśmą klejącą, wisiały suche kwiaty, owady i fragmenty z gazet. W lewym rogu stał

duży głośnik, a na środku pokoju rozpościarał się duży puchaty dywan, na którym spoczęła para.

– Dużo ryzykujemy, jedząc na białym dywanie – odparł, celując widelcem do buzi, jednak zawartość wylądowała na ziemi.

– Właśnie widzę.

Śmiali się i rozmawiali. Laura włączyła głośnik zagłuszający głos obojga nastolatków, jednak przekrzykiwanie się nawzajem to było jedno z ich ulubionych zajęć.

– Myślałeś już nad kolejnym opowiadaniem? – spytał poprawiając okulary.

– Nie bardzo. Ostatnio brakuje mi weny.

– Może napiszesz o nas?

– Przecież zawsze piszę o nas – odparła ruda, grzebiąc w talerzu.

– Miałem na myśli nas jako parę... – zasugerował nieśmiało blondyn. Na jego policzki wstąpił okazałych rozmiarów rumieniec koloru dojrzałego pomidora.

Na te słowa Laura prawie udławiła się swoim obiadem. Wytrzeszczyła oczy w kierunku przyjaciela, który zakłopotany drapał się w tył głowy.

– Głupi pomysł – dodał ze śmiechem Maksym. – Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

Laura ciągle nic nie odpowiadała. Wpatrywała się tylko centralnie w przyjaciela, wprawiając go w zakłopotanie. Śpiewający w tle Nat King Cole sprawiał, że atmosfera zaczęła robić się gęsta.

– Błagam cię, odezwij się wreszcie! – podniósł głos chłopiec. – Jestem aż taki okropny? Za niski, prawda? Wolałabyś pewnie przystojnego Kubę albo wysokiego Jakuba. Po co w ogóle zadałem tak durne pytanie?! Tylko wszystko skomplikowałem – jęknął Maksym, zakrywając palące policzki dłońmi.

– Myślałam, że jesteś gejem.

Teraz to chłopak nie mógł uwierzyć słowom przyjaciółki. Na te słowa towarzystwo od razu się rozchmurzyło, wybuchając salwami śmiechu. Położyli się na dywanie, patrząc w sufit, z którego zwisały papierowe żurawie.

– Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć?

– Jakoś tak. Cały twój sposób bycia jest taki cukierkowy i delikatny. Już dawno przyczepiłam ci metkę „kolegi geja”.

– Nie chcę być tylko kolegą, Laura.

– No dobra, przyjaciele. A to jak na razie najważniejsza funkcja, jaką ktokolwiek pełni w moim życiu.

– Zmęczyło mnie udawanie, że nic między nami nie ma. Już od dawna coś do ciebie czuję.

Laura zamknęła oczy. Nie mogła zrozumieć, jak wcześniej mogła tego nie zauważyć? Maksym był nie tylko jej przyjacielem, ale właściwie też sensem życia. Był zawsze przy niej i tylko on potrafił ją rozweselić. Uwielbiała jego dziwny styl, momentami dziecinne zachowanie i ... chyba wszystko. Po wszystkich przykrościach z mamą, rodziną i nieobecny ojcem, pojawienie się Maksyma było jak powrót do szczęśliwych, beztrudnych lat. Gdzie do szkoły nie przychodziło się uczyć, tylko spotkać z przyjaciółmi. Dziewczyna rozumiała, że przez ten cały czas odwzajemniała uczucia Maksyma, ale unikała myślenia o tym. Nie chciała psuć tej relacji. Ale skoro już nie było odwrotu:

– Dziękuję ci, że jesteś. Kocham Cię.

– No... Ja ciebie też. Wyjaśnisz mi, czemu dywan jest brudny? I czemu na nim leżysz? I czemu nałożyłaś dwa talerze makaronu? W drzwiach stała mama, średnio uradowana widokiem, który zastała. Zapewne zrobiła tę swoją minę, ale Laura nie zamierzała otwierać oczu.

– Byłam głodna – odpowiedziała – a teraz jestem w trakcie relaksu, więc wybac mi, jeśli możesz.

Na te słowa kobieta wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Zapadła cisza. Była tak głośniejsza, że słyszeć było przeciągły szum rozsadzający bębni w uszach. Już dawno nie czuła takiej pustki, która w tym momencie wydała jej się nie do zniesienia. Nie miała jednak siły płakać. Już od dawna czuła, jakby wszystkie emocje z niej wyparowały. Odkryła, że "och" może być zarówno reakcją na jedynkę z gramatyki, jak i na spaghetti na kolację w piątkowy wieczór. Nie czuła tego, gdy ktoś wyssał z niej resztki uczuć jakby dużą pasiąstą słomką do picia mleka, ale była pewna, że jakiś czas

temu ktoś zrobił jej taki niemiły psikus. W myślach powtarzała ciągle „Maksym, odezwij się”, jednak odpowiadała jej cisza. Laura otworzyła oczy, wstała z podłogi, po czym wyszła z pustego pokoju z naczyniami po obiedzie. Mimo podniesłego nastroju tego posiłku, dziewczyna miała lekki niesmak. Opuściła pusty pokój, a drugą, nietkniętą porcję spaghetti Maksyma zjadła w towarzystwie mamy.

Dziewczyna ciągle chodzi z głową w chmurach. Do tego stopnia, że czasem specjalnie zapomina, że jej przyjaciel Maksym jest tylko wymyśloną postacią z jej opowiadań.

Julia Gorący (Zwiad 36), kl. 7
Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 3
w Kościerzynie

Oaza

To nie była imponująca oaza. Na prostokątnym kawałku trawy o rozmiarach mniejszych od klasycznego materaca zmieściła się jedna niewielka palma, źródółko z którego wypływała woda leniwym strumieniem, przypominającym zatkany piachem wąż ogrodowy. Słowem była to oaza piątej, góra czwartej kategorii. Jednak wystarczająco duża, żeby znużony wędrowiec, który przez pomyłkę zapuścił się w ten zagubiony fragment pustyni, choć na chwilę mógł odpocząć. Oczywiście pod warunkiem, że nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. W przypadku wyższych podróżników drzemka na trawie kończyła się wystawianiem stóp już poza oazę. Żaden szanujący się wielbłąd nie zamierzał korzystać z miejsca, w którym pełne zatankowanie wodą jego garbów oznaczało co najmniej dwudniową przerwę w podróży. Jednak pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia oaza i otaczające ją wydmy były niemymi świadkami kulturalnej rozmowy przebywających w niej mężczyzn. Dwaj eleganccy panowie siedzieli na trawie, popijając herbatkę, oparci plecami o pień palmy, rzucającej cień na ich głó-

wy. Dokładniej mówiąc, przebywali w oazie do kolan, ponieważ ich nogi od kolan w dół znajdowały się już na pustyni.

– Jeszcze herbaty, Sir? – zapytał mężczyzna o krótszych nogach i stopach w rozmiarze dziesięć i pół według miary angielskiej, okrytych częściowo gumowymi podeszwami. Tylko tyle pozostało po stopionych na słońcu butach.

– Uprzejmie poproszę. Czy będzie nietaktem James, jeżeli poproszę o dwie kostki lodu?

– Ależ skąd, Sir. Niestety, mamy przejściowe trudności z lodem, więc mogę jedynie zaproponować wkładkę z liścia palmy, która według wszelkich poradników dodaje herbacie nutę afrykańskiej dzikości.

– James, nurtuje mnie pewna myśl. Czy podobny trunek nie umniejszy powierzchni liści ochraniających nasze głowy przed słońcem?

– Z pewnością tak, Sir. Jednak uzyskanie prawdziwie wyrafinowanego trunku warte jest poświęceń.

– W takim razie dziękuję. Sadzę, że w sytuacji, w której się znaleźliśmy rozsądniej będzie poczekać do zmroku, kiedy nasza herbata ulegnie naturalnemu schłodzeniu dostosowując się do temperatury otoczenia.

James odstawił filiżanki z herbatą pod palmę, wciskając ich dno w miękkie podłoże, aby przypadkiem się nie rozlały. Mężczyźni zamilkli na chwilę. Zapewne przypominali sobie w tym momencie smak wielu innych napojów schładzanych, wzbogacanych kostkami lodu bądź mrożonych, które zwykle wypijali w Londynie. W ich obecnej sytuacji wymagało to mocno rozwiniętej wyobraźni.

Chwilę ciszy przerwał Sir:

– Prawdę mówiąc, James, kiedy słuchałem opowieści Sir Douglasa, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie ten, tak ostatnio popularny, fragment West End-u. Być może zjawiliśmy się już po sezonie turystycznym. Dlaczego jednak nie organizują jarmarku świątecznego?

– Pozwolę sobie zauważyć, Sir, że jarmarki świąteczne organizowane są w Berlinie, nie w Londynie. Natomiast co do centralnej części West End, to obawiam się, że Sir pomylił Soho z Saharą.

– Rzeczywiście, James, owa zbieżność nazw mogła mnie wprowadzić w błąd. Swoją drogą, to wyjaśniałoby zaskakująco wysoki rachunek wystawiony przez taksówkarza. Trzy tysiące funtów za przejazd po Londynie wydaje się nieco wygórowaną ceną, nawet biorąc pod uwagę rozrost miasta.

Mężczyzna tytułowany Sir był wysokim i chudym człowiekiem. Jego jasna cera aktualnie przybrała kolor czerwony, od oparzeń spowodowanych pustynnym słońcem. Na oko, nosił buty zbliżone do rozmiaru czternaście, również według miary angielskiej.

– Jak sądzisz, James, jakie są nasze szanse na znalezienie przez karawanę, zanim skończy się nasz prowiant? Moim zdaniem nasze szanse wynoszą jeden w skali do dwudziestu.

– Nie chciałbym Pana rozczarować Sir, ale prowiant to skończył się nam wczorajszego poranka, więc osobiście uważam, że zero bardziej odpowiada naszej sytuacji. Istnieje jednak szansa, że odnajdą nas zanim wyczerpiemy zapasy herbaty. Będzie to jeden do dwudziestu tysięcy. Chciałbym powiedzieć, Sir, że wysłałem przed odjazdem list do pańskiej szanownej małżonki, w którym poinformowałem, zgodnie z pańskim poleceniem, że udaliśmy się zwiedzić krzywą wieżę w Ząbkowicach Śląskich. Napisałem także, że nie wrócimy przed Wielkanocą. Swoją drogą, skąd Sir wziął te całe Ząbkowice?

– Cóż Jamesie, szczerze mówiąc, chciałem zrobić dobre wrażenie. Kiedy w klubie gentlemiana wymienialiśmy się doświadczeniami z różnych podróży, okazało się, że w zasadzie w każdym najdalszym zakątku świata był już ktoś z członków klubu. Pewnego razu zapytałem o Ząbkowice. W klubie zapadła cisza. Potem usłyszałem stukot zębów Lorda Fairbanksa. W końcu odezwał się Lord McBird prosząc, aby w jego obecności nie wymawiać tej strasznej nazwy. Podobno jako dziesięćolatek spędził trzy godziny zamknięty w tamtejszym muzeum Frankensteina, co spowodowało u niego klaustrofobię, arachnofobię i paraliżujący ból żołądka na sam dźwięk nazwy tego miasta.

– Rozumiem, Sir. Herbatki?

– Czy jest już aby wystarczająco chłodna?

- Znacznie chłodniejsza niż dwie godziny temu.
- Poczekajmy jeszcze godzinę.

Zmrok zapadł niespodziewanie szybko, a nocne niebo było tak zachmurzone, że trzeba by posiadać koci wzrok, żeby zauważyć filiżanki z herbatą na tle pustynnej nocy. Nocny chłód przyniósł ogromną ulgę naszym bohaterom, pozwolił odpocząć od spiekoty. Zabłąkany pustynny skoczek wcisnął się między śpiących mężczyzn, pociągnął spory łyk z filiżanki, po czym usnął na liściu palmy.

Nastał poranek. Mężczyźni byli wypoczęci, pełni nadziei i okropnie głodni.

– Poproszę specjalność szefa kuchni – zażartował Sir, zapominając o braku prowiantu.

– Oto specjalność szefa kuchni – odpowiedział głośno James, kładąc na trawie niewielki kawałek mięsa, z którego wystawała jeszcze mniejsza łapka – *Jaculus jaculus* czyli skoczek pustynny moczony w herbacie.

Zjedli ze smakiem, a Sir nawet oblizał ukradkiem palec. Dzień zapowiadał się pogodny.

– Tak się zastanawiam Jamesie, dlaczego ci mili ludzie w Egipcie, których spotkał się na pustyni pod Kairem, wiesz, ci którzy zgodzili się za tysiąc funtów zorganizować nam wielbłądzą wycieczkę po Saharze, pozostawili nas samych, pomimo że za drogę powrotną otrzymaliby kolejny tysiąc.

– Sądzę Sir, że Beduini poczuli się nieco dotknięci, kiedy Pan zapytał o prędkość internetu w ich wiosce, jaką sztukę wystawia ich teatr i czy miejscowy kucharz serwuje dania kuchni francuskiej.

– Niemożliwe. Naprawdę podobne drobiazgi wyprowadziły ich z równowagi na tyle, żeby zostawić nas na środku pustyni?

– Ma pan rację, Sir. Zapewne mieli gorszy dzień. Może chodziło o to, że przekroczyli maksymalną dopuszczalną ładowność wielbłądów określoną w lokalnych przepisach?

W każdym bądź razie, zauważyłem, że po Pana pytaniu, skąd wiedzą, która żona jest czyja, skoro wszystkie mają zasłonięte twarze, zaczęły ostrzyć swoje miecze.

- Być może, być może. Skoro jednak nie zaatakowali nas, sądzę, że obudziłem w nich humanitaryzm. Dostrzegli moje z gruntu dobre intencje, wybierając łagodniejszą formę okazania niezadowolenia.
 - Nie chciałbym Pana rozczarować, Sir, ale gdy z wrodzonym taktem, zapytał Pan ich przywódcę, w jakim stroju chodzi na basen, ten spojrzał na pozostałych i powiedział coś, co brzmiało jak „*hu ghabiun jiddaan li'iidhayih, daeah yatruck alsahra', de alhuruq alshams tuhariq biqaya eaqlih.*”
 - Niestety pośród moich licznych talentów Jamesie, brak jest znajomości języka arabskiego.
 - Ja również go nie znam, Sir, ale skorzystałem z tłumacza, jego słowa oznaczały „*jest za głupi, żeby zrobić mu krzywdę, oddajmy go pustyni, niech słońce wypali resztki jego rozumu*”.
 - Cóż mogę na to powiedzieć Jamesie, różnice kulturowe w przeszłości wielokrotnie były powodem wojen.
- Słońce wznosiło się coraz wyżej i upał narastał z każdą chwilą. Obydwaj usiłowali zapomnieć o doskwierającej spiekocie i oparzeniach słonecznych, które pojawiały się w coraz to nowszych miejscach ciała.
- Obydwaj, niemal w każdej minucie zadawali sobie pytanie czy pozostawienie oazy i próba marszu przez pustynię nie byłaby lepszym rozwiązaniem niż oczekiwanie na cud?
- Obydwaj dobrze wiedzieli, że w tej temperaturze, bez wody, nie są w stanie przebyć więcej niż kilkadziesiąt kilometrów. Choć nie byli w stanie ustalić swojej pozycji, szansa na to, że w ich zasięgu znajdują się ludzkie siedziby lub inne oazy była bardzo mała.
- Obydwaj obiecali sobie nie wypaść z przyjętych ról, niezależnie od tego, jak miałyby się to dla nich skończyć. Przysięgli sobie, że nawet jeśli pustynia ich pokona, to nie pozbawi ich poczucia humoru.
- Zauważyłem Jamesie, że zupa palmowo-piaskowa, którą serwujesz każdego popołudnia zmieniała konsystencję. Czyżbyś odnalazł jakiś nowy przepis?
 - Owszem Sir, musiałem nieco skorygować smak. Nasz dostawca wody nie wywiązuje się z zawartych umów – tu wskazał na źródło, które dostarczało mniej więcej jedną trzecią wody, która

wypływała z niego jeszcze dwa dni wcześniej. – Sądzę, że trzeba będzie zażądać odszkodowania.

– Szczerze mówiąc Jamesie, podejrzewam, że w natłoku innych spraw mogłem zapomnieć o opłaceniu kilku ostatnich rachunków.

– Rozumiem, Sir. Sądzę jednak, że reakcja dostawcy była mocno przesadzona.

– W sumie nigdy nie uważałem zalewania herbaty wodą za konieczne. Przeżuwanie jej liście uzyskuje się przecież ten sam efekt. Pustynne słońce zaczęło się obniżać, temperatura spadała. Odetchnęli z ulgą.

Przetrwali dzień nie poddając się rozpacz, choć kolejny nie zapowiadał polepszenia sytuacji. Na kolację Sir upolował zabłąkanego skorpiona. Niestety, tuż przed świtem oazowe źródło wyschło. Oznaczało to, że jeżeli mieli podjąć jakiekolwiek działania zwiększające szanse na otrzymanie pomocy, musieli to zrobić teraz, kiedy mieli jeszcze resztki sił.

– Sądzę Jamesie, że skoro już odkryliśmy w imieniu korony brytyjskiej ten niesamowicie ukryty skrawek lądu, to należałoby wyraźnie zaznaczyć na nim obecność naszego imperium tak, aby inni podróżnicy nie mogli sobie przypisać naszego sukcesu.

– Jest to jak najbardziej godna realizacji myśl, Sir. Szczerze mówiąc jest mi niezmiernie wstyd, że jako wierny poddany sam na nią nie wpadłem.

– Absolutnie nie masz się o co obwiniać, James. Od ludzi twojej pozycji społecznej nie można oczekiwać myślenia o wyższych celach. Poczucie misji trzeba wyssać z mlekiem matki, a na to potrzeba kilku pokoleń.

– Rozumiem, Sir. Jak więc wywiążemy się z tego szlachetnego obowiązku?

– Aby nasi konkurenci mogli z daleka dostrzec nasz sukces, odłamiemy największą gałąź naszej palmy, przywiążemy ją sznurowadłami do pnia, a na szczycie zawiesimy twoją koszulę. Gdyby zaś, nasi konkurenci ścigali się z nami w sposób niehonorowy, używając transportu lotniczego, położę się na piasku, kilkanaście metrów od oazy. Widziany z góry leżący człowiek z pewnością da im do

zrozumienia, że przegrali. Jeszcze za młodych lat doceniłem pozytywny wpływ kąpieli słonecznych na skórę. Niestety w Anglii sezon plażowy nie trwa zbyt długo, więc wykorzystam tę oto okazję.

W nocy, zwilżyli usta ostatnimi kroplami herbaty. Pozbawieni jedzenia i wody przetrzymali kolejne dwa dni. James, już bez koszuli, przesiadywał pod resztkami palmy, usiłując wystawić do słońca jak najmniejszą powierzchnię ciała. Sir kładł się na pustyni i wpatrywał w niebo. Wieczorem Sir nie wrócił sam na ich legowisko z pośólkłej trawy. James chwycił go pod ramiona i przyciągnął pod pień palmy. Poparzone nogi Sir-a odmówiły posłuszeństwa, a zaschnięte gardło nie chciało przepuścić ani słowa. Gdy słońce zaszło i temperatura ponownie spadła, nadludzkim wysiłkiem Sir wychrypiął:

– Jak sądzisz Jamesie, czy jutro będzie padało? Zapomniałem o parasolu, a nie chciałbym się prezentować w sposób niegodny gentlemana.

– Sądzę, że może pan być spokojny, Sir. Zapowiada się na kolejny pogodny dzień.

– Och, cudownie, cudownie, Jamesie, jak wiesz ja zawsze dbałem o nienaganny styl.

Czasem tylko on pozostaje.

Tej nocy James spał niespokojnie. Nad ranem śniły mu się okopy wojenne i on sam jako żołnierz piechoty kryjący się przed nieprzyjacielskim ostrzałem. Dźwięk ostrzeliwującego go karabinu narastał z każdą chwilą. Obudził się przerażony. Okazało się, że dźwięk nie zniknął. Po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że słyszy wirnik helikoptera. Z trudem skupił wzrok na niebie. Zobaczył śmigłowiec. Ostatkiem sił zerwał z palmy swoją koszulę, wbiegł na szczyt wydmy i zaczął nią rozpaczliwie wymachiwać. Po chwili stracił przytomność.

Obudził się na szpitalnym łóżku, podłączony do aparatury i wężyków oplatających go z każdej strony. Na tabliczce sąsiedniego łóżka zauważył napis „*Dar Al Fouad Hospital, Giza*”. Pielęgniarka natychmiast wezwała lekarza, który przyszedł po chwilę.

– Policyjny helikopter zauważył nienaturalną palmę i pana znaki. Lokalni Beduini zawiadomili władze o tym, że odradzali wam dalszą podróż w głąb pustyni jako niebezpieczną nawet dla nich, ale byli pełni podziwu dla waszej odwagi w szukaniu zaginionych bliskich. Podali też pozycję, gdzie się rozstaliście. Mam dla Pana dobre informacje z waszej ambasady. Proszono mnie, bym przekazał Panu, że pański zaginiony syn wraz z żoną zostali cudem odnalezieni 120 kilometrów od Gizy, gdzie rozbił się ich samolot.

– James próbował podnieść się nieco na łóżku. Gdy stwierdził, że nie ma na to dość sił, przymknął oczy i powiedział:

– Było nas dwóch.

– Przykro nam bardzo, ale dla pańskiego towarzysza było już za późno.

James wyrżał przez okno na wirujące ziarnka piasku na tle stojącej w dali piramidy i zanim ktokolwiek zauważył otarł jedną jedyną łzę, nad którą nie zapanował i szepnął:

– Rozumiem Sir, że miał pan dość londyńskiej mgły, ale pozwolę sobie zauważyć, że przeprowadzenie się na Saharę na stałe, to chyba nieco zbyt radykalne rozwiązanie.

Zuzanna Banach-Dziura (Banachówka),

kl. 3 gimnazjalna

Szkoła Podstawowa nr 2

z Oddziałami Dwujęzycznymi w Jaśle

Dmuchawce z tamtych lat

Już północ. Księżyc nieboga znów grzeszy zaćmieniem. Plejady tańczą jak im zagramy. Morfeusz, stary zrzęda, przysypia nad harfą. Biedny dziadziuś. W siwą brodę wkradły mu się świetliki, już nie spowija jej srebro. Chociaż kusił i ganił, dzieciaki nadal siedzą w blasku smartfonów, bawiąc się w dorosłych. Nie przebiegają się w ich ciuchy, jak my kiedyś. Mają fałszywe poczucie odpowiedzialności, podrobione dowody, sprzeczne osobowości i wyuczone na pamięć teksty – atuty ich rzekomej dojrzałości.

A oni? Siedzą sobie na przyciasnej werandzie, zerkają na grzeszną Sodomę, wspominając stare dobre czasy.

– Lata dwudzieste! – wypomniął Stary, prosto w oczy ciemnej nocy. – Cóż to wtedy było, luba! Panie w pięknych sukniach, wielcy mężowie w garniturach. I prohibicja, moja droga, prohibicja! Niejeden dostał za to od władz po uszach... to były czasy. Wytworne kapelusze i dym z cygara.

– Nie powrócą już – roześmiała się anielica w koronie z rudosiwych włosów, niepokalanych farbowaniem.

– Oj, Rysiu, Rysiu – zadumał się podstarzały rewolucjonista w bujanym fotelu. Z cygarnicy wyjął papieroska i odpalił ukradkiem, pod stołem, nie kalając oczu uśmiechniętej Starej. Uśmiechała się dobrotliwie, zerkając na niego kątem oka. Pokręciła głową, zapraszając na swoją czuprynę srebrne refleksy.

– Stary, te twoje nałogi wpędzą nas do grobu – westchnęła mimowolnie.

– Nie marudź. Na wojnie byłem, niejeden messerschmitt nie zdołał uciec niezawodnym angielskim działom. Ale lotnicy byli z Polski. Najlepsi i zawsze do celu – wymamrotał, zamyślając się i uwalniając parę z ust.

– Znowu te bez filtra palisz – wytknęła, bo na filipikę nie było już sił.

– Nostalgia, żonko, nostalgia – odparł, zawiadacko puszczając oczko.

Wstał, schodki skrzypnęły raz i drugi. A noc była piękna, oj była. Takich w naszym świecie coraz mniej. Gwiazdki migały leniwie, bezwiednie tańcząc wokół ich prywatnego bożka – Księżycy – ponurego odbicia słonecznej chwały.

Stary skrzywił się, witając swojego dobrego towarzysza – niestrudzony ból w krzyżach. Wrzucił peta w trawę i solidnie przygniótł. Popeerelowski papieros dogasał gdzieś w trawie, raniąc jej łagodną zieleni. W jego oczach też przygasło. Żwawo tłący się ogień życia, odchodził w niepamięć. Niebyt. Ręce poczęły drżeć. To nic, to przejdzie, wmawiał sobie do ostatniego momentu. Świat prześwisnął mu koło nosa, a pomarszczona twarz spoczęła na trawiastym kobiercu, niemal starannie uplecionym przez trzy złowrogie siostry.

– Stary! – zakrzyknęła rozedrgana Stara. Bezbożny fotel zatrzymał ją w swoim uścisku. Choć błagała go, tyle razy błagała, by wypuścił i w zwiotczałe nogi tchnął resztkę życia. Oczy miała jak błękitne stawy smutku, choć płakać nie było czym.

– Jasieńkowi nic nie trzeba już... bo mu kwitną pąki białych róż – wynuciła, a głos miała słaby jak dmuchawiec, liche Boże stworzenie, poniewierane przez najmniejszy dotyk wiatru. Jeszcze nie tak dawno było złocistym mleczem.

Maciej Serżysko (Towarzysz M.), kl. 8
Szkoła Postawowa nr 1 w Witkowie

Wołodia

Profesor Felicjan Staszewski ocknął się na zimnej, wilgotnej posadzce w więzieniu śledczym charkowskiego obwodowego komisarzatu NKWD. Śmierdziało tu stęchlizną, a na ścianie rozwijał się okazały grzyb. Wyposażenie celi było skromne i mało gustowne: wiadro służące za toaletę oraz spróchniała ławka. Staszewski ukląkł na betonie, obejrzał posiniaczone ręce i z jękiem nastawił wybity palec. Kapiąca z sufitu woda utworzyła małą kałużę, jednak nie chciał się w niej przeglądać – profesor nawykł do garniturów, brylantyny we włosach i okularów w drucianych oprawkach, a nie sińców, podbitych oczu i bodajże złamanego nosa.

Przez chwilę rozważał, czy aby na pewno nadal znajduje się w Charkowie. Doszedł jednak do wniosku, że nie opłacałoby się przewozić go gdzieś indziej, skoro na każdym komisariacie można było poddać zatrzymanego takim samym torturom. Ale jak długo mógł już tu przebywać? Trzy dni? Tydzień? Pewne było tylko to, że był to wrzesień 1934 roku, a aresztowano go w poniedziałek 8 września, o czwartej nad ranem. Początkowo próbował odmierzać czas za pomocą posiłków (dwie porcje dziennie), jednak ich wydawanie nie było regularne. Licząc je doszedł do cyfry nieparzystej, a przecież mógłby przysiąc, że to już ranek.

Kratka w drzwiach uchyliła się bezgłośnie, nie pierwszej czystości ręka podała kolejną rację żywnościową, składającą się z zasolonej do granic możliwości ryby i odrobiny zimnej jak lód wody. Jedzenie to wzmagало pragnienie, jednak wiedział, że jeżeli nie zadowolili się tym, nie dostanie nic innego, a jeszcze narazi się strażnikom. Profesor przełknął kęs ryby skręcając się z obrzydzenia. Sól zabiła smak śledzia.

– Wstawać! Posiłek skończony! – krzyk strażnika wdarł się w więzienną ciszę.

Profesor zerwał się na równe nogi, nie chcąc ryzykować kolejnego spotkania z sowiecką kolbą sprawiedliwości ludowej. W zamku zaskrzypiały klucze, po czym dwóch olbrzymów skuło mu ręce na plecach, założyło worek na głowę i wyprowadziło w nieznaną. Felicjan spodziewał się, że kierują go do lasu za budynkiem, gdzie spocznie w nieoznakowanej mogile, jak tysiące takich, jak on. W ZSRR można było stracić życie za nazwisko, za zbyt długie oklaski na twoją cześć podczas wiecu partyjnego, a już na pewno za profesurę. Wszystko w imię walki z kontrrewolucją.

Powietrze jednak wciąż nie pachniało świeżością, a stukot obcasów niósł się echem po korytarzu. Wreszcie zatrzymali się, a jeden z strażników pchnął Staszewskiego na twarde krzesło. Gdy rozkuto go i odsłonięto mu oczy ujrzał siedzącego za biurkiem komisarza NKWD, zapewne wysokiego stopniem, na co wskazywał Order Lenina. Jego twarz przecinała blizna, ciągnąca się od lewego kącika ust aż do ucha. Towarzyszył mu wielki czerwonoarmista o kwadratowej, chciałoby się rzec wręcz neandertalskiej szczęce.

– Profesor Felicjan Ksawery Staszewski? – zapytał oficer służbowym tonem.

Więzień potwierdził. Najwidoczniej czekało go kolejne, bolesne przesłuchanie.

– Proszę mi powiedzieć, wykładowie, obywatelu, na Charkowskim Uniwersytecie Państwowym im. Maksyma Gorkiego, jesteście pracownikiem katedry archeologii?

– Czy to źle? – Staszewski wiedział, jaką nienawiścią czerwoni darzą inteligencję.

– Obywatelu Staszewski... – Komisarz splótł dłonie, co oznaczało, że musi mieć do niego jakąś sprawę natury osobistej. Profesor pomyślał z nadzieją, że jeszcze pocieszy się życiem. – Nazywam się Fiodor Wasylewicz Kanaliow, pracuję dla Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, a przyjechałem tu prosto z Moskwy na osobiste polecenie wielkiego towarzysza Stalina, więc proszę uważać na to, co mówicie. Jeśli okażecie nam lekceważenie, zawiedziecie lub odmówicie, kapitan Wasilij Zajcew wytłumaczy wam, że popełniliście błąd. – Mówiąc to wskazał asystenta i wysunął spod blatu pojedynczy dokument.

Ja, niżej podpisany zobowiązuję się dotrzymać tajemnicy ludowej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich przeczytał Staszewski. „Nawet żadnych gróźb nie dodali” pomyślał i wręcz ucieszył się, że Stalin osobiście przysłał tu kogoś, aby zajął się jego sprawą. Mogło to sugerować, że będzie im potrzebny – komuniści pozbyli się swoich naukowców, więc nieliczni, którzy wpadną im w ręce, są cenni. Pytanie tylko – czego od niego chcą?

– Towarzyszu komisarzu, jestem tylko profesorem archeologii. Czym mógłbym się przysłużyć ja, polski kapitalista, wielkiej rewolucji socjalistycznej?

– Podpisać – warknął Kanaliow i podsunął mu pióro. Dopiero gdy naukowiec postawił parafkę polecił: – Prowadziliście wykopaliska w Kazachskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, poszukiwaliście tam pewnego grobowca... Proszę przybliżyć tę sprawę.

– Chodzi o poszukiwania grobowca Czyngis-chana – skinął głową Staszewski. Nie spodziewał się, że Stalina mogą interesować nieudane badania, choć może nie było w tym nic dziwnego. Dyktatorzy często mają obsesję na punkcie tych, za których spadkobierców się uważają.

– Czyngis-chan był wodzem mongolskim, stworzył z podbitych terytoriów państwo, które ustępowało pod względem wielkości tylko Imperium Brytyjskiemu, była to potęga. Był bezwzględny geniuszem, nikt nie potrafił przeciwstawić się jego jeździe. Szacuje się, że zabił 40 000 000 ludzi, czyli 10% ówczesnej populacji. Zmarł

w pełni chwały, nigdy nie zbuntował się przeciw niemu żaden wyższy rangą oficer. Niestety, do dziś nie jest znane miejsce jego spoczynku. Podobno wydał rozkaz, by budowniczych grobowca zabili żołnierze, a tych żołnierzy zabili kolejni, tak, by nikt nie wiedział, gdzie złożono ciało. Poświęcam się tej sprawie już od wielu lat. Mongołowie zdobyli ziemie dzisiejszego Kazachstanu i włączyli do Złotej Ordy, a to, co wyczytałem w starych zapiskach wskazywało, że możliwe jest, aby to tam go pochowano. Niestety, nie mam przy sobie całej dokumentacji, znajduje się obecnie w moim domu. W tej samej chwili kapitan Zajcew z hukiem położył na stole jego teczki i książki.

– Wracacie do Kazachskiej ASRR i będziecie kontynuowali poszukiwania wraz z NKWD – oznajmił krótko Kanaliow. – Jeszcze dziś zostaniecie przewiezieni na teren badań, otrzymacie też szczegółowe rozkazy. To wszystko.

Profesor odetchnął z ulgą i zgarnął chciwie swoje papiery.

– Odprowadzić – wydał polecenie komisarz. Do pomieszczenia wszedł kolejny wartownik i dał mu subtelną sugestię karabinem, by się pośpieszył.

Skład liczył kilka wagonów – dwa małe, pasażerskie, w których siedzieli strażnicy oraz te bydlęce, gdzie stłoczono zesłańców. Profesorowi przydzielono przedział, w którym mógł na nowo zapoznać się z mapami i starymi notatkami. Owinął się ciepłym szalem, zadowolony, że w Charkowie podarowano mu także płaszcz, uszankę, spodnie czerwonoarmisty i parę ciepłych walonek. Bez nich zamarzłby już podczas podróży, bo choć do zimy było wciąż jeszcze daleko, osłabiony organizm marzył nieustannie. Do swojej dyspozycji miał też pomyslową rukogriętkę, czyli śmierdzący benzyną podgrzewacz do rąk, raz na jakiś czas kubek kawy oraz dzwonek, który miał nacisnąć, gdy zabraknie mu kartek bądź atramentu.

– Oto kwintesencja polityki radzieckiej – jednego dnia siedzisz w więzieniu, drugiego jesteś gościem honorowym, osłanianym

przez kordon NKWD – mruczał pod nosem Staszewski. Wiedział przy tym, że działało to też w drugą stronę – raz jesteś na szczycie, raz w celi. Dobrą pozycją można było się cieszyć równie długo, co mistrzostwem świata w rosyjską ruletkę.

Do przedziału, zgodnie z obowiązującą normą kulturową, bez pytania wszedł jeden z żołnierzy. Profesor rozpoznał w nim lejt-nanta Głogowa. Ten wręczył mu zapieczętowany list, burknął coś i wyszedł.

Staszewski odłożył cyrkiel i rozerwał kopertę, z której wypadł rękopis.

Obywatelu Staszewski!

Informuję Was, że zostaliście wybrani przez Wielkiego Towarzysza Stalina do wypełnienia zadania, któremu przyznaje się najwyższy priorytet, jak i tajność. Byliście bliscy odkrycia grobowca Temudży-na Czyngis-chana. Obiekt ten od wielu lat jest poszukiwany przez NKWD – złożono w nim nie tylko ciało wodza mongolskiego, ale i pewien cenny artefakt. Jest to łuk Czyngis-chana, wykonany z chińskiego srebra, przedmiot będący bardziej klejnotem koronnym, niż bronią. Źródła, których ujawniać nie mam zamiaru twierdzą, że to dzięki niemu i jego mocy Czyngis-chanowi udało się zdobyć Azję. Oczywiście, marksizm-leninizm neguje istnienie zabobonów takich, jak „magia”, czy „religia”, jednak uważamy zarazem, że można je wykorzystać, by rozprzestrzenić rewolucję na cały świat, czyli w celu szczytnym. Jesteśmy przekonani, że jeżeli Towarzysz Stalin ujmie ten łuk w swą mocarną dłoń, Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona, przy wsparciu owej mistycznej energii, zdobędzie całą Europę, zaprowadzając w niej władzę komunistyczną. Gdy tego dokonamy, obrzydliwe ostoje kapitalizmu upadną. Informuję obywatela o tym, gdyż musicie wiedzieć, czego poszukujecie. Wierzymy, że jesteście zdolni do dyskrecji, a także, że z wykorzystaniem wszystkich środków ZSRR odnajdziecie ów łuk. Z niecierpliwością wyczekuję spotkania.

W. W. P.

Gdy profesor odczytał ostatnie słowa kartka stała się biała, jak gdyby nigdy nic nie zostało na niej napisane. „Atrament sympatyczny, ale działający na opak?” pomyślał i uważnie obejrzał pa-

pier pod światło. Nie było na nim śladu. Staszewski westchnął ciężko. Kim mógł być W.W.P.? Porównywał inicjały z nazwiskami wysokich rangą dygnitarzy radzieckich, wychodząc z założenia, że pierwsza litera oznacza imię, druga to otczestwo, trzecia jest nazwiskiem. Z resztą, skąd pewność, że był to od razu jakiś marszałek? Mało to wysoko postawionych generałów, pułkowników bądź komisarzy? W.W.P. twierdzi, że niedługo się spotkają, więc pewnie w Kazachstanie pozna prawdę.

Bardziej zmartwił go ten łuk. Faktycznie, słyszał o nim legendy, ale jeżeli NKWD szukało magicznego artefaktu to znaczyło, że on istnieje. ZSRR nie było III Rzeszą goniącą za Arką Przymierza. Komuniści walczyli ze wszystkim, czego nie potwierdza nauka (bądź czego nie rozumieli), a jeżeli postanowili zdobyć magiczny oręż mongolskiego wodza musieli mieć ku temu nadzwyczajne powody. Jednak czy on, zwyczajny profesor, mógł brać odpowiedzialność za ewentualny podbój świata przez komunistów? Wiedział o zsyłkach, łagrach i stalinowskich czystkach, o kolektywizacji rolnictwa za Lenina i wielkim głodzie w jego rodzinnej ukraińskiej republice i wiedział, że tak się dzieje wszędzie, gdzie stężenie czerwieni przekracza dozwolone normy. Ale cóż mógł uczynić? Jeśli odmówi, zabiją go, a znajdą łuk sami. Profesor westchnął, wyrzucił z głowy wszystkie myśli i pogrążył się w pełnym bezsilności śnie.

NKWD rozbiło obóz daleko poza cywilizacją, od najbliższej wsi dzieliły ich dwadzieścia trzy kilometry. Namioty sąsiadowały tu z drewnianymi chatkami przeznaczonymi dla pracowników wywożących codziennie sterty kamieni i ziemi oraz zaufanych radzieckich strażników w jednym. Były też dwie „kawalerki” – jedna przekazana profesorowi, druga dowódcy operacji, który właśnie siedział nad mapą i kreślił linię ołówkiem.

– Przeszukaliśmy już punkty od A do M i nic, choć wydawało się, że to najbardziej prawdopodobne lokalizacje. Gdzie w takim razie proponowałibyscie teraz podjąć poszukiwania? – zapytał komisarz Wołodia Władmirowicz. To właśnie on dowodził poszukiwa-

niami. Był to niski człowieczek, mierzący niewiele ponad półtora metra i wyjątkowo młody, mógł sobie liczyć nie więcej niż dwadzieścia lat. Jasne, niemal złote włosy i czujne zielone oczy nie współgrały z miną seryjnego mordercy. Nawet, gdy kopał, miał na sobie mundur NKWD, pstrokaty od medali, orderów i nagród, z których najważniejsze to Order Czerwonego Sztandaru, Złota Gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego i Order Lenina. Takim zestawem niejeden generał nie mógłby się pochwalić.

– Proponowałbym przeszukać w takim razie U. Nawet, jeśli nie jest to zgodne z zatwierdzoną przez Kreml alfabetyczną hierarchią ważności... – mruknął profesor i stuknął ołówkiem w mapę.

– Jeżeli tak mówicie? – Wołodia ziewnął i zapalił lampę naftową.

– Myślę, że nie ma sensu już dziś pracować, acz czuję, że z każdym dołem jesteśmy coraz bliżej celu. Możemy być na sto procent pewni, że grobowiec Czyngis-chana znajduje się w Kazachstanie. Tak właściwie, co zrobiliśmy z tymi szablami, które znaleźliśmy?

Felicjan uśmiechnął się pod nosem. W trakcie wykopalisk natrafili na kilka cennych przedmiotów sprzed wieków, które jednak przywłaszczyli sobie czerwonoarmiści.

– Chłopcy wymienili... – odparł Staszewski i wskazał na chatki robotniczo-wojskowe, skąd dobiegały wesołe pieśni. – Chyba ubili interes z jakimś przejezdnym Żydem. Rosenberg? Rosenbaum? Zresztą to bez znaczenia.

– Żydzi handlują nawet tutaj? – zdumiał się Wołodia. – Nie wiedziałem, że tak daleko ich wywieźliśmy... A czytaliście może tę powieść, którą wam dawałem? – zmienił temat.

Staszewski przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Oficer wcisnął mu kilka dni temu rękopis swojej powieści szpiegowskiej o agencji NKWD, który werbuje w Niemczech tajnych współpracowników pod przykrywką dyplomaty. Sam pomysł był niczego sobie – ale wykonanie? Od dłuższego czasu profesor zachodził w głowę jak delikatnie dać mu do zrozumienia, że książka się do niczego nie nadaje. Najlepiej tak, by ten nie wysłał go na tamten świat, bądź zrobił to w sposób możliwie jak najbardziej bezbolesny.

– Myślę, towarzyszu komisarzu...

- Mów mi Wowa, jak wszyscy.
 - W takim razie, Wowa... Konspekt jest rewelacyjny, jednak czy nie myślałeś, żeby spróbować swoich sił w innym rodzaju literatury? Rozumiesz, stać cię na coś więcej, niż powieści szpiegowskie. O dziwo, komisarz zachował wręcz stoicki spokój.
 - Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.
 - Podobno ćwiczysz tę nową japońską sztukę walki? Dzido?
 - Judo.
 - Właśnie. Widziałem, jak urządziłeś natrętnych tubylców. Myślę, że ten sport ma przyszłość. Może napisz o jego filozofii i technice? Myślę, że każdego zaciekawią myśli człowieka, który pochwalić się może czarnym pasem. A jaki podziw dla autora wzbudzi taka lektura!
 - Może i masz rację? – Wowa poluzował trochę mięśnie twarzy, co w jego przypadku było równoznaczne z sympatycznym uśmiechem. Profesor otarł pot z czoła.
- Noc zapadła niespodziewanie szybko.

Lejtnant Siergiejewicz nie bardzo wiedział, czego szukają, ale zapewne czegoś ważnego, skoro komisarz Władimir wyrwał mu łopatę z ręki i sam zaczął odgarniać ziemię.

Słońce przygrzewało na cześć towarzysza Stalina – kazachska pogoda była jeszcze gorsza od rosyjskiej, latem 40°C, zimą – 40°C, co daje 80°C różnicy. Raz upał, raz śnieg. Raz nogi się pociły, raz marzły.

– Jest! – ryknął nagle dowódca operacji i zawołał do siebie polskiego profesora, po czym dodał jeszcze: – Wania, Misza łomy w dłoń!

– Mój Bo... – zaczął Felicjan, ale zreflektował się, że powoływanie się na Boga w tłumie bolszewików nie było najlepszym pomysłem. Rozsądniej było zachwycać się w ciszy tym, co ujrzał, gdy dwaj czerwonoarmiści o posturze niedźwiedzi odsunęli ciężką, skalną płytę, jęcząc przy tym z wysiłku.

Łuk Czyngis-chana był krótki, brakowało mu cięciwy, a srebrne ramiona skryły się za zielonkawą warstwą patyny. Profesor nie zdążył

nawet przejrzyć bezcennych artefaktów, które odkopali przy sarkofagu Temudżyna, wykonać zdjęć i dokumentacji, gdyż komisarz odesłał go do odszyfrowania staromongolskiego tekstu. Na szczęście Staszewski lubował się w językach – biegle mówił po polsku, rosyjsku, niemiecku, angielsku i francusku, umiał posługiwać się hiszpańskim, staronordyckim i staromongolskim, opanował też podstawy ormiańskiego. Znajomość dziewięciu języków nie była imponującym osiągnięciem, jak twierdził. „Najtrudniej nauczyć się pierwszych czterech, później to już nic wielkiego” powtarzał. Po kilku godzinach żmudnej pracy wręczył komisarzowi odczytaną inskrypcję. Tłumaczenie na polski i z polskiego na rosyjski weryfikował przy pomocy słowników, swoich notatek i obszernych ksiąg słynnych epigrafów.

Dziś jestem orężem wielkiego Temudżyna, chana Mongołów, lecz zaprawdę jam jest władcą Azji. Pozwalam temu, kto mnie dzierży, przejąć kontrolę nad moją ziemią. Wraz z moimi braćmi, ukrytym pod Kijowem carem Europy, złożonym w Judzkiej Ziemi Świętej panem Afryki, pogrzebanym na dnie jeziora włodarzem Ameryki, możemy dać moc panowania nad światem temu, kto wymierzy nas przeciwko wrogom.

– Co takiego?! – ryknął Wowa wściekle, zbyt mocno ściskając łuk. Poczuł delikatne ukłucie, a z palca pociekła krew. – Władza nad Azją?! Przecież ZSRR to już jest Azja, choć bez Chin, Mandżuka i Japonii! Ale one nie są nam do niczego potrzebne!

– Towarzyszu komisarzu, myślę, że dopisek zmartwi cię jeszcze bardziej... – W tym momencie profesor znów zaczął się bać o swoje życie.

Druga inskrypcja głosiła: *Ja zabrałem moc tego łuku, aby utworzyć państwo Mongołów i ty już nic nim nie wskórasz.*

Twarz Wołodii pobladła. Czy Czyngis-chan wykorzystał całą energię łuku dla własnych celów i teraz nawet skrawka ziemi nie uda się zająć? Wydobył z kieszeni pistolet Tuła-Korowin i wymierzył w Staszewskiego, któremu żołądek podszedł do gardła.

– Czekaj, Wołodia... To znaczy, towarzyszu komisarzu! – krzyknął profesor miotając się panicznie. – Znajdziemy pozostałe artefakty! Może najpierw ten europejski? Kijów leży przecież w Ukra-

ińskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, możemy ruszać od razu! Oddasz znalezisko towarzyszowi Stalinowi, zostaniesz generałem... Nie! Marszałkiem ZSRR! A może ta wiadomość jest tylko zmyłką dla złodziei?

– Głupcze! Pewnie, że będziecie tego szukali! I myślicie, że byłbym tak nierozważny, by oddać Stalinowi władzę nad Azją, czy Europą? Ja sam koronuję się carem!

W tej chwili dłoń komisarza zaczęła się trząść, coraz mocniej i mocniej, aż pistolet wypadł mu z ręki. Po chwili Władimir Władimirowicz trząsnął się już cały, a z ust ciekła mu piana jak u wściekłego psa. Upadł, jęcząc coś boleśnie, zupełnie, jakby dostał ataku padaczki.

– Tak jak myślałem – oznajmił Fiodor Kanaliow. – Miałem odwiedzić Wowę za tydzień, a tu proszę, niespodzianka. Będziemy musieli poczekać, aż wybudzi się z tej śpiączki.

– Przepraszam, ale co takiego się stało? – zapytał profesor Felicjan Staszewski patrząc na komisarza. Leżał na łóżku z zamkniętymi oczami, jego kończyny były sztywne, a sam przypominał bryłkę lodu. Oddech zanikł dwa dni temu, a pomimo to wciąż żył – przynajmniej tak twierdził Kanaliow.

– Skaleczył się o łuk Czyngis-chana, a ten był zatruty – oznajmił Kanaliow i pomógł kapitanowi Zajcewowi załadować współpracownika do drewnianej skrzyni, po czym zaczął go zasypywać lodem. – W archiwum centrali NKWD w Moskwie wyczytałem, że jeżeli magiczny przedmiot przekazuje energię przez uklucie, to znaczy, że jego moc jest na wyczerpaniu. Badał to zjawisko Nimow, ale niestety, zginął z rąk nieznanymi sprawców. Na szczęście zostawił notatki i to na nich bazujemy.

– Czyli łuk jest bezwartościowy? – zmartwił się profesor, podnosząc artefakt przez grube rękawice. – Albo inaczej, czy ma jakąś wartość, poza historyczną?

– Nie! Nie ma żadnej, jest tylko muzealnym eksponatem – Fiodor pokręcił głową. – Teraz poczekamy trochę, aż nasz kolega się obu-

dzi, wtedy wrócimy do poszukiwań. To Wołodia zna się na tym wszystkim, ja jestem tylko od mokrej roboty. Zrozumcie, obywatelu, że ja i on jesteśmy jedynymi ludźmi na Kremlu, którym Stalin ufa. Ani Jeżowowi, ani Tuchaczewskiemu, nikomu nie ufa, tylko nam. Nie da też nikomu innemu tej roboty, bo wie, że tylko my go nie zdradzimy. Ale bez intelektu Wowy nic nie zdziałamy, obywatelu profesorze.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. Tak, wierny jak pies.

– Kiedy towarzysz komisarz powinien wrócić do świata żywych?

– Hm... Teoretycznie nie będzie to wcześniej jak w 1950 roku... Ale może być i później. Najczarniejszy scenariusz to rok 1975. Nie pozostaje nam nic, jak tylko czekać. Przewieziemy go do Leningradu, tam sobie poleży. Wiecie, my to nazwaliśmy „krioniką”. Zamrażamy delikwenta, odmrażamy za kilkadziesiąt lat i okazuje się, że nic się nie postarzał. Taką przynajmniej mamy nadzieję. Jak na razie z jednym prawie się udało, z towarzyszem Leninem. Śpi sobie spokojnie w Moskwie i czeka na lepsze dni, by znów stanąć na czele rewolucji. Tak... Na pewno uda się go przywrócić do życia. Felicjan zamyślił się. Usłyszał bardzo dużo... Nie wiedział nawet, czy nie za dużo. Lenin wiecznie żywy? Krionika? A czy on sam będzie bezpieczny?

– Spokojnie – Kanaliow chyba czytał w jego myślach. – Wy również przeczekacie ten czas w lodzie... Na Syberii. Krionika naturalna, tak zwany gułag – ucieszył się Fiodor Wasylewicz.

Staszewski jęknął. Nie podzielał jego entuzjazmu, ale na wszelki wypadek nie pokazał tego po sobie.

Poza tym Syberia dawała przecież badaczom wielkie możliwości i zamierzał z nich skorzystać. Czekala tam na niego już połowa kadry profesorskiej, może przekwalifikuje się na etnografa... Był przekonany, że spotkania z tamtejszymi szamanami staną się jego częścią wielkiej przygody. Zresztą, czy miał jakiś wybór?

**Natalia Kędrek (Czytelniczka x16), kl. 3
Szkoła Podstawowa nr 2
z Oddziałami Dwujęzycznymi w Jaśle**

Sara

Od zawsze podobało mi się moje miasto. Jest niewielkie, ale moim zdaniem, piękne. Uwielbiam spacerować uliczkami, po rynku lub w parku. Tak... zdecydowanie najbardziej podoba mi się park. Czasami zamykam oczy, wsłuchując się w odgłosy miasta. Słyszę wodę w fontannie... matkę, która woła swoje dziecko... słyszę ptaki nad głową... słyszę samochody i krzyki kierowców, spieszących się do pracy. Widzę to wszystko oczami wyobraźni i uśmiecham się. W pewnym momencie zaczęłam się zastanawiać... jak było kiedyś? Czy było tak samo? Czy fontanna w parku chłodziła dzieci latem? Czy w bibliotece przesiadywali czytelnicy? Czy na ulicach panował taki ruch? Spróbowałam to sobie wyobrazić... Nie wiem, w których dokładnie latach się znalazłam. Miałam na sobie prostą spódniczkę do kolan, pomyślałam, że całkiem ładną. Spojrzałam przed siebie... Rynek. Zdecydowanie był to rynek, dość podobny... duży plac, kamienice dookoła... Poszłam dalej, przed siebie. Mijałam ludzi, uśmiechniętych i życzliwych dla siebie. Minęłam mały sklepik, kobiety w kolejce, gaworzące o codziennych problemach pań domu. Zobaczyłam dzieci biegające we wszystkie strony. Nagle ujrzałam ją. Małą dziewczynkę, z dwoma warkoczycami. Miała może pięć lat. Biegła prosto przed siebie, przestraszona. W tamtym momencie... ludzie wokół nagle się zmienili... byli przerażeni. Odwróciłam się, sprawdzając, przed kim ucieka dziewczynka. Kobieta, trzymana przez żołnierza, machała do niej ręką, aby uciekała... Płakała. Niespodziewanie na rynku pojawili się jacyś żołnierze. Jeden z nich biegł prosto na mnie. Zaczęłam biec, ile sił w nogach. Pędziłam wzdłuż rynku, kilka metrów za dziewczynką. Obróciłam głowę – mundurowy doganiał mnie. Już tylko trzy kroki... dwa... już mnie ma, pomyślałam. Wtedy stało się coś dziwnego – mężczyzna minął mnie, zupełnie jakbym nie istniała.

Rozpłynęłam się, dosłownie na ułamek sekundy, po czym znów się pojawiłam. W tym czasie żołnierz dogonił ją. Rozpłakała się, krzyczała, próbowała się wyrwać. Nie mogłam na to patrzeć. Próbowałam krzyczeć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z mojego gardła. Raptem otworzyłam oczy i znalazłam się w innym świecie, moim świecie, w moim Jaśle, które znałam od dawna... Czy na prawdę tak było? Czy to tylko moja wyobraźnia płata mi figle?

Była tylko jedna osoba, która mogłaby mi pomóc w tej sytuacji. Pomyślałam o mojej babci, która czasami opowiadała mi o wojnie, czasach swojej młodości, o tym, jak kiedyś wyglądało życie. Uznałam, że ona będzie wiedziała. Przywitała mnie z uśmiechem, który odwzajemniłam. Przez krótką chwilę uświadomiłam sobie, ile ta kobieta przeszła, ile bólu widziała, a mimo to, wciąż potrafiła się szczerze uśmiechać.

– Babciu... chciałabym z tobą porozmawiać – zaczęłam ze smutkiem w głosie.

– Co cię martwi, dziecko? – dotknęła mojego policzka, widząc nagłą zmianę mojego nastroju.

– Babciu... opowiedz mi... jak wyglądało życie... to miasto... kilkadziesiąt lat temu? Siedziałam akurat w parku, rozmyślając o tym... – opowiedziałam jej, co widziałam. O rynku, o ludziach, o dziewczynce i żołnierzach. Staruszka pokiwała głową. Rozumiała. Odpowiedziała, iż się nie mylę. Ludzie tutaj nie mieli lekko. Słuchałam, jak mówiła, o tym, co ją spotkało, co widziała, o czym słyszała.

Po godzinie rozmowy z babcią uznałam, że jest jeszcze jedno miejsce, które muszę odwiedzić – biblioteka. „Tam na pewno znajdą się odpowiedzi”, pomyślałam. Ponownie wsiadłam do autobusu. Zmęczony kierowca przywitał mnie z lekkim uśmiechem. Znów siadłam przy oknie, podziwiając znajdujący się za nim świat.

Wysiadłam na przystanku niedaleko biblioteki. Wszłam po schodach do budynku Jasielskiego Domu Kultury, a potem kolejnymi schodami w górę. Otworzyłam drzwi. Nie wiedziałam, w którym dziale szukać. Właściwie nie wiedziałam za bardzo, czego szukać.

Zapytałam bibliotekarkę o książki historyczne, stare gazety, artykuły o Jasle. Popatrzyła na mnie znad komputera, uśmiechnęła się i zniknęła za półkami. Przypomniałam sobie, ile czasu potrafiłam tu kiedyś spędzić na szukaniu książek fantasty czy romanśów, a nigdy nie pomyślałam o czymś opartym na prawdziwych zdarzeniach. Kobieta wróciła ze stosem książek na rękę. Przyjrzałam się im – stare, zniszczone, niektóre z posklejаныmi taśmą okładkami. Podziękowałam i wypożyczyłam kilka. Wybrałam najciekawsze i postanowiłam poczytać na miejscu. Usiadłam przy stoliku, oddając się lekturze. Znalazłam wiele informacji i zdjęć. W jednej z książek opisane były historie jasielskich dzieci, w innej ciekawostki dotyczące dziejów społeczności żydowskiej. Te były najciekawsze. Dotychczas nie miałam pojęcia, że Jasło zamieszkiwało tak wielu Żydów. Przypomniałam sobie dziewczynkę i kobietę z rynku... Piwne oczy, szatynki, kobieta niższa ode mnie... Żydówki. Dlatego tamci wojskowi je ścigali... Obowiązywał je zakaz przechodzenia przez rynek. Powinny być w getcie. Co więc musiało się stać? Próbowaly się wydostać? Niesforna córeczka droczyła się z mamą i uciekła? Odłożyłam książkę. Przejechałam palcem po starej, zakurzonej okładce. Spojrzałam przez okno; niebo jest niezwykle kolorowe. Uwielbiam zachody słońca; ciepłe, przyjemne dla oka barwy sprawiają, że można na chwilę oderwać myśli od trosk całego dnia. No właśnie. Tylko na chwilę.

Potem, gdy słońce całkiem zaszło, udałam się do domu. Całą drogę rozmyślałam o tej dziewczynce. Myślałam też o niej zanim zasnęłam. Nie dawało mi spokoju, jak to możliwe, że się tam znalazły. Nawet nie zauważyłam, kiedy odpłynęłam do krainy Morfeusza... Widziałam je znowu. Dziewczynka była daleko, matka szukała jej, krzyczała z rozpaczą w głosie: „Saro! Saaro, gdzie jesteś, dziecko?!”. Biegła po ulicach getta, podczas gdy córeczka była dawno poza ogrodzeniem. Matce udało się przemknąć przez bramę, teraz już widziała dwa ciemne warkoczyki córki, podskakujące równo z tempem jej biegu: w prawo, w lewo, w prawo, w lewo. Biegła za córką. Dobiegły do rynku. Poczuła, że ktoś ją przytrzymuje, zaczęła krzyczeć do dziewczynki, szarpać się. Na policzkach poczuła łzy.

Obudziłam się z płaczem. Nie miałam pojęcia, co teraz zrobić. Wyrzłałam przez okno – słońce było wysoko na niebie. „Musi być już południe”, pomyślałam. Musiałam wyjść z pokoju. Po chwili szłam już ulicą w stronę parku. Czułam, że tylko tam zdołam ochłonąć. W drodze do ulubionego miejsca postanowiłam pójść się pomodlić, przynajmniej tyle mogę zrobić dla tej biednej kobiety. Tak na prawdę nie wiedziałam, czy istniała kiedykolwiek Sara z dwoma warkoczykami lub jej matka. Uznałam jednak, że modlitwa nie musi być dokładnie za tę rodzinę.

Najbliżej miałam Kościół pw. Św. Stanisława. Mały kościółek, do którego często zabierała mnie babcia. Weszłam po cichutku, uklękłam w ostatniej ławeczce i pomodliłam się. Później udałam się do parku. Był początek jesieni, pięknej i złocistej, z każdym podmuchem wiatru liście opadały na ziemię. Spacerowałam alejkami, podziwiając przystrojoną w czerwonozłote szaty naturę. Minęłam fontannę i udałam się w stronę swojej ulubionej ławeczki. Był to mój mały kącik na odpoczynek i przemyślenia. Ponownie wróciłam myślami do Sary i jej mamy. Tym razem było inaczej. Dziewczynka bawiła się z jakimś mężczyzną. Miał krótkie, ciemne włosy, bokobrody i piękne piwne oczy, takie same jak matka Sary. Trzymał ją teraz na rękach, a ona wołała „tata, tata”, śmiejąc się. Ciepłej mi się zrobiło na sercu, gdy patrzyłam na ten cudowny obraz rodziny. Nagle pociemniało mi przed oczami. Ucichł śmiech dziecka. Po chwili ukazał się inny obraz... Sara siedziała skulona – chowała się. Zrobiłam więc to samo. Spojrzałam na dziewczynkę, jej policzki były mokre od łez, serce biło jej jak oszalałe, a wzrok miała skierowany w konkretny punkt. A raczej na konkretną osobę. Powiodłam wzrokiem w tym samym kierunku. Mężczyzna, bity przez dwóch SS-manów. Wychudzony, posiniaczony i zakrwawiony. Sara płakała na widok ojca. Chciała do niego biec, lecz powstrzymały ją ręce matki, która cały ten czas siedziała tuż za mną. Żołnierz wyciąga pistolet... celuje... strzela. Rozległ się huk. Potem był już tylko płacz Sary i jej matki. Nagle drugi mężczyzna spogląda w naszym kierunku... Usłyszał je... To koniec. On jednak wyciągnął Sarę i jej matkę z kryjówki, zaczął krzyczeć coś po nie-

miecku. Skuliłam się na dźwięk jego głosu, bałam się, że dostrzeże również mnie. Sara i jej matka zostały zaprowadzone do getta. Obie straciły kogoś ważnego. Nie miały siły na protest... poddały się. Później było już tylko gorzej – strach, głód i rozpacz stały się ich codziennością... A przecież całkiem niedawno Sara bawiła się w domu z ojcem. Lecz ojca już nie ma... nie wróci.

Poczułam coś mokrego na twarzy. Otworzyłam oczy – deszcz. Szybko wstałam z ławki, postanowiłam się schować. Poczułam suchość w gardle; musiałam się czegoś napić. Skierowałam się do Panoramy, jest tam restauracja, więc przy okazji coś zjem. Usiadłam przy stoliku w kącie... serce nadal szalało, nie wiem jednak, czy od obrazów, czy szaleńczego biegu. Zamknęłam oczy... wróciła do mnie Sara... Spacerowała z mamą po synagodze – znajdowała się ona dokładnie w tym miejscu, w którym ja teraz. Była piękna. Zarówno od środka jak i z zewnątrz. Po chwili dołączył do nich ojciec... samotna łza spłynęła po moim policzku, bowiem miałam przed oczami obraz tego mężczyzny, padającego na twarz... Odpędziłam te myśli, skupiłam się na tym, co dziewczynka pokazywała mi teraz... Ale zaraz... gdzie synagoga? Znajdowałyśmy się na targu. Matka z córką szły za rękę, przedzierały się wśród tłumu kupców w stronę jednego ze sklepików. Była to mała piekarnia. Weszły do środka, zobaczyłam za ladą ojca dziewczynki. Uśmiechał się od ucha do ucha, a na widok żony i córeczki wyszedł do nich, aby je przytulić. Znowu byli szczęśliwą rodziną.

Po wyjściu z restauracji skierowałam się do domu. Robiło się coraz później... W pewnym momencie zauważyłam, że idę w przeciwnym kierunku, niż powinnam. Nogi znowu niosły mnie do parku. Szłam ulicą Kościuszki, mając przed oczyma zdjęcie, które niedawno widziałam w Muzeum Regionalnym; rzeka ludzi, idących na dworzec... Spojrzałam na zegarek, była czwarta po południu. Uznałam, że może kolejna wizyta w parku mi nie zaszkodzi. Usiadłam więc na swojej ławeczce i zamknęłam oczy. Czekałam na Sarę. Tym razem jednak się nie pojawiła. Nic... pustka. Zastanowiłam się chwilę, lecz czekałam dalej. W końcu ją zobaczyłam. Była prowadzona wraz z mamą i wieloma innymi Żydami w stronę

dworca kolejowego. Było to 17 sierpnia 1942 roku. Wszyscy wsiedli do wagonów, więc szybko wskoczyłam za nimi. Jechaliśmy dłuższą chwilę, niepewni co się dzieje. Mimo iż ja mogłam uciec, oni nie mają... gdzie ani jak. Usłyszałam szepty, jakaś nazwa... Sz... sz... Szebnie. Z lekcji historii znałam tę nazwę... Tylko nie wiem skąd... Nagle to do mnie dotarło. Obóz zagłady... Dzisiejsza data... Wtedy została przeprowadzona akcja likwidacji getta w Jaśle... Dla tych ludzi oznaczało to koniec... Spojrzałam na Sarę: spała błogo w rękach matki, zmęczona ciągłym płaczem. Ogarnął mnie strach... chciałam coś zrobić, jakoś im pomóc... lecz było już za późno... Pociąg zaczął zwalniać... jesteśmy na miejscu.

Więcej już nic nie widziałam. Dziewczynka z matką zginęły w obozie.

Po chwili znalazłam się w znajomym miejscu. Rozejrzałam się... Wokoło były tylko ruiny, sterty kamieni i kurz... Jasło... całkowicie zniszczone... Gdzieś tam stały jeszcze budynki, jednak z większości nie zostało już nic... Przedzierałam się wśród stert gładów, w tumanach pyłu. Dotarłam na rynek... Nie przypominał miejsca, którym był wcześniej; nie było dzieci, kobiet, sklepikarzy... Nie było już nic.

Uświadomiłam sobie, że jest to to samo miasto... Moje miasto. Miasto, w którym mieszkam od zawsze. Miasto, które kocham... Dzisiaj Jasło wygląda inaczej niż w czasie II Wojny. Teraz jest wesołym, spokojnym i bezpiecznym miastem. Możemy swobodnie korzystać z jego dóbr, takich jak parki, biblioteka, ośrodki sportowe... Możemy chodzić do kina z przyjaciółmi, uczyć się w szkołach. Czasami zapominamy, o tym, co działo się tu kiedyś. Sama nie miałam o wielu rzeczach pojęcia, zanim poznałam Sarę. Pokazała mi inny świat, mroczny, pełen zła i nienawiści. Mimo młodego wieku, przeżyła tak wiele... Myślę, że nigdy o tym nie zapomnę. Cieszymy się tym, co mamy teraz, tym bezpieczeństwem i spokojem... Ale nigdy nie wolno nam zapomnieć o tym, co było kiedyś.

**Ina Kłopotowska (Ina 2), kl. 3 gimnazjalna
Szkoła Podstawowa nr 24 w Białymstoku**

Mrowisko

Budzę się jak co dzień, w tym samym miejscu, o tej samej porze. Wiem dokładnie, co będę dziś robić. Nie muszę niczego obmyślać ani niczego zmieniać – harmonogram na każdy dzień został kiedyś precyzyjnie ustalony. Raz na zawsze zapisany w pamięci kolejnych pokoleń.

Wyprostowana wychodzę z niszy i dołączam do strumienia identycznych istot. Pulsujący potok ciemnych, błyszczących ciał wypełnia ciasne korytarze niczym krwiobieg wielkiego organizmu. Synchronizujemy nasze oddechy, a odgłos naszych kroków wystukuje miarowy rytm. Od tej chwili nie ma już mnie, jesteśmy tylko my – idealna wspólnota pracy. Perfekcyjny mechanizm, w którym każdy zna swoje miejsce i zadania. Czuję dumę, że jestem częścią Mrowiska! Ja – Robotnica nr 3725 sama nie znaczę nic.

Budzę się jak co dzień, w tym samym łóżku, o tej samej, nieludzkiej porze, z poniedziałkowym planem dnia w głowie. Kto wymyślił, żeby od chemii zaczynać tydzień?

W pół godziny później przygnieciona ciężkim plecakiem dołączam do strumienia innych, równie nieprzytomnych istot. Potok karnych, zgarbionych ciał w identycznych, nudnych mundurkach za moment wypełni ciasne, szkolne korytarze. Zlany w jedną, buczącą masę rozdzieli się na oddziały znikające w zakamarkach budynku – szarego gmachu o wspaniałej historii i tradycji. Nasza Szkoła – najlepsza szkoła w mieście! Teraz jest trochę ciężko, ale po niej czeka nas świetlana przyszłość w najlepszych klinikach, kancelariach lub lśniących biurach City.

Schodzimy niżej i niżej. Poruszając się z nurtem docieramy na poziom -30. Podchodzimy do Zarządcy i meldujemy się. Dyspozytor przydziela nam zadania, które nie różnią się niczym, odkąd pamiętam. Dzięki tej rutynie jesteśmy niezawodne i perfekcyjne.

Całym oddziałem przystępujemy do drażenia dodatkowych komór spichrzowych, aby nasza osada mogła się dalej prawidłowo rozwijać. Nie boimy się ciężkiej pracy, urodziłyśmy się, aby ją wykonywać.

Powoli wdrapuję się na drugie piętro. Siadam w tej samej, co zwykle ławce.

– Numer 10 – czyta nauczycielka.

– Obecna! – odpowiadam i wstaję odruchowo.

Otwieramy książki i rozpoczyna się mozolny proces napełniania naszych głów strumieniami wiedzy. Już za rok egzamin, na którym mamy wypaść perfekcyjnie. Rozumiemy to doskonale, przecież chcemy być prawnikami, lekarzami, ekonomistami, tak jak pokolenia naszych poprzedników i naszych następców.

Nagle naszą pracę przerywa alarm Zarządcy. Taka sytuacja nigdy dotąd się nie zdarzyła, więc zaskoczone stajemy w szeregu, czekając na dyspozycje. Robotnice budowlane o numerach od 3700 do 3740 otrzymują zadanie specjalne, w związku z atakiem wroga oraz zawaleniem się jednego z głównych wejść. Pada rozkaz natychmiastowego opuszczenia sektoru. Zwartą kolumną biegniemy w stronę wyjścia nr 17, omijając zawalony korytarz. Zgodnie z procedurą musimy opuścić Mrowisko i rozpocząć prace od zewnątrz. Wartownik sprawdza nasze przepustki i wskazuje nam miejsce katastrofy. Pierwszy raz w życiu opuszczam podziemne schronienie. Chcę biec do akcji, lecz nagle staję jak wryta. Moje nieprzystawczajone do światła oczy rażą ostre promienie. Otumania mnie powiew powietrza i ogłusza kakofonia dźwięków. Z przeobrażenia kręci mi się w głowie i chwieję się na nogach. Ktoś zarzuca mnie na swoje plecy i ciągnie w nieznanym kierunku.

– Numery 1, 7, 10, 13, 21 otrzymują oceny niedostateczne – z koszmarnym wyrzutem czyta nauczyciel chemii. Ziemia usuwa mi się spod nóg. To moja druga jedynka w tym semestrze, a przecież wkuwałam przez cały weekend. Resztę tygodnia zmarnuję pewnie na korepetycjach i znowu dostanę szlaban na wszelkie wyjścia. Ostre dźwięk

dzwonka nie zmieni niczego. Za chwilę angielski i kolejne omówienie sprawdzianu, który pewnie też zawaliłam. Mam dość! – coś we mnie pęka. Chwytam plecak i zbiegam do szatni po kurtkę.

– Przepustka! – drogę zagraadza mi woźny.

– To moja mama – kłamię jak z nut pokazując pierwszy lepszy samochód. Jak szalona pędzę w stronę parku. Po godzinach spędzonych w ciemnej, dusznej szkole przyjemnie odurza mnie słońce, koi wiatr i wesołe świergoty ptaków.

– Tej to dobrze! – myślę, mijając rysującą na ławce dziewczynę. Nie wiele starsza ode mnie, z odlotowym strojem i fajną fryzurą jest jak kolorowy ptak. Odruchowo zwalniam i przystaję, zerkając na jej szkic. Pod naporem mojego wzroku postać odwraca się i uśmiechem zaprasza, bym się przysiadła.

– To normalna reakcja na otwartą przestrzeń – słyszę wesoły głos nachylonej nade mną Mrówki Zaopatrzeniowej.

– Za chwilę ci przejdzie i zakochasz się w Zewnętrznym Świecie. Te widoki, barwy, ruch, cudowny rwetest przyrody! Codzienne zmiany i nowe przygody. Rozejrzyj się wokoło... Tu jest życie! Jak wy tam na dole wytrzymujecie w tym ciemnym, klaustrofobicznym, nudnym labiryncie?

– Ale tu jest tak niebezpiecznie! Można się zgubić albo zostać pożartym, przykleić się do żywicy, utonąć w potokach deszczu! Czy wy się tego nie boicie?

– Oczywiście, czasem czujemy lęk i wątpliwości. To jest właśnie cena wolności!

Zdumiona patrzę na śmiałe ruchy ołówka w jej dłoni. Obraz jest jak żywy, błyskawicznie rozwijający się organizm. Z kartki obserwuję mnie istoty jakby z odległego świata. W dziwnych pozach i metalicznych strojach wydają się poruszać, wołać, zapraszać.

– Lubisz rysować? – zaczyna rozmowę dziewczyna.

– Uwielbiam! – odpowiadam lekko speszona i wyciągam z plecaka mój sekretny szkicownik.

– Zerkniesz? – pytam nieśmiało.

Uważnie, kartka po kartce przegląda notes, który głęboko chowam przed rodzicami.

– Masz talent! – mówi poważnym głosem. – powinnaś go dalej rozwijać. Zaufaj mi, znam się, studiuję na Akademii Sztuk Pięknych.

– Według moich rodziców rysowanie to strata czasu – odpowiadam smutno. – Ja wybieram się na prawo, podobnie jak tata i brat. A ty, nie boisz się, że nie znajdziesz potem dobrej pracy? Słyszałam, że artyści często przymierają głodem...

– Oczywiście, nie wszystkim udaje się wybić, a mimo to nie zmieniłabym mojego kierunku na inny. Sztuka to kwestionowanie reguł i lot w nieznane. Dzięki niej mogę czuć się wolna i być sobą!

*– Mrowisko to idealna wspólnota pracy – recytuję dumnie elementarz naszej kasty. – Automatyzm i perfekcja naszych ruchów tworzą idealny system. Wierność regułom i schematy dają wspa-
niałe rezultaty i zapewniają nam poczucie bezpieczeństwa! Wy, Mrówki Zewnętrzne, tego nie zrozumiecie.*

– Nie ma nic złego w byciu częścią Mrowiska. Pod warunkiem, że nie przestajesz być Mrówką – zagadkowo odpowiada Zaopatrzeniowa.

– Muszę wracać na swoje stanowisko – mówię cierpko. – Mrowisko mnie potrzebuje!

– Nie martw się, zostałam już zastąpiona – odpowiada Zewnętrzna. – Mrowisko może się obyć bez każdej z nas...

Budzę się jak co dzień w tym samym łóżku, o tej samej, niehumanitarnej porze, z poniedziałkowym planem dnia w głowie. Kto wymyślił, żeby od chemii zaczynać tydzień?

W pół godziny później przygnieciona ciężkim plecakiem dołączam do strumienia innych, równie nieprzytomnych istot. Potok karnych, zgarbionych ciał w identycznych, nudnych mundurkach wypełnia ciasne, szkolne korytarze. Zlany w jedną, buczącą masę rozdziela się na oddziały znikające w zakamarkach budynku.

– Odrobiłaś zadania z fizyki? – pyta któraś ze „współwięźniarek” szarego gmachu o wspaniałej historii i tradycji. Zamiast zeszytu niechętnie wyciągam szkicownik i... nagle podejmuję decyzję!

*– Mamo, tato, nie idę na prawo! Wybieram siebie!
Jak to dobrze nie wiedzieć, co wydarzy się później... Jak dobrze mieć
wątpliwości!*

Jakub Murak (Jarzy), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 16 w Studzienicach
Domowik

Za okienną błoną szalała prawdziwa śnieżna zawierucha. Wczesne zachody słońca sprawiały, że położone z dala od sąsiedzkich zawieruch domostwo pani Żywii wcześniej wypełniało się przyjemnym ciepłem paleniska i zapachem gotowanej zupy. Żywia zawsze gotowała wyjątkowo duże porcje swych dań jak na starszą, szczupłą kobietę, samotnie żyjącą z dala od ludzi. Ten wieczór nie stanowił wyjątku. Kobieta nalała żurku do swojej miski oraz małej drewnianej miseczki. Postawiła oba naczynia na stole, dorzuciła drwa do paleniska i łyżką poczęła stukać o kociołek w którym gotowała. Po sześciu wyraźnie słyszalnych w całym domiszczu stuknięciach, pod sklepieniem można było dosłuchiwać się szelestu wśród strzechy. Obcy wzburzyliby się, że Żywia nie robi nic z myszami w swym domu, jednak ona wiedziała doskonale kto tak hałasuje. Kichnęła zakrywając twarz chustką i niecierpliwiąc się poczęła stukać obcasem. Coś bezsprzecznie się zbliżało, lecz niezwyczajnie mozolnie. Gospodyni wydało się nawet, że słyszy ziewanie. Owa zaspana istotka dotarła w końcu na półki w sąsiednim pomieszczeniu i wtem rozbudzona wspianiałym zapachem przyspieszyła kroku, aż w końcu ukazała się w świetle paleniska. Włochata postać, przypominająca wysokiego na niecałą stopę dziadunia z długą brodą.

– Dobry wieczór śpiochu – rzekła Żywia, po czym znów kichnęła. Niema istotka skinęła z uśmiechem, po czym przeciągając się usiadła przy stole, zajmując najbliższe kominkowi miejsce. Pani domu podała mu małą miseczkę z łyżką, po czym usiadła naprze-

ciw niego i życząc domowemu duszkowi smacznego, wzięła się za ogrzewanie zmarzniętych pracą na zewnątrz kości. Domowik też jadł, mimo niewielkich rozmiarów, zażyczył sobie tylu dodatków, że Żywia zaproponowała mu jedzenie z miski zwykłych rozmiarów. Duszek przytaknął jedynie i wrócił do pałaszowania, na co kobieta zareagowała chichotem. Gospodyni mówiła mu, że jutro musi odpocząć, gdyż ostatnie dni sprawiły, że potwornie się przeziębila. Zapowiedziała też zadania duszka na przyszłe dni, w skład których wchodziły niewielkie porządki, łapanie gryzoni i przyniesienie chrustu. Domowy opiekun wiedział jednak, że ponad te zadania najważniejszym będzie pomóc wyzdrowieć pani domu. Z takim przeświadczeniem dokończył kolację, a gdy i Żywia zjadła, zajął się dokładnym wymyciem misek. Gdy skończył, upewnił się, że jego pani już spokojnie śpi, po czym jął wykonywać swoje obowiązki. Rozpoczął od sprawdzenia, czy w domu są wystarczające zapasy czosnku i miodu, po czym zajął się przyrządzaniem zapasu syropu z cebuli. Zaś po przygotowaniu leczniczego asortymentu ubożatko wysprzątało, jak codziennie, cały dom i wygoniło zeń wszelkie szkodniki. Gdy na zewnątrz ciemność się przerzedziła, duszek wybył, aby zebrać odrobinę ściółki na rozpałkę. Luty zawsze był niebezpiecznym miesiącem. Srogie, wschodnie zimy nie litowały się nad nikim, toteż domowik lata temu uszył sobie ze starych futer mały płaszczyk i czapkę. Las, mimo że obiektywnie uważany za niebezpieczny, dla duszka był bezpieczniejszy od okolic schrystianizowanych wsi. Ludzie w nich zaczęli, pod wpływem przybylszy z zachodu, uważać swych starych opiekunów za szkodliwe diabły, których trzeba się pozbyć. W ten sposób opiekunowie domów wynieśli się w większości precz od ludzi, aby ci im nie zagrażali. Domowy duszek rozmyślał, podczas swych poszukiwań, na temat przyjaciół, którzy odeszli dalej na wschód niepewni swego dalszego losu. Miał nadzieję, że jego dawni znajomi mają się dobrze i znaleźli dom wśród mroźnych równin carstwa. Tęsknił za czasami, gdy każdy z nich miał swoje imię, aby można było z łatwością przywołać konkretne ubożęcie. Teraz, gdy został sam, zazwyczaj nie musiał być przywoływany, gdy jednak występowała

taka potrzeba, Żyvia czyniła to wołając go po prostu „Domowiczku, opiekunie, mój mały!” lub „Ubożátko moje drogie!”, a duszek nie miał jej tego za złe. Nie potrafił jej mieć niczego za złe. Wyprowadziła się na ubocze wsi jedynie po to, aby zapewnić mu pewną i spokojną egzystencję. Jednak gdzieś głęboko zachował imię, którego wspomnienie przywoływało na poliki kropelki łez po dawnej stracie. W zamyśleniu praca mijała mu niebywale szybko, słońce już niemal wstało, gdy wrócił do domu. Przyszła pora, aby wysmażyć swej pani podplomyki na śniadanie, więc szybko jął się przygotowania ciasta. Zaniósł gospodyni gotowe danie, jednak ta nie wyglądała za dobrze. Leżała blada i zziębnięta, więc Stworek przykrył ją dodatkowym kocem i zbudził, aby zjadła śniadanie, póki ciepłe. Opiekun podał jej również dawkę leków. Przez czas choroby Żywii to domowik zobowiązał się przygotowywać wszelkie posiłki. Jednak, mimo wszelkich starań ubożátka, stan jego pani nie poprawiał się wcale. Ku zdziwieniu jej opiekuna, działo się wręcz przeciwnie. Gospodyni zdawała się chorować coraz bardziej, a gdy dostała gorączki, duszek niemal się załamał, gdyż nie wiedział co robić. Leżał przy swej pani całymi dniami, dbał aby spała spokojnie. Lecz jego metody wciąż nie dawały skutków, więc rozpoczął poszukiwania innego sposobu na pomoc. Pewnego razu, gdy Żyvia się zbudziła, zauważyła, że jest sama w swej izdebce. Zawołała domowika, jednak ten nie odpowiedział. Zaniepokojona gospodyni chciała już wstać na chwiejne nogi, jednak zauważyła, że palenisko jest obficie rozpalone, a przy łóżku leży na tacach mnóstwo suszonego mięsa i podplomyków, przy nich zaś wyskrobany został na podłodze znaczek kołowrotu, symbolu jej wiary. Wiary, która przypominała ludziom jak ważne jest współistnienie w przyjaźni z tym, co ich otacza. Nie tylko uczyła wzajemnego szacunku do bliźnich, ale też jak kochać życiodajną naturę. Znak ten był także symbolem zrozumienia współbraci domowika. Wzajemnej pomocy i pamięci w czasach prób. Wystarczyło jej to, aby uczuć, że domowy opiekun ma jakiś własny plan i za niedługo wróci. Postanowiła więc czekać na niego z nadzieją, że będzie jej jeszcze dane go zobaczyć.

* * * * *

Tymczasem przez obficie zaśnieżony las przedzierała się para krótkich nóżek. Domowik uznał, że zaryzykuje wyprawę do wsi, do wnuczki Żywii, którą pamiętał z czasów, gdy jeszcze była małym dzieckiem. Oczywiście miał świadomość, że gdy dotrze do swego celu, zastanie całkowicie inną osobę, więc starał sobie przypomnieć swoją panią, gdy była jeszcze młoda, aby wyobrazić sobie prawdopodobny wygląd poszukiwanej dziewczyny. Nagle wiatr zaczął dąć ze zdwojoną mocą. Śnieg wpadał opiekunowi do oczu, skutecznie uniemożliwiając nawigowanie po leśnych ścieżkach, jednak on wciąż brnął przed siebie, małutkimi krokami zbliżając się do swego celu. Kroczył mając nadzieję, że szukana przez niego dziewczyna będzie we wsi. Domowik słyszał rozmowy Żywii z jej wnuczką, więc wie jaki ma głos. A z opowieści dowiedział się, że dziewczyna jest zielarką, więc na pewno wie jak pomóc jego pani. Nadzieja ta pokrzepiła niewielkie stworzenie i owinąwszy się swą długą brodą niczym szalikiem, duszek kontynuował nierówną walkę z temperaturą, która pomału jęła go wymęczać. Mróz przesiąkł przez włochate ciało stworka i zaczął obgryzać jego kości. Mimo, że był już w połowie drogi, już niemal słyszał krzyki ludzi ze wsi, uczył, że nie potrafi podnieść już nogi. Przewrócił się i rozpaczliwie rzucił się do czołgania w stronę domniemanych krzyków. Jednak błysk jego oka zgaśł po chwili walki.

* * * * *

Obudziło go uczucie ciepła, wpierw na twarzy, potem na całym ciele, promień wyższej temperatury zatrzymał się na jego lewej nodze, gdy począł się rozbudzać, zrazu uderzył go potworny ból w miejscu, gdzie czuł wypływające ciepło. Przemógł granice zmrożonego ciała i usiadł otwierając oczy. Był w jakiejś norze, co do tego nie miał wątpliwości, jednak zanim zdążył się dokładniej rozejrzeć, uwagę jego przykuł ból w nodze. Spojrzał na nią i ukazała mu się krew powoli wypływająca z rany pod kolaniem, wyłaniającej się spod rozerwanej nogawki. Nim jednak zdążył cokolwiek z tym zrobić, do nory wpadł lis. Zwierz ten widocznie miał coś wspólnego

z raną domowika, gdyż pysk jego był zabarwiony krwią. Rudzielec zdecydowanie nie spodziewał się tego, że znaleziony kasek, który zapewne miał zostać niedługo spałaszowany, siedzi teraz i patrzy mu w oczy. Zdezorientowany zwierz zastygł w jednej pozycji, jednak duszek wiedział, że jeśli szybko nie czmychnie porywaczowi, zostanie jego kolacją. Rzucił się więc na łeb na szyję ku otworowi, z którego przed chwilą wbiegł lis i utykając na jedną nogę począł biec w losowym kierunku. Szybko spostrzegł jednak, że jego przeciwnik nie tylko już ocucił się z szoku, ale i nie ma problemów z nadrabianiem dystansu za duszkiem. Domowik chwycił się więc bez zastanowienia ostatniej dostrzeżonej deski ratunku, począł wspinać się na najbliższe mu drzewo. Dotarł do bezpiecznej gałęzi tak gibko, jak tylko pozwalał mu na to jego stan. Jednak lis nie zrezygnował tak łatwo ze swej zdobyczy, jał więc wdrapywać się niezdarnie do miejsca schronu ubożątka, jednak natura zadrwiła sobie z owego rudzielca, gdyż dobitnie wskazała mu, że nie został stworzony do wspinania się na drzewa. Lis nie dotarł w swych staraniach do niczego, wtem do uszu obu stworzeń dotarł wystrzał, a następnie skomlenie psów. Charty wypuszczone na łowy szybko podjęły trop krwi, więc już po chwili słychać było, że są nieopodal. Rudzielec natychmiast rzucił się do ucieczki, jednak pościg był znacznie szybszy i już na oczach domownika dopadł chart zwierza i trzymał w pysku za kark. Jeden z psów potulnie wrócił ze zdobyczą do swego pana, drugi zaś podążając za tropem krwi dotarł pod gałąź domowika, po czym położył się i począł przyglądać się stworzeniu. Duszek nie wątpił w dobre intencje psa. Domowi opiekunowie zawsze mieli z ludzkimi pupilami coś wspólnego. Zawsze sobie pomagali, a sporów między nimi raczej nie było. Zatem ubożątko zgramoliło się z drzewa i pogłaskawszy chwilę psa, wskoczyło na jego grzbiet i pozwoliło się nieść, gdyż opadało już z sił.

* * * * *

Zerwany rękaw cienkiej koszuli owinięty wokół skaleczonej nóżki zostawiał po sobie ciągnący się przez hałdy śniegu ślad. Uczepiony charta duszek przemierzał oblepione białym puchem leśne ścieżki

w stronę wsi Kamianka. Pies musiał się spieszyć, aby nie narażać się swemu panu. W końcu jednak bór nieznacznie począł się przerzedzać, aż wyłoniła się otoczona knieją drewniana zabudowa, składająca się z tuzina chat, pomniejszych chlewów oraz kilku kurników. Nieco już wypoczęte ubożątko zeskoczywszy z grzbietu psiska wśród znanych domostw, poczęło żegnać swojego zbawcę, po czym z żalem odesłało go z powrotem do właściciela. Gdy zaś chart zniknął wśród drzew, rozejrzało się po dawno już nie odwiedzanej okolicy, co przywołało odległe wspomnienia, – domowik raz jeszcze jął wyobrażać sobie dawne czasy. Obaczył przez serce twarze swych przyjaciół, którzy to tyle już lat temu opuścili to miejsce. Przypomniawszy sobie imiona każdego z nich, jednak to, które pogrzebane w nim było najgłębiej, nie ważyło się wstąpić choćby i na kraniec świadomości. Pochłonięty rozmyślaniami, niemal nie dojrzał niebezpieczeństwa w postaci powracającego wozu zaprzęgniętego w kuce, transportującego starszego mężczyznę z grupką dzieci, zapewne wracających z kuligu, który zawsze, od kąd prości ludzie podchwycili rozrywkę magnaterii, cieszył dzieci w tych stronach. Zbliżające się gromkie śmiechy pociech wybudziły jednak duszka ze wspominek. Obserwował zza węgła, jak do przybyłej gromady wychodzą rodzice, niemal rozmarzając się o powrocie je go braci do ludzi.

– Dziecko drogie, jak ty do diaska wyglądasz?! – Dobiegł do ubożątka oburzony kobiecy głos. – Janeczku, dlaczegoś mnie nie posłuchał? Spójrz ty na siebie, jesteś cały czerwony z oziębienia! – Głos nie ustawał, jednak wkradła się w niego nieskrywana troska rodzica.

– Przepraszam, mamu – wydukał zachrypnięty chłopięcy głos.

– Natychmiast idziemy do Hanny, miej nadzieję, że znajdzie coś na twoje przeziębienie, bo inaczej możesz pożegnać się z beztroskimi hulankami na śniegu! – zakończyła rozmowę matka, po czym chwyciła dziecięcą rączkę i zaprowadziła syna do niedalekiego, otoczonego drewnianym płotkiem małego domku. „Hanna” – to imię wybrzmiało ubożęciu w głowie. Domowik uzmysłowił sobie, że tak właśnie musi zwać się powód przebycia leśnej wędrówki.

Wypatrzył bezpieczną ścieżkę do zielarskiego gniazdka, a gdy rodziny rozeszły się na obiad do domów, podążył nią wprost pod drzwi dawnego domu Żywii. Owinąwszy się ciasniej swą brodą, zakopał się delikatnie w śniegu przed wejściem i począł czekać, aż goście opuszczą dom zielarki. Czas ten wykorzystał na przemyślenie, jak zasugerować dziewczynie, że jest niezbędna swojej babci. W końcu jednak drzwi się otworzyły.

– Podawaj mu to z ciepłym mlekiem przed snem, a powinien szybko wydobrzeć – odezwał się delikatny głos młodej kobiety, a zawtórowały mu jedynie szczere podziękowania matki dopiero co przybyłego dziecka. Duszek wygrzebał oczy ze śniegu i dostrzegł oddalającą się już dwójkę. Drzwi były uchylone, a Hanna stała jeszcze na zewnątrz, machając dziecku na pożegnanie. To był jedyny moment dla ubożątka, aby wbiec do środka. Wygramoliło się ze schronu żwawo, jednak na tyle bezszelestnie, by nie zostać usłyszanym wśród codziennych odgłosów, po czym wpadło do domu nie przyglądając się zbyttnio Hannie. Już po przekroczeniu progu domu do nosa uderzyła mu mocna woń suszonych i parzonych ziół. W kilku susach przedostało się do najbliższej izdebki, jak się okazało, skromnej piwniczki. Schody prowadziły płytko w dół, a za nimi wykopany i wyłożony deskami malutki składzik pełen nadętych worków oraz półek wyłożonych dzbankami i słoikami pełnymi najróżniejszych zawartości. Domowik rozpoznał wśród słoików składry czosnku, miodu, mięty pieprzowej i pokrzyw, jednak niektóre z pojemników stanowiły dlań niezwykle zagadkę. Przeglądając piwniczkę duszek słyszał jak Hanna wchodziła do domu i zamykała drzwi, po czym udała się do jednej z izdebek. Odkąd drzwi zostały zamknięte, dom począł ponownie wypełniać się przyjemnym ciepłem, które zmusiło ubożątka do ściągnięcia futrzanego płaszczyka, musiał więc teraz zaczekać na właściciela wśród słoików bzu i rumianku. Duszek zeskoczył z ostatniej półki i po cichu przebył drogę do przedsionka. Zawieszone płaszcze, szaliki i ustawiona przy wysokich butach torba lekarska to jedyne co w nim zastał, więc wyruszył korytarzem dalej, gdzie zapach ziołowy stawał się coraz intensywniejszy. Domostwo było niema-

łe, domowik przysięgłby, że gdy jeszcze we wsi żył spokojnie i był przez miejscowych odbierany jak przyjaciel, dom ten nie był tak duży. Zielarka musiała go rozbudować. Wiadomość ta cieszyła duszka, gdyż zawsze życzył ludziom, a zwłaszcza rodzinie Żywii, aby się im powodziło. Minął przymknięty pokój, z którego dobiegała najdotkliwsza woń, następnie podszedł do pomieszczenia, w którym buszowała dziewczyna. Ubożátko przyjrzało się teraz dokładnie jej urodzie. Gdy ujrzało słomiane włosy opadające na szare oczy zielarki z każdym schyleniem, przypomniało sobie Żywie z czasów jej młodości. Równie silną i urodziwą kobietę, co dzisiejsza Hanna. Jednak duszek nie przyglądał się jej zbyt długo, przekradł się obok kuchni i gotującej w niej zielarki dalej, aż doszedł do końca korytarza. Znalazł tam drzwi do małej garderóbki, którą domowik obaczył jedynie pobieżnie, utwierdziła go ona w przekonaniu, że Hannie nie brak środków do życia. Jednak od korytarza odchodziły na lewo również uchylone drzwi do sypialni. Duszek w poszukiwaniu sposobu na zwrócenie uwagi zielarki, wszedł do pomieszczenia i przyjrzał mu się dokładnie. Błony wstawione w okiennice wpuszczały do środka promienie południowego słońca. Na podłodze leżał mizerny dywanik, zaś na nim ustawione zostało niewielkie posłanie. W pokoju stało też kilka szafek, a coś nad jedną z nich przykuło uwagę domowika. Powieszzone drzewo genealogiczne wyszyte na płótnie, a historią sięgające aż do pradziada Żywii. Ubożátko jęło wspinać się po szafkach i szufladach, aż w końcu dotarło do zawieszonego płótna. Kolejna warstwa wspomnień wydobyła się z czeluści pamięci duszka, pamiętającego niektóre z osób, których wyszyte podobizny znajdowały się teraz przed nim. Mając na uwadze stan zdrowia, już nie tylko Żywii, ale również i swój, gdyż rana na nodze znów poczęła mu doskwierać, ubożátko wzięło się do realizacji swojego nowego pomysłu. Wgramoliło się za płótno i wyciągając zza pazuchy ostry kamień, którym wcześniej nakreślił na podłodze swego domostwa znak kołowrotu, uczynił ten znak na ścianie. Po czym zaczął szarpać drzewem tak, aż w końcu spadło z gwóźdka i zleciało aż pod drzwi. Duszek usłyszał poruszenie w kuchni, więc szybko zade-

cydował dotrzeć do drzwi, a następnie, gdy dziewczyna wejdzie do swej sypialni, w kilku susach dobiec do jej niezbędnika, który napotkał w przedsionku. Mimo dokuczliwego kalectwa domowik zgromił się po meblach i gdy tylko Hanna ujrzawszy bałagan zajęła się odwieszaniem pamiątki na swe miejsce, wybył ukończyć swój pomysł. Na odchodne usłyszał jedynie słowa dziewczyny, która głośno myśląc przypomniła sobie znak, tak szanowany przez jej babcię i najwidoczniej przywołało to troskę o rodzinę, która przysłoniła irracjonalność nagłego pojawienia się na ścianie symbolu. Szybko opuściła sypialnię, odwiedziła pomieszczenie mocno emanujące zapachem ziół i przygotowałszy się szybko, chwyciła swą torbę, wrzuciła doń kilka słoików, po czym wyszła na zewnątrz, gdzie znów rozszalała się śnieżycą.

* * * * *

Droga powrotna minęła duszkowi znacznie bezpieczniej, lecz również ciężiej niż ta, która doprowadziła go do młodej zielarki. W pośpiechu zapomniał o swym płaszczu, przez co zimno przenikało go do kości. Stan rany również nie zdawał się polepszać, a wręcz przeciwnie. Jednak, gdy tylko Hanna przekroczyła drzwi jego domu poczuł, że spełnił swe zadanie. Młoda dziewczyna szybko dostrzegła gorączkę swej babci. Dorzuciła chrustu do wygasającego paleniska i przywarła do chorowitej kobiety, dokładając wszystkich swoich sił, aby jej pomóc. Domowik zaś resztką sił skrył się pod łóżkiem Żywii i zasnął. A gdy spał, śniły mu się znów czasy, gdy Kamianka zrzeszała ludność, która w równowadze z naturą cieszyła się wspólnym zaufaniem ludzi i różnorakich duszków. Wśród domowików ukazał mu się zaś ktoś, kogo przez tyle lat pamiętać nie chciał, choć był mu najbliższy, ostatni z tych, którzy używali jego imienia.

* * * * *

Głośna rozmowa zbudziła słabe ubożátko. Staruszka wykazała się niezwykłą siłą, co pozwoliło jej wyzdrowieć. Siedziała teraz z wnuczką przy stole pijąc zaparzony rumianek. Duszek podszedł

chwiejnym krokiem do kobiet. Pierwsza zobaczyła go Żywia, uśmiechnęła się, lecz widząc stan duszka wstała szybko i podbiegłszy do niego, ujęła go w dłonie.

– Hanno, to on cię do mnie sprowadził – rzekła siadając przy palenisku. Hanna podeszła, mimo strachu, widząc małego zbawcę pobiegła po nowy opatrunek. Gdy zaś ściągnęła z małej nóżki starą szmatkę zobaczyła zaropiałą ranę. Wtem domowik uniósł głowę i spoglądając w twarz dziewczyny wyplątał ze swej bujnej brody niby-bursztyn wielkości niemal całego tułowia duszka, w którym widać było niewielką zawiniętą, włochatą kulkę. Trzęsącymi się rączkami podał go dziewczynie, która widocznie zaszokowana nie potrafiła pomóc maleństwu, jednak chwyciła za bursztyn. Dmowik uśmiechnął się szczerze, ponieważ obaczył, jak bursztyn delikatnie topnieje, a pierwsze fragmenty znajomego mu owłosienia ukazały się już poza nim.

– Przekazuję ci Zwitka, który to opiekę nad wami po mnie przejąć się zobowiązał – rozległ się w głowie Hanny cichy, słabutki głosik duszka, a gdy ten po chwili zamknął swoje małe ślepka, na twarz skapnęły mu łzy kobiety, której życie uratował, zaś w rękach jej wnuczki, ze stopionego bursztynu rozwinęła się mała, włochata postać o rudej bródce i zielonych oczkach. Spojrzenie Zwitka zwróciło się do Żywii, który wydostawszy się z rąk Hanny, otarł łzy starszej pani, lecz nie spostrzegł momentu, kiedy z jego zielonych ślepi, również wydostały się niewielkie łezki, na wspomnienie Grodzika, swego opiekuna i przyjaciela.

Iga Rusek (Tauriel), kl. 8
II Społeczna Szkoła Podstawowa STO
w Gdańsku

Półzblizenie

List pierwszy

Kawa Ci stygnie. Para powoli ucieka z porcelanowej filiżanki wysoko do sufitu. Biały kubek, który dostałeś na imieniny, stoi na stoliku kawowym w salonie i oddycha. Bierze wdech, a wrzący wydech uwalnia w górę do sufitu naszego pokoju. Przyjemnie. Czeką na Ciebie.

Może się poczęstujesz? Weźmiesz w dłonie gorący kubek i zamoczysz wargi w tym rdzawym płynie, który regularnie każdego ranka przygotowuje dla Ciebie mama. Niestety, obie wiemy, że prędzej czy później kawa i tak wyląduje w zlewie.

Czasem wylewając ją, mam ogromną ochotę rozbić tę filiżankę na tysiąc kawałków. Może wreszcie niekończąca się otchłań zlewozmywaka poniesie ze sobą ten pełny kawy kubek i będę miała to za sobą. Ale ja nie lubię dawać upustu swojej desperacji. To chyba dobrze, bo chociaż filiżanka pozostanie w jednym kawałku. W kawałku należącym nie do nikogo innego, jak do Ciebie. Właśnie tak.

Tylko kim Ty jesteś? Czy ja Cię w ogóle znam? Nie wydaje mi się, ale jak sobie siądę i pomyślę minutę dłużej niż zazwyczaj, to i tak jesteś najlepszą osobą, której mogę się zwierzać. Ja nie znam Ciebie, Ty nie znasz mnie. Całkiem sprawiedliwie. Zostałeś upoważniony do wejścia w moje życie głęboko, najgłębiej. Zobaczyć to, czego być może nawet ja nie powinnam widzieć. Spojrzeć na to wszystko, ten ogrom uwiecznionych przeżyć pełnych emocji i najszczerzych uczuć... z zupełnie innej perspektywy. Niezła okazja, prawda?

Zamykam oczy, wyobrażając sobie siebie, jak stoję na wielkiej drabinie i rozwieszam olbrzymi plakat reklamujący taką „niezłą okazję”. Barwne ogłoszenie wiszące ponad tłoczną ulicą ubraną w najróżniejsze marki samochodów. Obym tylko nie spadła z drabiny. Chętnie zatrudnię osobę do... no właśnie. Do czego? Do czy-

tania? To o wiele poważniejsze usługi. Czytać wiadomo, że taka osoba umieć musi, ale to nie wszystko. Dlatego nie rozwieszam teraz plakatu. Wybrałam Ciebie, bo wiem, że nie zawiedziesz. Skoro mnie nie znasz, to naumyślnie byś tego nie zrobił. Mam nadzieję, że tego wyboru nie pożałuję i jest to lepszy pomysł niż wrzucenie miętówki do coca-coli.

Z tym, że już nie zapukasz do drewnianych drzwi naszego mieszkania, nie potrafię się pogodzić. Naprawdę. Na szczęście... nie tylko ja, co można wywnioskować ze stojącej na stoliku porcelanowej filiżanki. Kawa poczeka. Jej oddech staje się coraz słabszy i słabszy. Coraz mniej uwalnia powietrza. Pospiesz się, proszę. Zaraz popłynie do zlewu, do kuchni, pospiesz się, proszę. Ona nie chce czekać już dłużej. Jej oddech się kończy, coraz łaczej nabiera powietrza, coraz mniej wydechu unosi się do sufitu, pospiesz się, proszę. Jej serce rozpuści się za chwilę w zimnym, rdzawym płynie, pospiesz się, proszę. Jej miejsce jutro o poranku zajmie nowa porcja kawy i znowu będzie czekać na dźwięk otwieranych drzwi, do których nigdy nie zapukasz.

Ja nie potrafię czekać, więc nie czekam. Piszę do Ciebie, aby opowiedzieć o mnie, a nie dowiedzieć się czegoś o Tobie, bo to zupełnie nierealne. Z dawnych opowieści mamy, wiem tyle co nic, przeszkadza mi to. Ale może gdybym wiedziała, nie trzymałabym teraz długopisu w ręce. Czymś, co pozostało po Tobie do dziś, jest moje imię. Nie to, które widnieje w dokumentach. To nadane przez Ciebie bardzo mi się podoba, mimo że nie mogłam usłyszeć go nigdy z Twoich ust. Kruszyńska. To uczucie, że zawsze będę Twoją Kruszyńką, odbudowuje resztki nadziei w moim umyśle. Gdzieś między regałami w mojej głowie znalazłeś swoje miejsce i cieszę się, że nie występujesz w postaci filiżanki kawy, naprawdę. Ciężko wyobrazić sobie Ciebie jako osobę bliską mojemu sercu i wpuścić jako obcego człowieka do mojej głowy pełnej myśli. Wykreować Twoją postać nie wiedząc, jak wyglądają Twoje tęczy, jakie ubrania nosiłeś, jakie książki czytałeś. Sprawić, że moje serce pokocha Cię na nowo. Szkoda, że nie wiem, kim jesteś, Tato.

List drugi

Mieć wszystkiego dosyć, nie jest łatwo. Znam się na tym. Uczucie, że chcę, by wszystko się skończyło, żyje we mnie od ładnych paru lat. Rozgościło się już chyba na dobre, bo wcale nie zamierza się wyprowadzić. Ja dalej mam dosyć, a ono dalej we mnie siedzi. Uparta sztuka.

Codzienna rutyna staje się przerażająca już po pierwszych kilku razach. Zorientowałam się wcześniej, ale i tak było za późno. Czy jeśli Ci opowiem, to coś się zmieni? Nie ma mowy. Ale będzie mi lżej. Budzik zadzwonił punktualnie o 5.45. Wiem, że jeśli zamierzam zdążyć do szkoły, muszę zwlec się z łóżka co najwyżej 10 minut po budziku. Podnoszę się na łokciach i wstaję z materaca. Kołdra z przywiązaniem trzyma się mojej łydki, krępując moje ruchy, więc kopię ją ze złością. Przecieram oczy i udaję się do łazienki po drugiej stronie korytarza. Zatrząskuję za sobą drzwi i odwracam głowę do prysznica. Niestety, nie odwracam się wystarczająco szybko i kątem oka dostrzegam swoje odbicie w lustrze. Błąd.

Miedzianoczerwone włosy pozwijały się w nieregularne loki, skórę pod brązowymi oczami pokryły fioletowe odcienie, a na bladej twarzy gości wyjątkowo więcej piegów niż zazwyczaj.

Po doprowadzeniu ciała do porządku zakładałam białe džinsy i błękitną, męską koszulę. Schodzę po schodach piętro niżej i biorę swoją torbę wiszącą samotnie na wieszaku w przedpokoju. Mamy akurat jesień, więc zarzucam na plecy jasnobrązowy płaszcz. Jaka pogoda jest teraz u Ciebie? Pewnie nie zazdrościłbyś nam pochmurnego nieba z licznymi chmurami kłębiącymi się nad miastem.

Wychodzę z mieszkania, zatrząskując drewniane drzwi. Te same drzwi, te same schody przez następne pięć pięter w dół. Rozsypana czarna ziemia z wielkiej donicy – na czwartym piętrze. Ta sama przyklejona na poręczy zużyta guma na kształt Irlandii – na trzecim piętrze. Nieustanne szczekanie jamnika – na drugim. Nieskazitelną monotonią. Wychodzę z klatki na otwartą przestrzeń. Ciemno. Szarość każdego budynku razem z mrocznym niebem tworzą cmentarny nastrój. Farba gdzieniegdzie schodzi ze ścian

starych budowli, a po bokach bloków ktoś uwidoczniał swoje umiejętności graffiti, choć w tym przypadku rozważałabym ich brak, gdyż szare ściany budynków pokrywają zupełnie przypadkowe, kolorowe mazaje.

Idę tym samym chodnikiem co wczoraj i widzę te same pęknięcia między płytami, porośnięte trawą. Gdy zostawiam osiedle za sobą, widzę przystanek autobusowy. Dzień wcześniej również tu był. Ukrywam się pod przezroczystym dachem przystanku i czekam. Minuta, dwie, trzy... dziesięć, gdzie ten autobus? Ile filiżanek kawy mógłbyś już wypić? Przyjechał. Wsiadam, już jadę. Autobus jest prawie pusty. Gdybyś wsiadł teraz do niego, poznałbyś mnie? Albo czy ja poznałabym Ciebie? To pytanie dręczy mnie od dawna. Co, jeśli wyglądasz inaczej niż sobie Ciebie wykreowałam dla własnej wygody? Gdybyś wszedł teraz do autobusu zaburzyłbyś moją rutynę, zniszczyłbyś tę perfekcję. Właśnie dlatego nie wsiądziesz teraz do autobusu. Jesteś idealistą i nie chcesz zniszczyć mojej doskonałej codzienności, prawda? Ty po prostu nie chcesz mnie zawieść, tak? Na pewno.

Wysiadam. Jest 7.20. Za czterdzieści minut rozpoczyna się pierwsza lekcja w mojej szkole, a mnie czeka jeszcze dosyć długa wędrówka. Dlaczego autobus nie jedzie dalej? Szybki marsz pozwoli mi dotrzeć do szkoły na 7.50. Stukot jesiennych kozaków dźwięczy mi w uszach. Na chodnik powoli upadają ciężkie krople deszczu. Podnoszę głowę do góry, deszcz kapie mi prosto na bladą twarz. Zimne krople łaskoczą w policzki i płyną w dół przez szczękę aż po brodę i spadają jak łzy. Szelest liści wyrywa mnie z letargu.

Do rozpoczęcia lekcji pozostało mało czasu, nie mogę znów się spóźnić. Przyspieszam marsz i docieram przed ogromny gmach liceum. Okna wypełnione kratami sprawiają, że chcę zostać na deszczu. Niech zaleje mnie swoimi łzami. Czuję, że nie chcę tam wchodzić. Lubieś swoją szkołę? Wiem, że mama nie lubiła. Opo-
wiadziała mi kiedyś. Dawno, bo teraz nic już nie mówi. Czemu nie uczynisz jej szczęśliwą? Dlaczego ja tego nie potrafię? Wrócisz i wszystko się poukłada. Bo wrócisz, prawda?

List trzeci

Gubię się. Wiem o tym, kiedy wylewam Twoją kawę z każdym wschodem słońca, kiedy wybiegam z klatki schodowej na szare osiedle, kiedy stoję przed ogromnym budynkiem liceum o 7.52. Gubię się.

Wymieniam szybki marsz na powolny krok z podniesioną głową. Mijają mnie zagubieni uczniowie w przemokniętych kurtkach z mokrymi parasolkami. Otwierając potężne drzwi gmachu szkoły waham się przez chwilę, aż ktoś z impetem popycha drzwi i wymija mnie, mruczając pod nosem niejasne przekleństwa.

Przechodzę przez szeroki szkolny korytarz. Zewsząd otaczają mnie uczniowie ubrani w markowe ubrania i nienawistne spojrzenia. Podchodzę do metalowej szafki na książki, która po każdym zatrzaśnięciu pozbywa się swojej zawartości, uwalniając drzwiczki z zawiasów. Rozglądam się wokół.

Gdyby myśli mogły być namalowane na czole czarnym markerem, wypełniłyby on teraz nie tylko czoło, ale całe moje ciało. Wszyscy przechodzą obok, trącając się nawzajem, każdy ma swój własny świat w swojej głowie, a jeśli by spojrzeć z perspektywy opartego o szafkę ramienia, to żaden zamknięty na kłódkę umysł nie domaga się towarzystwa. Ja wiem, że moje całe ciało, od czubka głowy do najmniejszego palca u stopy, domaga się bezwarunkowej miłości. Twojej miłości, której nigdy nie mogłeś mi okazać. Ja kocham Cię cały czas, chociaż Cię nie znam i nie wiem, jak wyglądasz.

Gdybyś mógł nawiązać ze mną jakąkolwiek relację, wystarczy impuls... byłoby fantastycznie. Niestety, Ty wolisz pozostać u siebie i nie wychodzić, najlepiej nic nie robić. Żadnego kontaktu.

Dzwonek. Uczniowie rozbiegają się po szkolnym korytarzu, a ja nadal stoję. Czuję dyskomfort. Niewygodnie jest stać z książkami przyciśniętymi do klatki piersiowej, popychana, szturchana przez wszystkich wokół, pogrążona we własnych myślach. Mój żołądek żąda jedzenia. Brak posiłku o poranku sprawił, że brzuch mruczy ze zniecierpliwieniem. Jak malutki, puszysty kot. Uczniowie rozeszli się do klas, a ja zostałam przy szafce ze wzrokiem patrzącym w dal. A w oczach pustka...

Wracam do rzeczywistości dopiero wtedy, gdy widzę na końcu korytarza zarys czyjejś sylwetki. Ta dziewczyna to moja dawna przyjaciółka.

Widzi mnie. Nie odwracam wzroku.

– Idka... – zaczynam, gdy podchodzi do mnie na tyle blisko, że jej czarne martensy stykają się z czubkami moich butów.

– Nie będę ciebie słuchać – mówi cicho i zamyka powieki, tworząc niewidzialną barierę między nami. – Od kilku tygodni nie jesteś tą osobą, którą polubiłam. Jeszcze ostatnio spędzałyśmy razem każdą przerwę, dlaczego to zniszczyłaś? – pyta niepewnie. – Od-
dałamy się od siebie, czuję, że już cię nie znam.

Musisz wiedzieć, Tato, że ostatnio wszystko się posypało. Pró-
bując odnowić relację z Tobą, zaniedbuję przyjaciół. Nie potrafię
przestać. Kim ja się stałam? Porzuciłam wszystko dla Ciebie. Nisz-
czysz mnie.

Naciągam rękawy Twojej koszuli na nadgarstki. Dlaczego tak
trudno jest odnaleźć się w tym świecie?

– Nic nie powiesz? – pyta dziewczyna. Idka nie wie, że dziś są Two-
je urodziny, Tato. Patrzy na moją niebieską, bawełnianą koszulę
i wypuszcza powietrze. – W takim razie nie będę już próbować.

Odchodzi. Myślę o tym, że ja naprawdę nie umiem Cię zostawić.
Patrzę na znikającą za rogiem przyjaciółkę.

Zastygam.

List czwarty

Wczoraj wróciłam do domu dość późno. Codziennosc znów powi-
tała mnie wieczorną rutyną i pękniętym chodnikiem. Kiedy by-
łam małą dziewczynką, nigdy nie stanęłam na pękniętej płycie be-
tonu. Jakby mogło się to skończyć wiecznym pechem czy porwa-
niem do mrocznego świata magicznych stworzeń. Ogólnie małe
dzieci mają łatwiej. Brak konieczności podejmowania ważnych de-
cyzji, zerowa odpowiedzialność za swoje dziecięce czyny. Jedyne
poważne przemyślenia dotyczyły filozoficznych stwierdzeń „Czy
plama benzyny na ulicy to tęcza, która spadła z nieba?”. Bo dzieci
mają o niebo łatwiej. Będąc małą Kruszyneką, nie zdawałam sobie

sprawy nawet z tego, że istniejesz. Teraz siedzę w fotelu, piszę do Ciebie i nadal nie wiem... istniejesz czy nie? Może stanąłeś na pękniętym chodniku i po prostu zniknąłeś? Gdzie się ukrywasz, Tato? Wracam do wieczornej codzienności, jest bardzo ciężko. Otwieram metalowym kluczem drewniane drzwi mieszkania. Czy za nimi znów Cię nie zobaczę?

Przekraczam próg. W środku jest ciemno, wręcz mrocznie, wszystkie światła zgaszone, żadnej świeczki. Zdejmuję płaszcz i ruszam w głąb mieszkania.

– Wróciłam! Punktualnie, tak jak zawsze! – wołam. Jedynym źródłem światła w naszym klaustrofobicznie małym salonie jest włączony telewizor. Nawet nie zaczynam rozmowy. Ciemne oczy mamy są wpatrzone w ogromny ekran.

Zmuszam się do odejścia od jej skulonego ciała leżącego na kanapie. W kuchni spoczywają liczne pozostałości po kilku posiłkach i stos filiżanek po kawie. Wiesz, czyja to wina? Ten wiecznie dudniący telewizor, sterty brudnych naczyń w zlewie? Puste szafki, niezapłacone rachunki? Mamy, Twoja? Akurat. To wszystko moje błędy, ale nie potrafię przestać. To przeze mnie uśmiechnięty całokształt w ułamku sekundy się posypał.

Bo to ja tak rozpaczliwie Cię potrzebuję. Gdybym zajęła się mieszkaniem, byłby porządek, czyste filiżanki. Ja wybieram pisanie listów. To zajmujące. Jak oglądanie telewizji.

Pewnie dziwisz się, dlaczego numeruję listy. Po prostu, gdy już napiszę zadowalającą mnie ilość, będę mogła przeczytać wszystko od początku, aż po ostatnią stronę. To będzie ostateczny test. Czy przekażę je dalej? Zostawię głęboko w szufladzie? Numerowanie listów to także brak chęci i pomysłów na ich „tytuły”. Bo ja nie chcę pisać nic niewnoszących początków typu „Drogi Tato”, to proste i bezużyteczne, a w dodatku w większości nieszczerze. Numeracja jest neutralna i bezpieczna.

Wychodzę z kuchni niosąc w dłoniach kubek herbaty. Gorąca porcelana parzy opuszki moich palców, ale ja dociskam je mocniej do rozgrzanego kubka. Wchodzę do salonu i kieruję się w stronę

skórzanej, czarnej kanapy. Siadam obok mamy i silniej zaciskam dłonie na filizance.

– Może poszłybyśmy odwiedzić tatę? – nawet nie wiem, kiedy te słowa wypłynęły z moich ust. Musisz wiedzieć, że naprawdę dawno Cię nie odwiedzałyśmy. Właściwie to nigdy Cię nie odwiedzałyśmy. Nie czekam na odpowiedź.

– Dlaczego? – czy ona pamięta w ogóle, dlaczego Cię z nami nie ma?

– Myślę, że powinnam wiedzieć, jak wygląda mój tata – oznajmiłam, wstając z kanapy. – Bo jak wygląda mama siedząca codziennie przed telewizorem, już wiem. Przesadziłam. Kolejny dowód na to, że miłość do Ciebie niezwykle szybko doprowadza mnie do destrukcji. Mama nic nie mówi. Oddechy zagłusza głos prezentera. Słyszę dzwonek do drzwi i gwałtownie się obracam, rozlewając sobie wrzącą herbatę na ręce. Mama podnosi się i idzie do drzwi. Natychmiast rzucam się w stronę kuchni. Odkręcam wodę. Chłodny, kojący strumień oblewa moje nadgarstki splamione rumianymi śladami. Słyszę, jak mama woła: „Listonosz!”.

Mogło być dobrze, ale nie będzie. Kończy się moja wiara.

Bo szczerście właśnie spływa mi po policzku...

List piąty

Spadam. Lecę w dół. Chłodne powietrze otula moje ciało jak wełniany sweterek. Czuję, jak wnętrzności tańczą mi w środku, a głowa staje się tak ciężka, jakby wykonano ją z żelaza. Czuję, jak serce uderza w szybkim tempie o klatkę piersiową, jakby chciało się stamtąd wydostać. Widzę kolejne szklane okna, chociaż nie potrafię zobaczyć, co się w nich znajduje. Rozmyte obrazy tworzą mi w głowie jedną ogromną panikę. Chcę, by to się już skończyło. Czy upadek będzie bolesny? Czaszka roztrzaska się na zimnych, betonowych płytach i nic już nie poczuje? Czy nie tak powinno się to zakończyć? Pustką?

Nie czuję jej. Czyjeś ramiona oplatają się wokół mojego ciała, podnosząc oczy ku górze i dostrzegam postać mężczyzny o jasnych, karmelowych tęczówkach i ciemnorudych włosach. Czy to Ty, Tato? Wróciłeś, wiedziałam! To na pewno Ty przytulasz mnie te-

raz do siebie i szepczesz, że już jestem bezpieczna, że już wszystko będzie dobrze...

Rzeczywistość rani. Kłuje mnie prosto w serce ostrym sztyletem. Wcale nie wróciłeś. Żyjesz w swoim idealnym życiu, spoglądasz na mnie i sprawiasz ból. Nie fizyczny, chociaż nawet on byłby lepszy. Sny potrafią być okrutne. Jeśli ja Ci się śnię, na pewno jest to koszmar. Przepraszam.

Jest wiele teorii krążących wokół powstawania snów. Skąd się one biorą, jest jednym z pytań, na które chcielibyśmy poznać odpowiedź. Czy zwierzęta również miewają sny? Jeśli tak, to czy czarno-białe, czy pełne kolorów? A co z niewidomymi? Podobno ich organizmy wykorzystują inne zmysły podczas snu niż wzrok. To niezwykle ciekawy temat, prawda?

Mamy dzisiaj sobotę 23 października. Dzień zaczął się marnie, oby tylko marnie się nie skończył. Jestem ostatnio strasznie roztrzęsiona.

Wstaję z rozkładanej kanapy w salonie i idę do kuchni. Decyduję się na szklankę wody, gdyż gorąca poduszka tej nocy wchłonęła zbyt dużo moich łez. W mieszkaniu panuje niepokojąca cisza. Na szklanym stoliku paruje już Twoja gorąca kawa.

Kątem oka dostrzegam zamknięte na klucz drzwi łazienki. Nalewam chłodnej wody z kranu do przezroczystej szklanki. Przez chwilę przyglądam się własnemu odbiciu na naczyniu, lecz po chwili rezygnuję, zrażona swoją zniekształconą, bladą twarzą. Przenosząc wzrok z drzwi naszej malutkiej łazienki na lewą stronę, widzę wystający zza komody na ubrania mamy plik papierów. Listonosz. Rzucam się w stronę sypialni i dopadam sterty dokumentów. Mama zawsze chowa wszystkie tak, że nigdy nie wiem, gdzie są ukryte.

Nerwowo przerzucam strony. Czytam jedynie poszczególne wyrazy. Wszystko układa się w jedną całość. Wypadek, rachunki, faktury, konta, szpital na Nastrojowej. Szpital na Nastrojowej...dziesięć przystanków, trzy kilometry pieszo. Patrzą na swoje drżące dłonie. Gwałtownym ruchem odkładam stos dokumentów i biegnę w stronę łazienki. Blokuję metalową klamkę i narzucam beżowy

płaszcz na plecy. Odkładałam myślenie na potem. Najważniejsze rzeczy dopiero się wydarzą.

Ciszę przerywa głośnie szarpanie za klamkę. Krzesło podstawione pod drzwi uniemożliwia ucieczkę z łazienki. Sznuruję buty. Zewsząd otacza mnie nieopisana chęć przerywania własnych myśli, które pędzą w mojej głowie. Karuzela pytań, niewypowiedzianych słów, zdań. To wszystko kumuluje się w mojej głowie, a ja tłumię ten cały ogrom myśli w sobie.

Z mamą czasu nie spędzam w ogóle. Dochodzi to do mnie dość często, ale wtedy ona udowadnia mi, dlaczego i wszystko się kończy. Boli mnie to, ale to uczucie bólu i lęku przed zbliżeniem się do mamy również tłumię w sobie i zamykam na kłódkę.

Napięcie narasta, a szarpanie za klamkę nie ustaje. Słyszę szlochanie zza powłoki drewnianych drzwi. Pozostawiając za plecami całe zmartwienia, idę przed siebie spotkać nowe. Wypuszczając oddech na zimne, jesienne powietrze, czuję opanowanie.

Autokontrola. Nieograniczona.

List szósty

Budynek szpitala na Nastrojowej wywołuje potężne mdłości. Żołądek kurczy mi się do rozmiarów ziarenka maku, a w gardle mam coś w rodzaju wielkiego kamienia, który nie chce przejść przez przełyk.

Otwieram ogromne szpitalne drzwi wejściowe i natychmiastowo zalewa mnie fala gorącego, klinicznego powietrza o zapachu środka do dezynfekcji. Przed sobą widzę pustą przestrzeń, tylko w rogu sali stoi małe, białe biurko, za którym siedzi niemłoda kobieta z lekko siwymi włosami. Sprawia wrażenie zmęczonej, ale uśmiech ma życzliwy.

Rozglądam się wokół. Ze ścian wewnątrz budynku wielkimi płatami schodzi zaschnięta farba, a w lewym kącie stoi rząd kilku drewnianych krzesełek pokrytych ciemnozielonym, szorstkim materiałem. Za siedzeniami rozciąga się ciemny korytarz. Gdzieś w tym ciemnym tunelu odbija się światło przez pomarańczowe okienko od zestarzałej windy.

Niepewnie podchodzę do recepcjonistki siedzącej za biurkiem. Po drodze przez pusty korytarz potykam się o własne nogi i ledwo utrzymuję równowagę. Nie upadam. Kobieta skupiona jest na przeglądaniu dokumentów, nie patrzy na mnie.

– Przepraszam, w której sali znajdę Pana Różańskiego? – pytam cicho, a pani recepcjonistka podnosi błękitne oczy znad dokumentów.

– A z kim mam przyjemność? – pyta, wracając do pracy. Poprawiłam torbę na ramieniu.

– Lidia Różańska – odpowiadam. – Córką – mówię z wahaniem, podając kobiecie dowód osobisty.

– Sala 28, siódme piętro – nawet nie patrzy na dowód leżący na mojej wyciągniętej ręce. Zastanawiam się, czy jesteś jedynym pacjentem tej kliniki.

Ruszam korytarzem w stronę windy. Idealnie wpasowuje się w klimat starego szpitala. Biorę głęboki wdech, lecz natychmiast kaszlę, gdyż zapach środka do odkażania podrażnia mi przełyk. Oczy zaszkliły mi się łzami. Chwytam za okrągłą klamkę od windy i otwieram skrzypiące drzwi. Niemal natychmiast otacza mnie napływ zatęchłego powietrza. Momentalnie brakuje mi tlenu, a wewnątrz czuję, jak wnętrzności podchodzą mi do gardła. Pośpiesznie wchodzę do pomieszczenia odwracając się twarzą do drzwi. Mała, ciasna przestrzeń i dwanaście przycisków po prawej stronie, i podłoga wyłożona nierównym linoleum.

Naciskam przycisk. Po kilku sekundach winda rusza.

Moment, w którym otwieram drzwi windy i wręcz wypadam z pomieszczenia, jest niepowtarzalną ulgą. Naprzeciwko znajduje się sala 28. Robię krok do przodu. Cofam się. Kolejna próba, kolejny krok. Nie dam rady. Stoję przed salą. Pusty korytarz jest przytłaczający. Jedno krzesło tuż obok mnie. Siadam. Przepraszam, Tato. Kurczowo trzymam się zielonego obicia krzeselka. Widzę, jak fragment materiału lekko odchodzi z lewej strony.

Drzwi starej windy otworzyły się powoli i zaczęły kołysać się, przez co stęchłe powietrze wydostało się poza wnętrze windy. Pusty żołądek wstrzymuje wymioty.

Wstaję z krzeselka i postanawiam wreszcie przewyciężyć swój wieloletni lęk. Czy jestem gotowa na starcie z przeszłością? Czy jestem gotowa na tę diametralną zmianę? Co jeśli ja tak naprawdę nie chcę tej wiedzy? Czy wolę bezpieczną niewiedzę, niedopowiedzenia? Wiedza zrukuje moją nieograniczoną kreatywność, dzięki której mogłeś być tylko bohaterem pewnej historii, która nigdy się nie zdarzyła. Zniszczę to? Dlaczego chcę Cię potrzebować?

Zbyt wiele myśli krąży po mojej głowie. Dotykam chłodnej, metalowej klamki drzwi sali nr 28. Czas wreszcie stawić temu czoła. Tak myślę. Będę żałować? Nie wiem, ale potrzebuję Cię tak bardzo, jak bardzo Cię kocham.

Całym sercem.

List siódmy

Aby otworzyć drzwi sali nr 28, należy lekko przekręcić metalową klamkę w prawo i popchnąć je do przodu. Aby przewyciężyć swój strach, należy być niewyobrażalnie odważnym. Zamykam oczy i ostatni raz biorę głęboki wdech. Tlen wypełnia mi teraz całe płuca. Przekręcam klamkę i przechodzę do Twojego małego świata.

Ten pokój już nie pachnie środkiem dezynfekującym. Ma specyficzny, lecz nawet przyjemny zapach. Panuje tu spokój i cisza. Otwieram oczy. Sala jest przestrzenna, lecz jedyne, co się w niej znajduje to białe, wysokie łóżko, obok krzeselko z ciemnozieloną tapicerką, a nad nim przeróżne ekrany ze świetłkami oraz niezliczone ilości przewodów i rozmaitych rurek. Chwieję się, ledwo stoję na nogach. Podchodzę do wysokiego łóżka.

Blade, szczupłe ciało okryte jest kredowobiałą pościelą. Oczy zamknięte, twarz bez wyrazu, totalna pustka. Wokół ust szeroka maska tlenowa z przezroczystą wąską rurką w odcieniu jasnej zieleni, która prowadzi do aparatury. Włosy w odcieniu karmelu, w lekkim nieładzie. W dłonie wbite kolorowe igły, które zwisają teraz bez ładu i składu wokół nadgarstków. Nie jesteś idealny. Wręcz przeciwnie, sprawiasz wrażenie zagubionego, nieświadomego człowieka. Dlaczego nie wyglądasz jak mój tata? Tato, czemu nie jesteś Tatą? Co za absurd, szkoda, że to prawda. Wykreowany na

Tatę Kruszyński byłeś doskonały, uwielbiałam tę doskonałość. Leżąc obok mnie w szpitalnej pościeli, jesteś nieobecny, zakłócam Twój spokój. Jak teraz wymazać z pamięci tę starą wersję Ciebie i zamienić na nową, która wcale mi nie odpowiada? Leżysz spokojnie, klatka piersiowa porusza się jednostajnie. Wyglądasz, jakbyś właśnie śnił... ale śpiączka farmakologiczna to nie sen.

Na co potrzebny mi jesteś przykuty do szpitalnego łóżka? Po co trzymają Cię tutaj? Naiwna nadzieja, że się wybudzisz? Jedenaście lat oczekiwania to może za mało?! Niech odłączą Cię od aparatury, wcale Cię nie potrzebuję! Wybrałam właśnie Ciebie, żebyś poznał moje codzienne życie, a Ty masz to gdzieś, jesteś tylko sam dla siebie, dla nikogo innego. Czego ja się spodziewałam?

Że mnie zrozumiesz, pomożesz? Ty nawet nie żyjesz. Żar zalewa moje policzki. Z oczu wypływają strumieniami gorące łzy. Nic już nie czuję. Zniszczyłam to, co było dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie. Tak, teraz czuję, jakbyś umarł na nowo. Pamiętam ten dzień. Trudno zapomnieć. 21 października. Ja, czteroletnia Kruszyńska, siedziałam właśnie z cicią na kanapie, oglądając film dokumentalny. Rodzice na wyjeździe służbowym – dzisiaj wracają. Słysząc niewyraźny dźwięk telefonu stacjonarnego w kuchni. Biegnę odebrać. Podnoszę słuchawkę i witam się. Męski głos pyta, kto przy telefonie, a ja odpowiadam. Nieznajomy jęczy zrezygnowany i prosi cicię do telefonu. Potem już było tylko gorzej. Wypadek samochodowy rodziców, rozmazany obraz przez zaszklone oczy. Nawet nie rozumiałam, co się dzieje. Traciłam coś, czego nie znałam. Nadal nie znam. Mama mówiła: „Spokojnie, tatuś zasnął na chwilkę, ale lekarze go zaraz wybudzą i będziemy mogli razem wrócić do domu”. Zgubiłeś się?

Wybiegając z pokoju trzaskam drzwiami i upadam na kolana. To koniec tej ślepej nadziei. Dlaczego nie mogę przestać Cię kochać? Łzy moczą zimną podłogę, nie dbam o swój łamiący się głos, o spływający tusz do rzęs. Nie wiem, ile czasu to wszystko trwa, lecz w pewnej chwili drzwi przestarzałej windy otwierają się i przez ścianę łez dostrzegam moją mamę. Łapie mnie za ramiona i pociąga w górę. Patrzy na mnie zaszklonymi oczami, po czym

przytula mnie mocno do siebie i nie wypuszcza. Czuję wyraźnie bicie jej serca, uspokaja mnie. Jestem bezpieczna. Tak rozpaczliwie nie chcę tego stracić. Czy to prawdziwe, czy to tylko sen? Mama szepcze mi do ucha, że wszystko jest dobrze. Wierzę w to. Wierzę, że wreszcie będzie dobrze. Bo będę miała mamę wreszcie przy sobie. Szkoda, że w całym tym bałaganie o niej zapomniałam. Strasznie tego żałuję. Nie wiedziałam, że jej też jest ciężko. Teraz będzie już dobrze, bo wiem, że odnalazłam to, czego naprawdę szukałam.

Szkoda, że nam się nie udało, Tato.



Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

Miejsce 1

- 123** Klaudia Soczewka: (***) (*Całujesz nagie usta...*)

Miejsce 2

- 123** Katarzyna Krysa: *Ogłoszenie matrymonialne*

Miejsce 3

- 124** Magdalena Cebula: *Pożegnanie(a)*.

Wyróżnienia

- 125** Emilia Kiełtyka: *Modlitwa*

- 126** Karolina Leśniak: *Haiku dla Alberta Camusa*

Opowiadania

Miejsce 1

- 126** Aleksandra Niełacna:
Kot Schrödingera postanawia umrzeć

Miejsce 2

- 131** Magdalena Moś: *Mój kochany Pan Dodo*

Miejsce 3

- 142** Magdalena Łukasik:
Dziennik pokładowy małego Stworzyciela

Wyróżnienia

- 147** Nikodem Rzepnicki: *Przyjaciel*

- 156** Jakub Krzymiński: *Przesłuchanie*

- 162** Katarzyna Soja: *Koniec świata*

- 171** Jagoda Sałdyka: *Siostry*

- 174** Jan Skoumal: *Serce ludwisarza*

- 179** Adrian Jacecko: *Przodkowie*

Klaudia Soczewka (Los), kl. 1
Klub Literacki „Pegazik” w MDK „Iskra”
w Pile
(*)**

Całujesz nagie usta
Odarte z ukochanej czerwieni
Zatapiasz się w rozpalonej skórze
Drżącej z niecierpliwości
Szepczesz do ucha
Wyznając wieczną miłość

A potem żegnasz się z uśmiechem na twarzy
I wracasz do życia z obrączką na palcu

Katarzyna Krysa (Eirene), kl. 3
II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Ogłoszenie matrymonialne

Szukam wrażliwego poety,
Z którym będę mogła
Wspólnie pisać wiersze,
Czytać popołudniami książki na łące
I umierać na ból istnienia.
Szukam kogoś,
Z kim porozmawiam o filozofii,
Popłaczę nad bezsenssem egzystencji,
Poszukam w życiu i sztuce symboli ludzkiego losu.
Dodatkowe wymogi? Cóż, niech już będzie, jaki jest,
Tylko dobrze by było, gdyby miał gładką twarz bez zarostu
I ładne palce zamiast grubych paluchów.
Ewentualnie zamiast artysty może być naukowcem,

No i fajnie by było, jakby był obcokrajowcem,
Zawsze to coś innego.
Zapraszam do kontaktu telefonicznego.
Można też spotkać się ze mną we śnie
Albo w jakimś déja vu, czy czymś w tym stylu.
Będę czekać.

**Magdalena Cebula (Rossie), kl. 2
Zespół Szkół Ogólnokształcących
w Głogowie Małopolskim**

Pożegnanie(a).

A więc odchodzisz ...
Mam nadzieję, że zrobisz to po cichu,
tak cicho
jak łza spływająca po policzku.

Mam nadzieję, że zrobisz to szybko,
ale na tyle,
bym mogła ostatni raz
umieścić twoją twarz we wspomnieniach.

A więc odchodzisz ...
Mimo, że odszedłeś już dawno ...
Dla mnie
odchodzisz każdego dnia na nowo.

A więc odszedłeś ...
Zabrałeś ze sobą ostatnią nadzieję,
która jeszcze w oddali szepcze,
że tym razem,
odwracając się –
zobaczę właśnie Ciebie.

**Emilia Kiełtyka (EmilkeK), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące
w Gliwicach**

Modlitwa

Boże
pozwól mi wrócić do dziecięcych lat
bo tylko dziecko
może zrozumieć ten świat
nie patrzeć zuchwale
nie wydawać osądów
wzrokiem niewinnym przeczesywać duszę
w każdej umieć dostrzec piękno
na przekór ciemnym chmurom
cieszyć się z jednego promienia słońca
w deszczu
ulewie
skakać po kałużach
wesoło szukając ślimaków
witać dzień dobrym słowem
widzieć swoje odbicie w lustrze
nie to z wesołego miasteczka
ale prawdziwe
z buzią usmarowaną czekoladą
i pieprzykiem pod okiem
Boże
pozwól mi znowu być dzieckiem
kochać świat taki jaki jest
z kurzem ulicy
plastikową lalką
i słodkim lizakiem

Karolina Leśniak (Karosia), kl. 1
I Liceum Ogólnokształcące w Jaśle

Haiku dla Alberta Camusa

Powiadasz żeś zdrów,
Choroby są w sercu.
Każdy ma dżumę.

Aleksandra Niełacna (Cała), kl. 3
III Liceum Ogólnokształcące w Kaliszu

Kot Schrödingera postanawia umrzeć

Kota Schrödingera zna chyba każdy. Co prawda, nie osobiście – mało kto zna sławnych ludzi, a co dopiero koty – jednak w żadnym wypadku nie powinno to nikomu zaszkodzić w odbiorze tej krótkiej historyjki. Być może, drogi Czytelniku, przystanałeś na moment zaskoczony i gdyby nie dzielący nas ekran, rzuciłbyś mi w twarz: *Ale jak to osobiście?! A ja odpowiedziałabym: Właśnie tak. Osobiście.* Zresztą, sam wkrótce zrozumiesz, że bez takiego wstępnego założenia cała dalsza treść naszej opowiadanki byłaby bez sensu.

Tak czy siak, Kota Schrödingera zna chyba każdy. Sam Kot z początku nie narzekał na takie zainteresowanie, co najwyżej traktował je, jak na typowego przedstawiciela swojego gatunku przystało – z ostentacyjnym chłodem. Trzeba przyznać jednak, że zdarzało mu się spojrzeć łaskawym, lecz przy okazji nieco pobłażliwym okiem na kolejne poświęcone mu artykuły, rozprawy naukowe czy inne tego typu śmieszne powody do marnowania papieru. Powiem więcej – nic sobie nie robił z krytycznych głosów, które wypominały, że jego istnienie było niemożliwe w świecie makroskopowym, choć większość kotów na jego miejscu na taką zniewagę zareagowałaby wydrapaniem oczu autorom równie obrzydliwych potwarzy.

Taki był z tego kocura łaskawca. Zresztą, kto wie, czy w ogóle był to kocur – sam Kot nigdy się w sprawie swojej tożsamości nie zdeklarował, a choćby nawet chciał, nikt by go najpewniej o to nie spytał. Kogo by taki szczegół jak płęć obchodził.

W taki właśnie sposób nasz bohater sobie spokojnie egzystował na skraju istnienia i nieistnienia. Jego dość charakterystyczny stan przez dość długi czas nie pozwalał mu się nudzić. Od rana, gdy wstać mu było najciężej i szukał jak najlepszej ku niewstawaniu wymówki, skupiał całe swoje bycie martwym w tylnej połowie ciała, dzięki czemu nieco łatwiej było mu obłaskawić usiłującego go wygonić z pieleszy pana. Kto w końcu nie współczułby tak uroczemu stworzeniu jak bezbronnie kocię, któremu akurat łapki odmówiły posłuszeństwa (a przynajmniej ich połowa)? Po południu z reguły starał się swoje nieistnienie uporządkować w miarę równomiernie we wszystkich zakamarkach ciała, żeby móc jako tako funkcjonować. W końcu ani rybka sama się za nikogo nie zje, ani kolejne artykuły nie przejrzą; ktoś musiał podołać w tym domostwie tak odpowiedzialnej roli. Ki diabeł wie, czemu akurat padło na Kota. Natomiast nocą... Nocą, gdy jego pan stwierdzał, że właśnie nadeszła najstosowniejsza pora na robienie eksperymentów (gdyby nie osobiste przeżycia, zwierzak w życiu by nie pomyślał, że doświadczenia fizyczne mogą być do tego stopnia głośne), Kot przenosił swoją martwość na przednią część ciała, a szczególnie na uszy. I choć sąsiedzi mawiali, że hałasy wyrządzane przez pana-naukowca mogłyby nawet martwego obudzić, on jakimś dziwnym trafem spał spokojnie jak niemowlę. Trzeba przyznać, że musiał się za tym kryć jakiś niezmierzony talent.

Zdarzył się jednak w jego egzystencji jakiś punkt zwrotny. Życia spokojne nie bywają w końcu zbyt popularnym motywem w literaturze, nawet (a może szczególnie) w tej amatorskiej. Tak czy siak, przyszła przysłowiowa kryska na Matyska, a w tym wypadku na Kota – kultura masowa. Nie wiadomo z jakich przyczyn, pospółstwo z całego świata nagle zachłysnęło się wszystkim, co naukowe. Matematyka, chemia czy fizyka przestały być domeną pryszczatych uczniów, skrytych za okularami o szklach gru-

bości denek od butelek. Tak, szczególnie fizyka zaczęła brylować wśród młodzieży wraz ze swoimi abstrakcyjnymi pojęciami, eksperymentami myślowymi – można by tu jeszcze długo wymieniać dalej. Oczywiście chyba będzie dla ciebie, szanowny Czytelniku, że w tym gronie nie mogło zabraknąć Kota Schrödingera. O ile z początku ktoś jeszcze się przejmował, co... przepraszam bardzo, KTO stał za tym tytułem, o tyle bardzo szybko wszyscy o nim zapomnieli poza właśnie tymi pryszczatymi chudzielcami, patrzącymi na świat przez te nieszczęsne denka od butelek. Kot lądował kolejno na kubkach, brelokach, kocach czy nawet śpiochach dla wiecznie wrzeszczących i markotnych ludzkich młodych. Co prawda dało się nawet w morzu takich i podobnych śmieci wyłowić jakąś perełkę, jak choćby i świecącą w ciemności koszulkę, na której po zgaszeniu światła z Kota zostawał jedynie jego smętny szkielecik – rzecz bardzo pomysłowa nawet jak na kocie standardy – jednak i tak radość z ich istnienia mącił fakt, że nikt nawet nie raczył zapytać głównego zainteresowanego o pozwolenie.

Artykuły nadal się ukazywały, jednak coraz rzadziej w wersji papierowej, a coraz częściej w wersji elektronicznej. To także nie było naszemu bohaterowi w smak; obsługa myszki okazała się dla niego zupełnie niemożliwa, chociaż próbował dzielnie się jej nauczyć. Nic jednak nie wynikało z tej nauki: za każdym razem biedna komputerowa mysz lądowała w pysku Kociska, które przeżywało to starcie nie gorzej niż ona. Żadne chyba zwierzę, nawet to eksperymentalno-myślowe, nie nawykło jeszcze do jedzenia plastiku, i to kilka razy pod rząd.

Tak czy siak, nasz biedny Kotek z każdym dniem stawał się coraz bardziej osowiały. Jakoś podskórnie czuł, że nie pasuje do tej scyfryzowanej epoki, która odarła go... W sumie to ze wszystkiego. Coraz częściej przesunął swoje nieistnienie do głowy i wskutek tego przespiał całe dnie, chociaż wtedy nieirytowany przez wszechobecną ignorancję i niedobór drukowanych na papierze badań. Kto wie, co też by się działo, gdyby jego właściciel nie budził go codziennie, łaskocząc go w tylne łapki; była to najlepsza i jak do tej pory jedyna skuteczna metoda postawienia Kota na

nogi. Być może w końcu od tej martwoty głowy cała reszta ciała pomyślałaby, że i ona jest martwa, przez co w końcu zaczęłaby się rozkładać i z naszego stworzenia zostałoby zwykłe zombie, które już kompletnie nikogo by nie zainteresowało, a przy okazji śmierdziałoby okrutnie i wymagało szybkiej interwencji w postaci dekapitacji i zakopania w ogródku. I być może przebicia osinowym kołkiem dla pewności. Dręczone w ten sposób zwierzę zaczęło myśleć nad lepszym sposobem rozwiązania tego problemu. Gdy przekonało się w końcu, że chowanie przed własnym panem nic nie da (szczególnie, że owo chowanie miało miejsce na terenie małej kawalerki), stwierdziło z ciężkim sercem, że oto przyszedł już czas na Ostateczne Rozwiązanie.

Tak oto właśnie Kot Schrödingera postanowił umrzeć.

Z początku nie wiedział, jak się za to zabrać – w końcu był już martwy. No i żywy zarazem. Co więc powinien zrobić, aby ten pierwszy stan zdominował drugi? Długo się nad tym głowił, gorączkował, aż w końcu wpadł na TEN pomysł. Zaczął nie tylko zerkać na prace o sobie, ale także je czytać i wyciągać z nich wnioski; w ten sposób dowiedział się nieco więcej o eksperymencie myślowym ze swoim udziałem (do tej pory nigdy nie interesowały go szczegóły, nienaturalna dychotomia jego własnej natury zdawała mu się w zupełności wystarczać). Wraz z tą wiedzą spłynął na niego pomysł, który miał nareszcie położyć kres jego nędznemu żywotowi. Zgromadzenie potrzebnych przedmiotów nie było aż tak trudne, jak może się to drogiemu Czytelnikowi wydawać – każdy fizyk zwykł w końcu trzymać w szufladzie takie rzeczy jak pojemnik z trującym gazem, źródło promieniowania w postaci jednego nie-trwałego atomu czy detektor tegoż promieniowania. Tak się składa, że właśnie te trzy rzeczy miały stanowić wybawienie dla naszego Kota (nie licząc drewnianego pudełka, którego w szufladzie nie znalazł i po które musiał się osobiście pofatygować do sklepu, budząc przy tym niemałą sensację). Znał opis doświadczenia na pamięć i dobrze wiedział, że od momentu, w którym wdroży je w życie, będzie mieć pięćdziesiąt procent szans na to, że jego męka nareszcie się skończy. Wizja ta zmotywowała go do tego stopnia,

że porzucił swoje rutynowe przesuwanie bycia martwym z jednej do drugiej połowy ciała i w pełni skupił się na pracy. Dzięki tak niezwykłemu poświęceniu udało mu się osiągnąć cel w zaledwie jedno popołudnie, mimo licznych (tudzież nielicznych jak na kota) przerw.

I oto w końcu stanęło przed nim gotowe jego opus magnum.

Było nim rzeczzone pudełko, do którego włożył wszystkie znalezione w szufladzie artefakty. I choć w procesie tym miały brać udział tak skomplikowane siły natury jak okres połowicznego rozpadu czy energia jonizująca, drogi Czytelniku, wystarczy ci jedynie wiedzieć, że po wejściu do tego pudełka nasz Kot miał jedynie pięćdziesiąt procent szans na to, że nie obudzi się martwy.

Tak więc zadowolony z siebie Kot wlaźł do pudełka, odczekał wyznaczoną ilość czasu i jednym pchnięciem łapy otworzył pokrywkę. Gdy z niego wylaźł, zdał sobie sprawę, że jego misterny plan zawiódł; w końcu martwe zwierzęta nie wylażą. Niezrażony tym pierwszym niepowodzeniem, ponownie przemknął się do pokoju naukowca, podkradł z jego szuflady kolejny atom pierwiastka, po czym powtórzył całą procedurę od początku. I znowu nie stało się nic.

Powtarzał. I powtarzał. I powtarzał. I powtarzał. Powtarzał do tego stopnia, że z popołudnia (bo popołudniem właśnie zaczął) zrobił się wieczór, z wieczoru noc, a z wieczora z kolei – poranek. I o poranku właśnie, o pierwszym koguta pianiu, do mieszkania powrócił naukowiec z jakiegoś nocnego świętowania swojego kolejnego przełomowego odkrycia. Z początku wydawał się być w znakomitym nastroju, mimo swojego wymiętolenia i ogólnej nieświeżości... I był taki, dopóki nie spostrzegł, że z jego drogiego pierwiastka schowanego w biurku nie został ani atom.

Oczywiście od razu zorientował się, że całe to zamieszanie to sprawa Kota – cała szuflada była ubrudzona jego współlistniejącymi kłaczkami, a zaraz pod nią leżało pudełko, którego pokrywka unosiła się rytmicznie pod wpływem nacisku pewnej pary puchatych łapek.

– Zostaw mnie. Chcę umrzeć – miauknął Kot.

Nikt z późniejszych naocznych świadków nie wiedział, czy naukowca ogarnęła mordercza żądza, czy też najzwyczajniejsze w świecie współczucie, jednak wyjął on z szafy worek, zapakował weń swojego Mruczka, pojechał nad najbliższe i najgłębsze jezioro, po czym po obciążeniu stosowną ilością kamieni, wrzucił go w toń wodną. Czy utonął? Nie pytaj, szanowny Czytelniku, gdyż z autora fizyk żaden, jednak najbardziej stosowną odpowiedzią w tej sytuacji wydają się być dwa zaledwie słowa:

W połowie.

Magdalena Moś (m&m), kl. 2
Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 2
w Nowym Targu

Mój kochany Pan Dodo

Zeskakuję z ostatnich dwóch stopni i uderzam ciężko o podłogę, robiąc przy tym niemały huk. Pewnie mama pomyśli, że na nasz dom skoczył ogromny olbrzym! Wysoki jak dąb i sto razy cięższy ode mnie! Nie chcę jej martwić. Olbrzym mógłby ją przestraszyć, a nie lubię, gdy mama się boi. To nic miłego, a niemiłe rzeczy są całkowicie niepotrzebne. Przyspieszam, gdy prawie potykam się o własne buty. Dziwne... Wydaje mi się, że kładłem je na półeczkę, zaraz pod wieszakiem na kurtki. Co one robią na środku korytarza?! To pewnie Pan Dodo. Chciał mi zrobić na złość, żebym nie pobił swojego rekordu w biegu na kolację! Co za okropny człowiek! Jego zachowanie jest nie w porządku! Zaciskam pięści i naburmuszony wbiegam do królestwa mamy. Nie wiem, dlaczego tak nazywamy kuchnię. Nigdy nie widziałem, żeby mama nosiła koronę, a bez niej nie może być królową. Skoro kuchnia nie ma królowej, to nie może być królestwem, prawda?

– Prosiłam cię tyle razy żebyś nie biegał...

Boli mnie gardło i chce mi się pić. Rozglądam się po dłuuuugim, niemal tak bardzo jak chude ręce Pana Dodo blacie, szukając soku

w kartonie. Zamiast niego widzę tylko posiekane warzywa, z których część została już wsypana do dużej miski. Jest większa od mojej głowy! Spokojnie nadawałaby się dla mnie na hełm...

– Muszę biegać, by stać się szybszy! – wykrzykuję, wyrzucając ręce w górę. Przecież to logiczne! Jak mama może myśleć, że przestanę trenować?! Nigdy w życiu!

– Nic nie musisz – odpowiada, siekając pomidora w równą kostkę.

– Muszę! – powtarzam. – Pan Dodo mówi, że jeśli nie będę ćwiczył to...

– Leoś... – Mama patrzy na mnie TYM wzrokiem. Nie lubię go... Jest taki nieprzyjemny... Pojawia się zawsze, gdy mówię o Panu Dodo. Chyba mama za nim nie przepada. Ale... jak można kogoś nie lubić, skoro się go nie poznało?

– Przestań – mówię, marszcząc czoło. Mam nadzieję, że wyglądam groźnie. Jeśli przestraszę mamę, może TEN wzrok zniknie.

– Nie krzyw się tak. – Jej twarz się zmienia. Już nie patrzy na mnie w TEN sposób. Teraz... Teraz sprawia, że jest mi ciepło i przyjemnie. Lubię to spojrzenie. I ten uśmiech.

– Już lepiej! – Śmieje się i wskazuje kuchenne krzesło brudnym od pomidora nożem. – Siadaj. Zaraz będzie sałatka.

Podchodzę do krzesła, nie odrywając stóp od podłogi. Panele to lodowisko, więc nie ma innego sposobu na to, by się nie poślizgnąć. Lewa...! Prawa...! Lewa.... Znów zerkam na blat i nie odrywam od niego wzroku, póki nie zacznym wspinać się na siedzisko. Widzę pomidora... Wygląda jak mała planeta. Obok niego leży spory ogórek, z którego mógłbym zrobić raketę. Parę ulepszeń i poleciałbym nią na Pomidora. Dalej stoi puszka z kukurydzą. Pan Dodo ma podobne zęby, tylko bardziej kolorowe. Brakuje tu paru barw tęczy... To w sumie dobrze, bo pomyślałbym, że mama ukradła mu szczękę i postanowiła dodać zęby do sałatki jako dodatek.

– Co to jest, to białe? – pytam, wskazując na niewielki słoiczek wypełniony czymś, co przypomina mi makaron.

– Seler – odpowiada mama.

– Blee...

– Nie mów „blee”. – Marszczy brwi, dając mi do zrozumienia, że nie podoba jej się moje zachowanie. – Nie możesz powiedzieć, że czegoś nie lubisz, skoro nie próbowałaś.

Krzywię się i wypuszczam ze świstem powietrze.

– Skoro ty nie lubisz Pana Dodo, chociaż go nie poznałaś, ja mogę...

– Leoś... – przerywa mi. TEN wzrok znów się pojawia. Nie chcę, by na mnie NIM patrzono. Nie chcę! Pan Dodo tak samo! Nienawidzi go jeszcze bardziej niż ja. To pewnie dlatego jeszcze nigdy nie pokazał się mamie. Skoro widzi, jak ona często GO używa, woli się ukrywać. Rozumiem to. Też żyłbym w ten sposób, gdyby ktoś tak bardzo mnie nie lubił.

– Mógłbyś otworzyć słoik i wrzucić do miski seler? – pyta mama, całkowicie zapominając o tym, że mówiłem przed chwilą o Panu Dodo. Zawsze tak jest. Strasznie mi go szkoda... Tutaj nikt, oprócz mnie go nie szanuje. Wszyscy traktują go jak niewidzialnego, nieproszonego gościa. Nawet dziś, kiedy Pan Dodo ma urodziny.

– Nie – odpowiadam, patrząc na mamę gniewnie. – Nie lubię selera.

– Leoś... – Mama bierze krótki wdech i wraca do krojenia. – Dobrze. W takim razie idź zawołać siostrę i tatę.

A Pan Dodo? Co z nim? Nie dość, że nie zrobiłaś mu tortu urodzinowego, to jeszcze jako jedyne go nie zaprosisz na kolację? Zsunam się z krzesła i opadam na podłogę. Dobrze, że lód zdążył już stopnieć, bo nie mógłbym teraz tupać ze złości. Tup! Tup! Niech usłyszy mnie cały świat! Niech wszyscy dowiedzą się, że zapomniano o Panu Dodo! Wychodząc z kuchni na korytarz, wiem, że znowu zezłościłem mamę hałasowaniem. I dobrze! Pan Dodo nigdy nie zapomniał o jej urodzinach! Co roku prosi mnie, żebym złożył życzenia w jego imieniu.

– Nie martw się, Panie Dodo – mówię, idąc w stronę schodów. Wiem, że gdzieś tu się chowa. Czuję jego obecność... Szkoda, że jest taki nieśmiały. Nawet mi pokazał się tylko raz – trzy lata temu, w nocy, kiedy go zaskoczyłem, idąc do toalety. Zapomniałem umyć zęby, więc zaświeciłem światło i... wtedy go zobaczyłem. Zniknął natychmiast, przestraszony i zawstydzony.

Kopię buty, które kilka chwil temu były dla mnie przeszkodą. Oba uderzają o stojące w rzędzie kozaki mamy i zimowe buciory taty, przez co robi się mały bałagan. Zrobię jeszcze większy, jeśli będzie trzeba!

– KOLACJA! – krzyczę. Jestem pewny, że jeszcze bardziej zdenewruję tym mamę. Ona nie lubi, kiedy wrzeszczę – natychmiast zwraca mi uwagę i pyta od czego mam nogi.

– Leon! Prosiłam cię żebyś poszedł, a nie żebyś krzyczał!

Nie obchodzi mnie to! Ani trochę! Wciskam ręce do kieszeni zdarzonych na kolanach spodni i wracam do kuchni. Mama natychmiast traktuje mnie zimnym spojrzeniem i nic nie mówiąc, wskazuje na szafki. Mam wyciągnąć talerze. W porządku. Omijam jej stanowisko, na którym ta ciągle walczy z warzywami i przechodzę do drugiej części kuchni, gdzie mamy ciężki, prostokątny stół i twarde, drewniane krzesła. Bardzo nie lubię na nich siedzieć. Wolałbym jeść kolację w swoim pokoju, rozmawiając z Panem Dodo.

– Nie zapomnij o widelcach – przypomina mama, gdy otwieram ostatnią z szafek, gdzie trzymamy talerze. Są duże, okrągłe i mają niebieski wzorek na brzegach. Nie lubię ich. Są takie... poważne. Moja miska do płatków jest o wiele ładniejsza! Calutka czerwona i w żółte kropki! Aż chce się z niej coś jeść. Nie to, co z tych talerzy... Biorę jedno z naczyń i idę do stołu. Nie mogę przynieść po dwie sztuki, bo mama twierdzi, że wszystko rozbije. Kładę je ostrożnie i wracam po następny talerz. Wykonywana przeze mnie praca jest strasznie nudna... Gdybym tak zaczął nagle rzucać naczyniami, z pewnością zrobiłoby się weselej. Mógłbym zostać cyrkowcem! Żonglowałbym filiżankami i resztą zastawy stołowej! Miałbym swoje występy, na które przychodziłaby masa ludzi! Bilety rozchodziłyby się w mgnieniu oka, ale oczywiście wykombinowałbym jeden dla Pana Dodo. Siedziałyby w pierwszym rzędzie na honorowym miejscu.

– No, no, no! Co tam szykujecie?

Tata wchodzi do kuchni, przeciągając się jak kot. Pewnie znów bolą go plecy od siedzenia przy komputerze. Mama natychmiast mówi mu, żeby usiadł, ciągle zajęta sałatką. Ja natomiast kładę

ostatni talerz i zabieram się za sztucce. Powinienem wziąć łyżki czy widelce? Czym się je sałatkę...? Ja z chęcią zabrałbym dla siebie chochlę. Napakowałbym na nią całą swoją porcję sałatki i włożył do buzi na raz! Mama pewnie by się gniewała – nie lubi jak wygłupiam się przy jedzeniu.

– Leos...? – Słyszę jak tata odsuwa krzesło, by usiąść przy stole. – Nie zagalopowałeś się z tymi talerzami?

Chwytam w garść parę widelców i zaglądam w tył przez ramię.

– Dlaczego? – pytam, zasuwając szufladę.

– Jest nas czwórka. – Tata wskazuje palcem stół, gładząc drugą ręką obrus, który trochę pomiałem. – Wziąłeś za dużo talerzy.

Zaciskam usta w wąską kreskę. A Pan Dodo? Co z nim? Nie może z nami zjeść posiłku nawet w dniu swoich urodzin? Komu to przeszkadza?! Przecież umie zachować się przy stole! Może nie porozmawia z tatą o krzyczących panach z „polityki”, ale z pewnością znajdują jakieś wspólne tematy...

– Schowaj dodatkowy talerz, Leosiu – prosi mama, kładąc hełm z sałatką na środku stołu.

– Ale... – zaczynam, ściskając w dłoniach widelce – Pan Dodo... – milknę, gdy znowu widzę TEN wzrok.

– Leon. – Mama odsuwa energicznie krzesło, szurając przy tym przeraźliwie. – Przestań. Skończ z tym Panem Dodo! Nie masz już pięciu lat, żeby się tak zachowywać! To się robi męczące. Jesteś już dużym chłopcem!

Patrzę na nią wielkimi oczami. Czuję, że zaraz się rozpłaczę. Magiczne piórko łaskocze mnie w gardle, a świat robi się mokry. Zupełnie jakbym był pod wodą... Rzucam widelce na stół i zaciskam pięści, robiąc groźną minę. Chcę jej pokazać, jaki jestem zły! Ale... za bardzo trzęsie mi się broda.

– Dlaczego taka jesteś? – krzyczę, tupiąc nogami. – Dlaczego?! Pan Dodo...

Jestem jak deszczowa chmura. Wytwarzane przeze mnie krople spadają na moje policzki i spływają aż do brody. Gdyby tysiąc Leosów zaczęło nagle płakać, może powstałaby wielka ulewa...

– Leon! Pan Dodo nie istnieje! Zrozum to wreszcie.

Co...? O czym ona mówi? Nie! Nie chcę tego słuchać! Natychmiast wybiegam z kuchni i przeraźliwie tupiąc po schodach, zamykam się w mojej fortecy. Tutaj nikt mnie nie znajdzie. Mój pokój jest tajną bazą, a nieproszeni goście nie mają tu wstępu. Nawet rodzice. Włączam system obronny i zajmuję najbezpieczniejsze miejsce w fortecy – łóżko. Powlekająca go tkanina w gwiazdki i statki kosmiczne potrafi ukryć każdego! Wsuwam się pod nią, starając się uspokoić. Przecież nie mogę zmoczyć sprzętu przez swój płacz! Jeśli mój pokój wybuchnie, nie będę miał gdzie się schować...

– Panie Misiu...

Poszukiwanie mojego wiernego kompana i strażnika bazy w takich ciemnościach jest bardzo trudne. Nic nie widzę... Gdzie on może być? Przecież nigdy nie opuszcza swojego stanowiska! Przesuwam rękami po materacu, szukając pluszowej łapki. Zamiast niej znajduję niepotrzebną poduszkę. Znów wołam Pana Misia po imieniu, chlipiąc jak bekka. Mam ciągle mokre policzki. Nie potrafię przestać płakać, chociaż tak bardzo tego chcę. W głowie ciągle huczą mi słowa mamy... Nie rozumiem, dlaczego tak powiedziała. Nie miała prawa! Pan Dodo istnieje i ma się dobrze! Pewnie mu teraz bardzo przykro... Chciałbym go pocieszyć, powiedzieć żeby się nie przejmował i szeroko uśmiechnął.

– Panie Misiu! – wołam zaginionego, pocierając mokre oczy. – Gdzie jesteś?!

– Tutaj.

Nieruchomieję. Ten głos nie należy do Pana Misia... Nie znam go. Czyżby w mojej bazie był intruz? Jak to możliwe? Jedno jest pewne – muszę to sprawdzić. Powoli zsuwam z siebie tkaninę maskującą. Wyściubiam spod niej głowę i ostrożnie zaglądam w głąb pokoju. Przydałyby mi się okulary pozwalające widzieć w ciemności, bo jedynym oświetlonym miejscem jest okno i fragment podłogi, gdzie stoją obok domu latarnia rzuca swój żółty, nieprzyjemny blask. Na parapecie siedzi... Pan Miś. Nie mam pojęcia jak tam się znalazł... Przecież zawsze strzeże łóżka i nigdzie się nie rusza...

– Chcesz żebym ci go podał?

Znów ten głos... Odrywam wzrok od Pana Misia i rozglądam się ponownie po pokoju. Na szczęście moje oczy przeszły na tryb nocny, więc widzę trochę lepiej. Nic jednak nie przykuwa mojej uwagi. Wszystko jest na swoim miejscu: klocki, biurko, półka z książkami i rysunki porozrzucane po dywanie.

– W porządku...

Podskakuję, gdy widzę jak zza zasłony wyłania się ręka. Jest chuda i baaaardzo długa. Ukryte w białej rękawiczce palce zaciskają się na łapce Pana Misia i podnoszą go z parapetu. Po chwili widzę fragment okrągłej, bladej twarzy z wielkimi, zielonymi oczami, sterczącymi fioletowymi włosami i śmiesznym kapeluszem.

– P-pan D-dodo? – pytam lekko zaskoczony.

– Wystraszyłem cię? – Odsuwa zasłonę i staje przede mną w złotym świetle latarni. – Wybacz.

Nie zmienił się od ostatniego razu. Dalej jest wysoki, długi i śmieszny. Mimo, że w pokoju panuje mrok, doskonale widzę jego kolory. Są takie żywe...

– Nic się nie stało – odpowiadam, gdy podchodzi bliżej i wręcza mi Pana Misia. Patrząc przez chwilę w ogromne oczy, przypominające mi dwie świecące na zielono gwiazdy, po czym pytam – Czy jesteś smutny?

Pan Dodo kuca przed łóżkiem, poprawiając swój czerwono-srebrny kapelusz w groszki. Nie wygląda na kogoś, komu jest przykro. Może nie słyszał tego, co powiedziała mama?

– Nie, Leosiu – mówi, pokazując w uśmiechu swoje kolorowe zęby.

– Dlaczego miałbym być?

Czyli nic nie wie... Będę musiał mu powiedzieć. Biorę głęboki wdech, jakbym miał zaraz zanurkować do głębokiego, skrywającego na swym dnie skarb jeziora. Zrobię to. Muszę.

– Mama powiedziała, że nie istniejesz. I to w twoje urodziny! Nie wiem, dlaczego to zrobiła – dodaję natychmiast. – Nie rozumiem tego... I nie chcę, żeby było ci smutno.

– Leosiu... – Długa ręka unosi się, a biała rękawiczka dotyka mojego mokrego policzka. – Nie płacz. Naprawdę nie jestem smutny. Rozumiem twoją mamę.

– Rozumiesz? – chlipię. Rękawiczka Pana Dodo jest przyjemnie miękka. Prawie tak bardzo, jak ściskany przeze mnie Pan Miś. – Jak to?

– Twoja mama jest dorosła, prawda? – Kiwam głową w odpowiedzi. – No właśnie. Dorosli, mój drogi Leosiu, patrzą na pewne rzeczy trochę inaczej niż dzieci. A ja to rozumiem.

– Inaczej? – powtarzam za nim, czując się lekko zagubiony. Jak to „inaczej”? Tak się da?

Pan Dodo uśmiecha się szeroko i wstaje. Mimo, że stoi wyprostowany jego ręce dotykają podłogi, co bardzo śmiesznie wygląda. Gdybym miał lepszy humor z pewnością bym się roześmiał.

– Masz ochotę na spacer? – pyta mnie, patrząc w stronę okna.

Spacer? Przecież jest już późno i pewnie bardzo zimno. W końcu mamy zimę. Jeśli wyjdę na zewnątrz w samej bluzie, zaraz zamarznię. Nie chcę zostać kostką lodu. Wolę być astronautą, albo poszukiwaczem przygód. Kostka lodu nie może ani lecieć w kosmos, ani walczyć z piratami o skrzynkę wypełnioną złotem.

– Obiecuję, że będzie ci ciepło – śmieje się Pan Dodo i podchodzi do okna. Otwiera je pierwszym machnięciem ręki. Drugim stwarza srebrne stopnie prowadzące na podwórko. Przy parapecie wyrasta wąska barierka ozdobiona kolorowymi, błyszczącymi kamyczkami. Są niesamowicie podobne do oczu Pana Dodo. Mam ochotę je zobaczyć z bliska i dotknąć... Powoli wstaję z łóżka i podchodzę bliżej okna. Tam Pan Dodo łapie mnie za rękę i stawia na parapecie, bym mógł dostać się do magicznych schodów.

– Gdzie pójdziemy? – pytam, przyglądając się barierce. Ozdabiają ją kamienie są takie piękne!

– Zobaczysz... – odpowiada Pan Dodo i razem zaczynamy schodzić w dół. Każdy z nas idzie po swojemu – ja przeskakuję co dwa schodki, a on kroczy za mną powoli z dyndającymi w powietrzu rękami. Ciekawe, czy tak długie kończyny są uciążliwe? Z jednej strony nie musisz wstawać z kanapy, żeby osiągnąć pilota, ale z drugiej... Nie chciałbym żeby moje dłonie cały czas szurały po podłodze. Byłyby strasznie brudne...

– Powiedz! – proszę, zeskakując na trawnik pokryty grubą warstwą śniegu. Czekam z niecierpliwością aż zapadnę się w nim po

same kolana, ale nic się nie dzieje. Stoję na zaspie, jakbym ważył tyle, co piórko. To pewnie sprawka Pana Dodo! Czyżby zaczarował śnieg? A może mnie? Odwracam się do niego twarzą, by zapytać co zrobił. Pytanie jednak zostaje w moich ustach. Widząc migające światełka tuż przed twarzą Pana Dodo, nie potrafię odezwać się nawet słówkiem.

– Ładne, prawda? – śmieje się do mnie. – To moje świetliki. Będą nam towarzyszyć podczas spaceru.

Świetliki? Są przepiękne! Jest ich cała masa... Żółte, zielone, fioletowe, czerwone, niebieskie, pomarańczowe... Malutkie skrzydełka trzepoczą cichutko, a drobne, kolorowe brzuszki połyskują tak jasnym światłem, że nawet bez stojącej obok nas latarni widzielibyśmy calusieńki ogród! Niesamowite...

– Chodźmy! – Pan Dodo poprawia swój śmieszny kapelusz i nie czekając na mnie, rusza w stronę płotu. W miejscach, gdzie jego ukryte w za dużych butach stopy dotykają śniegu, pojawiają się kwiatki. Białe, małe stokrotki, żółte tulipany o dorodnych kielichach i fioletowe bratki. Niesamowite...

– Jak to robisz? – pytam, podbiegając do niego. Pan Dodo zerka na mnie z ukosa i znów szeroko się uśmiecha. Nie odpowiada, tylko łapie mnie swoimi długimi rękami i przenosi za płot na ośnieżony chodnik. Robi to tak szybko, że nawet nie zdążyłem jęknąć z zaskoczenia.

– Nie o tym będziemy rozmawiać, Leosiu – mówi i sam przeskakuje przez płot z lekkością jeszcze większą od mojej! Co za niesamowity człowiek! – Chodź...

Kiwam głową, przyciskając do piersi Pana Misia i oboje ruszamy wzdłuż ulicy. Nie wiem gdzie idziemy, więc daję się prowadzić kolorowym świetlikom, które brzęczą mi koło ucha i migają swoimi barwnymi brzuszkami.

– To, o czym? – Podnoszę rękę i dotykam palcem fioletowego owada. Ten siada na moim paznokciu, pozwalając mi obejrzeć się z bliska.

– O tobie, Leosiu.

Świetlik odlatuje, a ja patrzę na Pana Dodo, marszcząc czoło. O mnie? Dlaczego? Czy zrobiłem coś złego? Przecież byłem do-

brym dzieckiem... Nie pyskuję nauczycielom, nie biję się z kolegami i zawsze nakrywam do stołu.

– Jesteś już bardzo dużym chłopcem, wiesz? – Pan Dodo patrzy przed siebie. Jego ręce suną po śniegu, zostawiając za sobą długie ślady. Wygląda to tak, jakby ktoś jechał po chodniku podrasowanymi sankami. Chciałbym takie mieć... Z podwójnym siedzeniem, głośnikami i automatem robiącym gorącą czekoladę...

– Prawie największym w klasie – dodaje z dumą. – Przerosła mnie tylko Wiktoria, ale tylko o pięć centymetrów. Założę się, że do wakacji ją prześcignę i...

– Leosiu – Pan Dodo przerywa mi, kręcąc głową. Jego fioletowe, odstające na wszystkie strony świata włosy kołyszą się przez lekkie, niemal ciepłe powiewy wiatru. – Nie o to mi chodzi. Masz już dziesięć lat. Jesteś niemalże mężczyzną! Niedługo będziesz bardzo podobny do swojej mamy...

– Nie rozumiem – przerywam mu. – Podobny? Do mamy?

Pan Dodo kiwa głową, a fikuśny kapelusz zsuwa mu się na czoło. Poprawia go czym prędzej i mówi:

– Niedługo będziesz patrzeć na mnie tak, jak ona.

Robi mi się gorąco. Gdybym teraz spojrzał do lustra, na pewno zobaczyłbym, że moja skóra jest cała czerwona. Wyglądam jak mieszkaniac Pomidora, a nie jego zdobywca...

– O czym ty mówisz?! – krzyczę, machając brutalnie Panem Misiem, jakbym chciał nim rzucić w Pana Dodo. – Ja nigdy nie powiem, że nie istniejesz! Nigdy!

– Leosiu... Każde dziecko tak ma. Nie jesteś wyjątkiem – Uśmiecha się do mnie, a ja mam ochotę faktycznie wycelować w niego Panem Misiem.

– Jestem! Jestem! Jestem! – powtarzam uparcie. Naprawdę nie wiem o czym on mówi. Jakbym mógł myśleć tak, jak mama. Nigdy! Nie zgadzam się na to!

Nagle Pan Dodo łapie mnie za rękę i... lecimy w górę. Z mojego gardła wydostaje się pisk. Zaciskam mocniej łapkę Pana Misia i spoglądam w dół. Z początku myślałam, że lecimy, ale wcale tak nie jest. To tylko nogi Pana Dodo rozciągnęły się tak bardzo, że je-

steśmy wysoko nad dachami największych domów. Widzimy całe moje miasteczko!

– Niesamowite! – mówię, rozglądając się na boki. Pan Dodo przyciąga mnie do siebie i pozwala, bym wdrapał mu się na barana. Jego kapelusz trochę przysłania mi świat, ale nic nie szkodzi.

– Widzisz te wszystkie światła? – pyta mnie, wskazując na tysiące małych punkcików. To okienka prowadzące do pokoiów, w których jeszcze nie zgasło światło. Jest ich naprawdę wiele... Gdybym zaczął je liczyć, zgubiłbym się w rachunkach. – Takich osób jak ty jest jeszcze więcej. Wyobraź sobie, że w każdym domu mieszka ktoś, kto kiedyś był taki, jak ty.

– Jak ja? – Kładę ręce na jego ogromnym kapeluszu i marszczę czoło, gdy wystający z niego kwiatek łaskocze mnie po nosie. – To znaczy, że mieli kogoś takiego jak ty?

– Tak, Leosiu. I każdy z nich musiał kiedyś się z nim pożegnać. Ciebie też to czeka. Szczerze mówiąc... – przerywa na chwilę, by się roześmiać. – Ten moment już nadszedł, ale ty bardzo sprytnie od niego uciekasz. To właśnie dlatego twoja mama TAK na ciebie patrzy.

– Ona też miała swojego przyjaciela? – pytam, obserwując pogrążone w ciemności nocy miasto. Dzięki kolorowym brzuszkom świetlików budynki wydają się być skąpane w tęczy! Widok jest naprawdę magiczny...

– Miała. Ale dorosła i stał się dla niej tylko wspomnieniem z dzieciństwa. Nas też to czeka, Leosiu. Jesteś już na tyle duży, by potraktować mnie w ten sam sposób. To nie jest nic złego... Naprawdę.

– Jesteś pewny? – szepczę. Strasznie mi smutno. Jak mógłbym po prostu potraktować Pana Dodo jako wytwór swojej wyobraźni. Przecież to mój przyjaciel! O przyjaciółach się nie zapomina!

– Jestem, Leosiu. Nie pogniewam się, a nawet będę ci wdzięczny. Wolę patrzeć z ukrycia jak się śmiejesz, niż widzieć cię płaczącego tak, jak dziś. Musisz podjąć męską decyzję i dorosnąć. Zobaczysz, że wszyscy to docenią. Ty też będziesz szczęśliwy. Nie zapomnisz o mnie, ale będziesz traktował w inny sposób. To, że staniesz się duży nie zakończy naszej przyjaźni, rozumiesz?

Rozumiem i zrobię to. Stanę się chłopcem, z którego będziesz dumny. Będę kimś, kto wywoła na twojej twarzy uśmiech. Nie będę cię martwił. Nie będę się kłócił z mamą. Przestanę płakać. Obiecuję, Panie Dodo. Rano obudzę się jako duży chłopiec.

**Magdalena Łukasik (Hermenegilda), kl. 1
V Liceum Ogólnokształcące
w Krakowie**

Dziennik Pokładowy Małego Stworzyciela (fragmenty, czyli dni wybrane)

Spisuję te słowa w popiele, bo tylko popiół zostanie, gdy skremuje się bogów.

7 maja

Stworzyłem Boga.

Było to o tyle nierozsądne z mojej strony, że teraz nie wiem, jak go zabić.

Bóg powstał z gliny. Uformowanie jego istoty zajęło mi kilka lat świetlnych, ale regularnie brałem wtedy tabletki szczęścia, więc wyszedł raczej koślawo. Jahfe ma zbyt długą prawą nogę, płaskostopie i lordozę odcinka krzyżowego. Jest nie tyle pozorantem, co głupcem – wystarczyły zaledwie dwa tysiąclecia, żeby uwierzył we własne kłamstwo.

Tak naprawdę nie istnieje wszechmoc, a boskość jest dziełem moich stóp.

Oczywiście nie miałbym problemu z anihilowaniem jego ciała i bytu, wymazaniem go z pamięci wszechrzeczy, spalaniem świątyń, pozbawieniem wyznawców. Mimo to (koniec końców rozchodzi się o pierwotne przekonanie o konieczności istnienia Istoty Wyższej) odebranie wspomnień należy uznać za zabieg zdecydowanie niewystarczający – ale wymordowania połowy ludzkości nie

uwążam za szczególnie stratną inicjatywę. Mógłbym więc zrobić to wszystko i mieć spokój – pozostałby jednak emocjonalny ślad świadomego bytu, widzącego w sobie bóstwo, uciążliwie zawieszony w przestrzeni niby niezakończona melodia. On w to wierzy. Czy sama wiara nie wystarcza, aby boskość straciła status mitu? Jeżeli nieszczęsny Jahfe to bóg, kim jest jego stwórca? Ja?

25 maja

Nie istnieje czas.

Jutro rozmawiałem z niebogiem.

Wspomniałem już, że jest głupcem?

– Jedzą mnie.

– Co?

– Teraz palec. Patrz, prawie się kończy.

Rzeczywiście.

– Zaraz ci odrośnie.

– Wiem. Ale mają tam dużo innego jedzenia. Lubię ten palec.

Sam im kazał. Allach jest o wiele bardziej konsekwentny, nie narzeka na własne przykazania. Ale Allach wie, że nie istnieje – również Buddah doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Tylko Jahfe wyrósł na fanatyka. Nawet przy porodzie wydał mi się lekko radykalny – nigdy go nie lubiłem.

Ma w lewej ręce wenflon, którego dalszą część nosi przerzuconą przez szyję – jego koniec trzyma w metalowym kubku. Niechętym strumieniem płynie przez niego krew.

– Przedziurawił się.

Fakt, szczelina w dnie naczynia.

Rdzawe krople brudziły niebogu skarpetkę. Kapały długo, liczyłem do siedemdziesięciu, zanim odbijały się od białego materiału jak kamienie od dna studni. Stukotały.

– Dlaczego szacunek do ojca jest ważniejszy od życia?

To czwarte i piąte przykazania Jafwe. Sam o nie pytał?

– Bo ty jesteś ojcem?

Patrzył w przestrzeń nie widzącym wzrokiem. (Nie potrafi dostrzec wszechrzeczy.)

– Ja jestem ojcem.

Powtarza to czasami, jakby potrzebował zapewnienia. Może jednak nie wierzy tak mocno, jak myślałem. Albo wydaje mu się, że mnie sprawdza.

Jestem ateistą. Pewnie dlatego, że Bóg to mój wynalazek.

1 czerwca

Bóg zawsze ma na sobie koszulkę z Jurrastic World (powstał dopiero, gdy wyginęły dinozaury – to największa fascynacja Jahfe, zaraz po jego własnym kulcie) i hawajskie szorty. Wykazuje również skłonności do dramatyzmu – doczepił do swojej przestrzeni niebiańskie LEDy. Przepada za efektem poświaty.

– Kochasz mnie? – spytał Jahfe.

Nie znam miłości.

– Bo oni mnie kochają. – Skinął głową w stronę świata.

Głupcze.

– Oni muszą cię kochać.

Religia jest narkotykiem boga. Bierze ją dożylnie.

Kochaj boga swego bardziej niż wszystkich, którzy nauczyli cię miłości.

Co za szczęście, że nigdy nic nie czułem.

16 czerwca

Jahfe nie słyszy muzyki.

Mam fortepian. Nieboga doprowadza do szału, gdy widzi, że gram.

Ostatnimi czasy poważnie rozważam karierę pianisty.

Jahfe nie jest upośledzony. Natomiast obawiam się, że w procesie produkcyjnym zapomniałem wyposażyć go w pełni rozwiniętą emocjonalność. Może jednak to upośledzenie? Beznamiętnie patrzy, jak śmiertelne dusze rozbijają się na granicy termosfery, wy-

krzykując imię boga, który nie istnieje. Zwykle grywam im wtedy Rachmaninoffa.

Dodam dla ułatwienia, że nie ma również nieba.

1 lipca

Zabiję nieboga.

Gdy słońce utonie w wodach wszechrzeczy, a korzenie drzew po-
deprą księżyc.

Zabiję nieboga.

(Albo gdy się znudzę.)

30 lipca

Nużyła mnie samotność nieboga. Stworzyłem Satana, żeby miał się z kim kłócić.

Na piekielnym tronie siedzi Azjata w tęczowym pióropuszu i układa pasjansa. Jedyne zło, jakiego się dopuszcza, to stukanie drewnianą łyżką o ścianę, z której odpada tynk. Niebóg nie uzyskał przeciwwagi – dlatego poprosił mnie, żebym zrodził nieszczęście. Uszyłem je z niewypowiedzianych słów, soli, tektury i cynamonu. Tak oto boskie miłosierdzie stało się uzasadnione.

Gdy Jahfe odwiedził piekło, usłyszał od Satana tylko dwa słowa.
– Odejdź, niebog.

Do pasjansa nie potrzeba dwojga.

Rzędy śnieżnych kolumn wyrastające z onyksowej przestrzeni prowadzą do tronu piekieł, obitego plastikiem. Na drewnianym podwyższeniu przesiaduje Satan ze swoją łyżką, tronem, ścianą i stolikiem na karty. W piekle nie ma posadzki – Satan chodzi po wodzie. Na grafitową taflę nieustannie opada deszcz łez, wylewanych w świątyniach nieboga. Pana piekieł niezwykle to bawi. Mnie właściwie też.

13 sierpnia

Dzisiaj zebrałem panteon moich tworców – trzech niebogów i pana piekieł.

Buddah zjawił się ostatni, bo wszędzie nosi swojego figowca w czterdziestolitrowej donicy. Zwykle kładzie go na podłodze i pod nim siada, bo ma uraz do wszelkiego rodzaju mebli, ze szczególnym uwzględnieniem krzeseł. Jahfe robi się wyjątkowo nerwowy na tego typu spotkaniach i sprawdza na Buddahu przestarzałe chwytty zapaśnicze, czemu z kolei nieśmiało sprzeciwia się Allah (jest pacyfistą). Tylko Satan zachowuje się w cywilizowany sposób i zbiera zakłady.

Ja natomiast zwykle wkładam mydło do skarpety i nią kręcę (jak lassem). Na łące, pod tarczą księżycy.

21 sierpnia

– Poczucie bycia kochanym zapewnia ci poczucie wartości – wymamrotał Satan. Grywamy czasem w brydża. Za każdym razem zastanawiam się, dlaczego to on jest diabłem. – To straszne, nie czuć, że jest się kochanym.

– Wiem. Wiem.

31 sierpnia

Wszystko jest fałszem.

Wszyscy jesteście sami.

Niektórzy dopiero po śmierci zdają sobie sprawę, że nigdy nie było nikogo innego.

1 września

Mam gorączkę. Czy może umrzeć ten, kto się nigdy nie narodził?

Przynajmniej niebóg również podupada na zdrowiu – podejrzewam raka płuc. Zbyt dużo dymu kadzidlanego, otóż to. Albo nie-

uważnie ulepiłem mu też wnętrzności. Jestem prawie pewny, że zapomniałem o nerkach.

31 października

Oglądałem z niebogiem zachód świata.

– Co ty tu właściwie robisz? – Jahfe spojrział na mnie wreszcie. Patrzył na was kiedyś Jahfe? Ma brzydkie okulary. Chociaż z powodu swojej estetycznej ignorancji raczej nie przykłada do tego zbyt dużej wagi.

Wygląda fatalnie. Wyłysiał na lewej stronie głowy i chodzi po krzywiony, podpierając się na sfatygowanym kij baseballowym. Nawet nie pierze już swojej koszulki, pociera ją tylko nieustannie szczotką do ubrań.

Niebogu dolega również ślepotą, obejmująca jednak zaledwie dwa konkretne obiekty – nie potrafi dostrzec jedynie mnie i wszechrzeczy. Nigdy nie zobaczy swojego stwórcy. Nigdy nie zgadnie, po co jestem.

– Przecież mnie tu nie ma.

**Nikodem Rzepnicki (Bjørn Dostojewski), kl. 1
II Liceum Ogólnokształcące w Sieradzu**

Przyjaciel

1

Gustaw siedział na kanapie. Joanna naprzeciwko niego w dużym, białym fotelu. Dzielił ich stolik kawowy na którym stały dwie szklanki wody. Za kobietą, na ścianie wisiał obraz. Przedstawiał przejawskrawione postacie, zwierzęta i góry w tle. Zdawał się przyciągać uwagę Gustawa bardziej, niż to co miała mu do powiedzenia jego psychoterapeutka. Nie pierwszy raz puszczał mimo uszu to, o czym mówiła. Chodził na terapię ze względu na mamę, która martwiła się, że syn nigdy nie znajdzie przyjaciół.

– I dlatego uważam, że powinieneś... – właśnie dawała młodzieńcowi kolejną radę odnośnie zdobywania znajomości, gdy ten, milczący jak zawsze, niespodziewanie wymruczał coś pod nosem.

– Kim jesteście? Skąd pochodzimy? Dokąd idziemy? – powiedział jakby sam do siebie, zapatrzonego w obraz.

– Słucham? – spytała.

– Kim jesteście? Skąd pochodzimy? Dokąd idziemy? – powtórzył bardziej stanowczym głosem, lecz Joanna zmarszczyła tylko brwi i spojrzała z zakłopotaniem.

– Ten duży, postimpresjonistyczny obraz za panią – wskazał na niego wzrokiem – nazywa się „Kim jesteście? Skąd pochodzimy? Dokąd idziemy?”, namalował go francuski malarz Paul Gauguin i jest przykładem typowo... – teraz to ona przerwała jemu.

– Aaa, ten obraz. Tak, mój mąż go kupił. W przeciwieństwie do mnie jest wielkim fanem sztuki. Mnie się nie za bardzo podoba. Te postacie są takie jakieś krzywe i żółte, i jeszcze te zwierzęta. Straszne! Chcę go ściągnąć, ale on się upiera, że ładnie tu wygląda. No nic. Ja wolę robić zdjęcia, a szczególnie zdjęcia jedzenia. Mam już ponad trzystu obserwujących na Instagramie – powiedziała z dumą, pokazując zdjęcie spaghetti na telefonie.

– To świetnie. – powiedział z zakłopotaniem. Sam nigdy nie miał konta na żadnym portalu społecznościowym. Nie widział sensu w umieszczaniu swoich zdjęć w sieci, a jeszcze bardziej nie rozumiał, jak można oglądać czyjeś jedzenie.

Joanna poprawiła swoje kwadratowe okulary, ułożyła pofalowane blond włosy, przejechała jeszcze ręką po swojej bordowej marynarce i spojrzała na Gustawa, któremu ciężko byłoby przypisać tytuł najmodniej ubranego szesnastolatka. Czarne trampki, czarne jeansy, czarna rozpinana bluza i najciekawszy element ubioru – czarna koszulka z podobizną złotej muzy z obrazu Pabla Picasso.

– Gdy wspominasz swój tydzień, jaki najprzyjemniejszy moment przychodzi ci do głowy? – zapytała.

Przychodziła mu tylko jedna myśl – Paulina. – próbował znaleźć coś innego, ale cały tydzień wydawał się zlewać w to jedno spotkanie.

- Więc spotkałem Paulinę... – powiedział niechętnie
- Paulinę?
- Koleżankę z klasy. Praktycznie jej nie znam. Kupowała ołówki i spytała które są lepsze, więc jej doradziłem, to tyle. Naprawdę tylko tyle... – był spanikowany swoim wyznaniem.
- Niestety nasz czas dobiega końca. – powiedziała wstając. – Najwyraźniej ta dziewczyna coś dla ciebie znaczy, dlatego twoją pracą domową jest z nią porozmawiać i powiedzieć jej komplement. – Przy drzwiach dodała – Śmieszny ten ludzik na koszulce.

2

Przebywanie wieczorem na łódzkich ulicach nie należy do najprzyjemniejszych i najbezpieczniejszych sposobów na spędzanie czasu. Wkrótce przekonać się o tym miał Gustaw. Gdy wyszedł od Joanny była godzina 18:15, a najwcześniejszy autobus odjeżdżał o 20:00, co dawało mu sporo wolnego czasu. Najpierw wstąpił do swojej ulubionej pączkarni. Następnie po zdobyciu ciepłej słodkości udał się w stronę parku. Minął dwie przecznice i doszedł na miejsce. Usiadł na ławce, wyciągnął swój szkicownik i przy świetle latarni rysował portret Pauliny. Myśl o niej nie dawała mu spokoju. Wydawać by się mogło, że oczekiwanie na autobus to jedna z najnudniejszych rzeczy, lecz melancholijna muzyka w słuchawkach i myśl o dziewczynie, zamieniły ten marazm w sen na jawie. Rozmarzony tak, siedział i szkicował do momentu, gdy na jego kartce pojawiła się krew.

- Co do! – krzyknął przerażony i podskoczył z ławki zrzucając przy tym szkicownik i słuchawki.
- Po... pomóż... pomóż mi proszę. – powiedział opierający się o ławkę starzec. Był cały we krwi. Przypominał Clintę Eastwooda, tylko takiego bardziej żyjącego na ulicy, niż w Hollywood.
- Dobrze, pomogę panu. – Złapał mężczyznę pod ramię. – Co się stało? Napadli pana?
- Tam... tam mieszk... mieszkam – starzec wskazał na pobliski blok.
- Dobrze, już idziemy.

3

Weszli do mieszkania Stanisława – tak nazywał się mężczyzna. Chłopak położył go w wannie, oczyścił ranę, założył opatrunek i zadzwonił po pogotowie. Po 10 minutach przybyła pomoc. Zabrali rannego. Gustaw został sam w mieszkaniu. Było niewielkie, jednopokojowe, a wokół panował wszechobecny bałagan, lecz nie składały się na niego sterty ubrań, resztki po jedzeniu czy inne śmieci. Był urządzony sztuką. Gustaw nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Na podłodze leżały piękne szkice, biurko ugięło się pod ciężarem ogromnej rzeźby, a na ścianach wisiały plakaty i obrazy. Było ich tak wiele, że niektóre leżały luzem oparte o stół. Większość mebli była ubrudzona od farb i gliny. Były to dzieła tak osobliwe, że ciężko je opisać. Od byków z głowami węży, po rzeźby azteckich bogów i portrety wielkich ludzi. Prace były autentyczne i niezwykle dopracowane, niemal jakby żyły. Gustaw nie wiedział co myśleć. Czy to złodziej dzieł sztuki? Czy może Michał Anioł naszych czasów? Ale co Michał Anioł robiłby w małej łódzkiej kawalerce z raną ciętą na brzuchu? Postanowił udać się do szpitala aby uzyskać odpowiedź, ale nie chcieli go wpuścić. Musiał czekać.

4

Następny dzień, nie zapowiadał się najlepiej. Gustawa przerażała myśl o spotkaniu z Pauliną. Całą drogę układał scenariusz rozmowy. Chciał by wyszło doskonale. Gdy doszedł do szkoły, zobaczył ją zapinającą swój rower. W tym momencie przypomniał sobie jaka jest piękna. Długie brązowe włosy opadały na jej ramiona. Zawsze chodziła wyprostowana i pewna siebie. Z jednej strony go to przerażało, ale z drugiej, chciał ją lepiej poznać. Nie przestawał spoglądać na jej niebieskie oczy i lekko zadarty nosek.

– Cześć Gustaw. – powiedziała wchodząc do szkoły.

– Cześć... – nie zdążył jej odpowiedzieć.

Paulina siedziała samotnie przy stoliku na korytarzu. Czytała książkę, a obok niej leżał futerał ze skrzypcami. Dzisiaj miała występ.

– Czy ona musi być taka doskonała? – pomyślał, zmierzając w jej stronę. Zjadał go stres, ale to była jego szansa. Oparł się o stolik i zaczął:

– Cześć Paulina.

– Hej Gustaw, co tam?

– W porządku, a u ciebie?

– Nic ciekawego, czytam książkę.

– Tak przechodziłem i pomyślałem, że ci powiem...

– Tak?

– Masz ładne włosy, sama się czeszesz? – nie wiedział jak to się stało. Przecież układał sobie w głowie idealny komplement, a jednak wyszło fatalnie.

– Dziękuję – powiedziała zmieszana i dodała z uśmiechem – Tak, sama się czeszę.

Nie jest najgorzej – pomyślał. Nie zapadła nieręczna cisza, ani go nie wyśmiała. To i tak przekraczało jego oczekiwania. Postanowił kontynuować.

– Mogę zobaczyć książkę... – Sięgając wylał stojący obok sok. I tak, to była katastrofa, której lepiej nie opisywać.

5

Po szkole Gustaw udał się do szpitala. Spędził w poczekalni cały dzień.

– Na kogo tak czekasz młodzieńcze? Na dziewczynę? – zapytała pielęgniarka.

– Lepiej... na starszego, niskiego, siwego pana.

Kobieta uniosła lekko brew spoglądając krzywo na Gustawa.

– Stanisława Lipskiego?

– Tak! W której sali leży?

– Wypisał się dziś rano.

– Cholera!

Po chwili, Gustaw stał przed znajomym mieszkaniem i zapukał.

– Kto tam? – odezwał się mężczyzna.

– To ja, Gustaw.

– Jaki Gustaw?

- Ten, który wczoraj pana uratował.
- Zza lekko uchylonych drzwi wyrzwał starzec.
- Czego chcesz?
- Tylko porozmawiać.
- Jesteś sam?
- Tak.
- Wchodź. – powiedział niechętnie.
- Mieszkanie było mniej więcej w tym samym stanie w jakim je zostawił poprzedniej nocy. Stanisław usiadł na swoim bujanym fotelu i wyciągnął fajkę.
- O czym chcesz porozmawiać?
- Chcę wiedzieć, skąd pan ma te dzieła.
- Jak to skąd? Wszystkie stworzyłem sam, tymi rękoma – odparł oburzony.
- Niezwykłe – powiedział Gustaw oglądając rzeźby. – Jak kto możliwe, że ktoś kto tworzy takie arcydzieła jest nieznany?
- Powiedzmy, że moja sztuka trafiła na nieodpowiednie czasy i ludzi.
- Nie myślał pan o wystawieniu swoich dzieł w muzeum sztuki? Dzisiaj, każdy może zorganizować własną wystawę.
- Nie, to nie dla mnie. Kiedyś, może i bym chciał, ale teraz mam już ponad 80 lat. Nie potrzebuję sławy ani pieniędzy.
- Ma pan jakąś rodzinę?
- Nie mam już nikogo – powiedział smutnym głosem, spoglądając na zdjęcie kobiety.
- Pewnie przydałaby się panu pomoc.
- Mnie? Ha! Jestem w pełni zdrow! – powiedział próbując nieudolnie wstać z fotela.
- Będę panu codziennie przynosił zakupy i sprzątał, na ile jest to tutaj możliwe.
- W zamian za? – zapytał starzec.
- W zamian, opowie mi pan o swoich pracach i nauczy rozumieć sztukę.
- Myślisz, że jesteś w stanie to pojąć? – Stanisław rozejrzał się po pokoju, spojrzął na zalegające wokół dzieła i zrozumiał, że być

może faktycznie potrzebuje pomocy. – Dobrze, niech będzie – powiedział cierpko.

W ten sposób Gustaw znalazł swojego mentora i przyjaciela. Stanisław nie lubił rozmawiać o sobie i o swoim życiu. Był arogancki i bezpośredni. Lecz, gdy tylko zaczynał mówić o sztuce, zdawać by się mogło, że to inny człowiek. Na jego twarzy zarysowywał się uśmiech, a język łagodniał. Opowiadał historię każdego dzieła. Omawiał każdy najdrobniejszy szczegół. Tłumaczył swój wybór i co go inspirowało. Uważał, że wyobraźnia to największa siła człowieka, a dzisiaj robi się wszystko, by ją ograniczać. W końcu, Gustaw zebrał się na odwagę i pokazał mu swoje obrazy. Stanisław nie okazał zachwyty i odparł lakonicznie, że są nie najgorsze. Co z jego ust stanowiło wielki komplement.

Pewnego dnia jak to mieli już w zwyczaju, siedzieli na podłodze i jedząc chińszczyznę, rozmawiali o sztuce.

– Tak, ten jest w porządku – powiedział Stanisław oglądając jeden z obrazów Gustawa. – Ale mam pytanie.

– Tak?

– Co ty tu robisz?

– Jak to co tutaj robię? Przygotowuję z tobą moją wystawę – odpowiedział zdziwiony.

– Nie o to pytam. Cemu siedzisz z jakimś starym przykiem, a nie ze znajomymi, jak inne dzieciaki w twoim wieku.

– Ciężko jest znaleźć kogoś normalnego.

– A ta Paulina? Mówiłeś, że jest świetna.

– Bo jest. Ale wylałem na nią sok. Nie potrzebuję żadnych znajomych. To, że ich nie mam, nie oznacza, że jestem samotny. Mam sztukę. O tym jest przecież moja wystawa. Chcę pokazać ludziom, że telefony to nie przyjaciele, tylko urządzenia i gdyby unieśli głowę trochę wyżej, zobaczyliby jaki świat jest piękny.

– Każdy potrzebuje przyjaciela. Każdy potrzebuje kogoś z kim może dzielić szczęście i komu może się wypłakać, a wylanie na kogoś soku to nie koniec świata. Jeżeli jest taka świetna to na pewno ci wybaczy. A świata nie zmienisz swoją wystawą o telefonach.

Stanisław popatrzył Gustawowi prosto w oczy i powiedział ciepłym głosem:

– Masz porozmawiać z Pauliną. Szczerze. Bez komplementów o włosach i na pewno bez soków. Herbatę też sobie odpuść.

– Dziękuję – powiedział Gustaw. – Dziękuję, że mi pomagasz i że jesteś ze mną.

6

Muszę z nią porozmawiać – mówił do siebie Gustaw, zmierzając w kierunku Pauliny. Choć denerwował się na samą myśl o rozmowie, a idąc kręciło mu się w głowie, to wiedział, że musi to zrobić.

– Cześć Paulina!

– O, cześć! Zanim coś powiesz, chcę żebyś wiedział, że nie gniewam się o ten sok. Nic się nie stało.

Poszło lepiej niż zakładał, a nic nawet nie powiedział.

– To dobrze, czułem się przez to fatalnie. – Wymienili się ciepłymi spojrzeniami. – Wiesz, jutro mam wystawę w muzeum, może chciałabyś przyjść?

– Jasne. O której? – zapytała z uśmiechem.

– O 19:00. – Nie mógł uwierzyć, że naprawdę się zgodziła.

– Ok. Do jutra.

Dzień wydawał się doskonały. Jutro wystawa, wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Paulina się zgodziła. Zgodziła się. Zgodziła się. Powtarzał to sobie całą drogę do domu. Nie wierzył, że to prawda. Jego radość przerwał telefon.

– Halo – powiedział Gustaw.

– Czy to pan Gustaw Szukalski? – zapytał nieznany głos.

– Tak to ja. Kto mówi?

– Dzwonię ze szpitala Bonifratrów św. Jana. Czy zna pan Stanisława Lipskiego?

– Tak, to mój przyjaciel. Czy coś się stało?

– Mam przykrą wiadomość...

Dzień wystawy miał być najszczęśliwszym dniem w życiu Gustawa. Przygotowywał się do niej ponad dwa lata. Obrazy były gotowe i wyglądały obłędnie. Opracował każdy szczegół. Przerobił każdy scenariusz. Dopiął wszystko na ostatni guzik, a życie i tak go zaskoczyło. Bo jak mógł przewidzieć, że zdobędzie w końcu przyjaciela? Jak mógł przewidzieć, że straci go szybciej niż poznał?

Sala była pełna gości. Przyszli miłośnicy sztuki, stali bywalcy muzeum, parę osób z zarządu miasta, znalazło się nawet kilka osób ze szkoły i gość honorowy – Paulina. Gustaw stanął na mównicy. Miał wy mówić swoje uroczyste przemówienie. Ale nie był gotowy. Ręce mu drżały. Czuł bicie własnego serca. Najchętniej uciekłby teraz w jakieś spokojne miejsce, by opłakiwać przyjaciela. Ale miał obowiązki.

– Mogę prosić o uwagę? – zapadła cisza, wszyscy goście wpatrywali się teraz na samotną postać chłopca. Zaczął z trudem, powstrzymując łzy. – Przez ponad dwa lata, tworzyłem obrazy, którymi chciałem zmienić świat. Zmienić ludzi. Nie znam się na ludziach. Nie mam z nimi dobrego kontaktu. Nawet nie potrafię ich zrozumieć. Ale chciałem, żeby oni zrozumieli mnie. Żeby zobaczyli, kim się stali i ile tracą każdego dnia, gdy zamiast na świat, patrzą na ekran telefonu. Poznałem... – głos mu się urwał – poznałem genialnego człowieka – Stanisława Lipskiego. Był moim najlepszym i jedynym przyjacielem. Nauczył mnie, że nie da się zmienić świata ani ludzi, jeżeli oni sami nie będą chcieli tego zrobić. Dzięki niemu zrozumiałem też, że to co robimy, nasza praca i szczęście, mają znaczenie tylko, jeżeli je z kimś dzielimy. Inaczej są bezwartościowe. Przez ostatnie tygodnie, każdą wolną chwilę spędzałem ze Stanisławem. Nasza więź była szczególna, a przede wszystkim była prawdziwa. Opierała się na zrozumieniu i akceptacji, a nie na liczbie polubień, czy obserwujących. Czas spędzaliśmy dzieląc wspólną pasję. Dlatego dzisiaj, nie zobaczycie żadnego z moich dzieł. Wszystkie rzeźby i obrazy są autorstwa mojego przyjaciela i wielkiego artysty – Stanisława Lipskiego. Są to dzieła wyjątko-

we. Pozwolą wam choć trochę poznać jego wielki talent i przybliżą jego niebywałą osobowość.

Zszedł z mównicy. Paulina do niego podbiegła i czule przytuliła.

– Piękna przemowa.

– Dziękuję. – Paulina wyciągnęła chusteczkę i wytarła zapłakane oczy Gustawa. – Dziękuję, że jesteś.

– Jak mogłabym nie przyjść. Naprawdę piękne dzieła.

– Wiem, był najlepszy.

– Szkoda tylko, że nie mogłam zobaczyć twoich obrazów – powiedziała, starając się go pocieszyć.

– Może jutro, jak będziesz chciała przyjść, pokażę ci kilka prac.

– Świetnie. Jak coś, to umówimy się na Facebooku...

Jakub Krzymiński (Buba), kl. 3

II Liceum Ogólnokształcące w Gnieźnie

Przesłuchanie

Z sufitu zwisała samotna żarówka. Taka, która przy każdym zapaleniu groziła śmiercią lub kalectwem wszystkim znajdującym się w pomieszczeniu osobom. Wisiała tam od dnia zakupu posesji i była teoretycznie rozwiązaniem tymczasowym, jednakże mafii Górkiewicza wiodło się od pewnego czasu dosyć słabo, w związku z czym rozwiązanie tymczasowe przemieniło się w stałe i pełnoprawne źródło oświetlenia.

Pod tą żarówką siedział na samotnym krzesełku młody chłopak, licealista. Miał wysokie czoło, bardzo krótkie, ciemne włosy i ogromnego guza na czole. „Spał”.

Z letargu wyrwał go dźwięk budzika. Podskoczył w miejscu i zaczął masować obolały kark, równocześnie badając kieszenie w poszukiwaniu telefonu. Nie mógł go jednak nigdzie wyczuć. Czuł się jak po zbyt długiej nocy. Nie wiedział, jaki jest dzień, która godzina. Otworzywszy zaś oczy, ujrzał jedynie surowe ściany pomieszczenia, własny plecak leżący pod jedną z nich i dwóch wielkich,

tęgich mężczyzn, którzy najwyraźniej pilnowali go. Wyglądali trochę jak klony, bowiem w podobny sposób mieli ukształtowane twarze i łysy czaszki, siermiężnie osadzone na potężnych karkach. Różnicę można było jednak dostrzec w oczach. Jeden miał zielone, drugi z kolei niebieskie.

Alarm dzwonił zaś nieprzerwanie. Telefon był najwidoczniej w plecaku, stamtąd bowiem dobiegał dźwięk, jednak chłopak bał się po prostu wstać i ukrócić irytujący dźwięk.

– Mogę podejść do plecaka, żeby wyłączyć ten budzik? – spytał po chwili niepewnie.

Mężczyźni nie patrzyli na siebie, ale po ich ociosanych twarzach widać było, że zadał kłopotliwe pytanie. Wreszcie jeden z nich wypalił:

– Nie.

A alarm dzwonił dalej.

– Nie wkurza was ten alarm? – zapytał znowu chłopak, tym razem nieco pewniej.

Westchnęli obaj w jednym momencie, jak gdyby się umówili. Kilka chwil później jeden z nich, ten bliżej plecaka, otworzył torbę chłopca, wyciągnął z niej telefon i koniuszkami grubych palców, jak gdyby bojąc się, że zmiażdży drobny smartfon, nacisnął i przytrzymał przycisk blokady ekranu, następnie wyłączył telefon.

Wtem, ktoś trzasnął drzwiami i szybkim krokiem zaczął zbiegać po schodach. Najwyraźniej obu pilnujących chłopaka mężczyzn oczekiwało nieznanego w napięciu, bowiem obaj w tym samym momencie podskoczyli w miejscu, usłyszawszy dźwięk zatrzaskiwanych drzwi. Ktoś zbiegał przy tym po schodach na tyle długo, że nim się zjawił na samym dole, mężczyzna przy plecaku zdążył zakląć, podciągnąć spodnie, telefon wrzucić z powrotem do torby i wrócić na swoje miejsce. Wreszcie, po dłuższej chwili, przed oczami chłopca pojawił się wysoki facet, o podłużnej, lisiej twarzy i ciemnych, lekko rudawych włosach. Był niezwykle szczupły, wąski, generalnie przypominał bardziej szparę pod drzwiami niż człowieka. Miał jednak w sobie coś niezwykłego, dlatego chłopak nie mógł oderwać od niego oczu.

Ujrzawszy chłopca, mężczyzna uśmiechnął się szyderczo i rzekł dziwnym, ochryplym głosem:

– Mirosław „Buba” Bubkiewicz – przedstawił się, pociągając nosem – Przychodzę tu z ramienia Janusza Górkiewicza, bossa miejscowej mafii – zaczął poważnie. Na tyle poważnie, że chłopak zadrżał, poprawił się na krześle i odetchnął głośno – Mniemam, że wiesz, dlaczego tu jesteś, prawda? – spytał, a ton jego głosu rozszerzał się i kurczył jednocześnie, tym samym wwiercając się w czaszkę chłopaka. Coś w pseudonimie mężczyzny, mimo że normalnie brzmiałby zabawnie i infantylnie, zdawało mu się niezwykle przerażające.

– Szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia... – rzekł po chwili, nieco odurzony.

Bubkiewicz westchnął i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A spróbuj sobie przypomnieć. Gdzie ostatnio byłeś w sobotę, co robiłeś... – mówiąc to wyciągnął paczkę papierosów i począł powoli iść w stronę chłopaka. Ten zaś zbladł i drżącym głosem rzekł:

– W... w domu byłem...

Mężczyzna zachichotał, wyciągając z paczki papierosa.

– Ale tak cały dzień byłeś w domu...? Taki imprezowy chłopak jak ty, raczej przecież nie spędza czasu sam w domu... szczególnie w sobotę – rzekł, zaciągając się świeżo zapalonym Camelem.

Chłopak zbladł jeszcze bardziej. Czuł, jak spływa mu po czole ciężka kropla potu.

– T... t... – spróbował zacząć, ale Buba przerwał mu, mówiąc:

– Przemyśl dobrze, co chcesz powiedzieć.

Chłopak zbladł jeszcze bardziej, a kropla otarła się o płatek nosa. Przez kilka długich chwil w pomieszczeniu panowała kompletna cisza. Wreszcie, gdy do pierwszej kropli dołączyło pięć kolejnych, chłopak wrzasnął, zakrywając się rękami:

– No dobra, dobra! Paliłem trawę ze znajomymi! Ale myśmy ją przy jakimś śmietniku znaleźli! Ja nie wiedziałem, skąd ona była! Nie mam z nią nic wspólnego, przysięgam!

Buba stanął naprzeciwko chłopaka i spojrzał na niego szczerze zdziwiony.

– C... co? – spytał skonsternowany. W ustach wciąż trzymał papierosa – Ale nie o to mi chodzi! – zawołał po chwili. – Ja tutaj mam na myśli ten post, który wstawiłeś na Tamtoforum o 21:37:42.

– Na jakie forum? – zapytał zdezorientowany chłopak, drapiąc się po krótko ostrzyżonej czaszce.

– No, na Tamtoforum! Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi gnojku! – krzyknął wyraźnie zirytowany Buba, podchodząc szybkim krokiem do krzesła.

– Aaa! – wrzasnął chłopaczek, zakrywając twarz rękoma. – Tylko nie gaś mi na twarzy tego papierosa, błagam!

– O czym ty gadasz chłopaku? Jakie „gaszenie papierosa na twarzy”? – spytał nieco już zrezygnowany mężczyzna. – Nieeee, ja tu nie chcę ci nic zrobić.

– No, tak na filmach gangusy robią... – stwierdził cicho – że gaszą ludziom fajki na twarzach... Po cholere ją tu w ogóle jestem, skoro nie chcesz mnie krzywdzić, ani o trawę nie chodzi?

– Chodzi o to – zaczął Buba, patrząc chłopakowi głęboko w oczy – że na Tamtoforum.pl opublikowałeś post, opatrzony tytułem „Żądza”. I napisałeś to słowo przez „rz”, a powinno być „ż”, tłumoku! Całe napięcie w pokoju nagle jakby odpłynęło. Chłopak usiadł prosto, poprawił się na krześle i wyraźnie rozluźniony spojrzał na Bubę, którego twarz wyraźnie wypogodniała.

– Chwila, chwila... – rzekł wreszcie, jakby dopiero w tamtej chwili to dotarło do świadomości chłopaka – że co? Że niby „rządza” pisze się przez „ż” z kropką, a nie „rz”?! Jak to?! – wrzasnął oburzony.

– Tak to! Musisz to zmienić! Tak słownik języka polskiego mówi! Że przez „ż”!

– Słaby słownik oglądałeś w takim razie... – prychnął młodzieniec.

– Co?! – krzyknął Buba. – Teraz to jesteś beczelny, gnojku. Widziałem w internetowym Pewuenie, że przez „ż”! I nie wmówisz mi, że jest inaczej!

– A nie przyszło ci do głowy, gościu – odpowiedział z nonszalancją chłopiec – że źle zapamiętałeś i tak naprawdę jest tam napisane, że „rządza” się pisze przez „rz”? Bo ja – tutaj rozsiadł się wygodnie na twardym krześle – to takich rzeczy jestem pewien. W koń-

cu byłem na olimpiadzie polonistycznej – tę ostatnią rzecz dodał jakby od niechcenia.

– Nie pieprz głupot, dzieciaku. Przecież to pisownia niezgodna z zasadami...

– Jakimi niby, co?

– No... – Buba zaczął się zastanawiać – No zasadami języka polskiego do cholery!

– Wiesz gościu, tych zasad jest sporo, więc musisz mi podać konkretną, bo ci inaczej nie uwierzę... – stwierdził chłopak, rozkładając ręce.

Buba zacisnął usta, głośno westchnął i spojrzał po swoich towarzyszach. Ci jednak unikali jego wzroku jak ognia, szukając spojrzemiami po ścianach niewidzialnych insektów, którym można by się poprzyglądać.

– To wyjątek jest jakiś! – rzekł w końcu Buba.

– To może mi gościu weź teraz opowiedz o tym, co na co się zamienia... jak mi to ładnie przedstawisz, to ci uwierzę. A jak nie... to nie.

Mężczyzna westchnął i zaczął delikatnie rozmasowywać czoło.

– Tobiasz, Robiasz – obu towarzyszy Buby wzdrygnęło się. – Ma któryś z was telefon?

Usłyszawszy to pytanie, zaczęli panicznie przeszukiwać kieszenie, ale po chwili po prostu rozłożyli ręce jednocześnie. Buba mruknął gniewnie.

– Młody miał smartfon? – spytał.

Robiasz (albo to był Tobiasz?) przytaknął i ruszył w stronę plecaka chłopca. Wyciągnął z niego telefon i tym samym komicznym gestem, co wcześniej próbował go włączyć. Kilka niezręcznych sekund później podszedł ciężko do Buby i ozwał się tubalnym głosem:

– Szefie, bo tu hasło trzeba wpisać...

Buba spiorunował go wzrokiem.

– To podaj młodemu, wpisze hasło i przyniesie mi go z powrotem!

Tobiasz (lub Robiasz?) wykonał posłusznie jego polecenie.

– Bo ten... – zaczął niezręcznie wręczając mężczyźnie telefon – jest problem szefie...

– Jaki znowu?!

Pachołek wahał się chwilę, po czym rzekł:

– Tutaj nie ma zasięgu i się z internetem nie połączymy...

Po raz kolejny tamtego dnia zapadła niezręczna cisza, której echo rezonowało w pustych czaszkach bliźniaków. Buba spojrział na chłopca, który wciąż siedział na krześle i przyglądał im się z szyderczym uśmiechem.

– Nie pokażę ci dowodu. Ale ja jestem tego pewien... – tu się zatrzymał na chwilę – prawie pewien, że to przez „ż” się pisze.

– A tak szczerze mi powiedz – odrzekł na to chłopak, opierając brodę na dłoni – co lepiej wygląda? „Rządza” przez „rz”, czy „ż”?

– No przez „rz” lepiej wygląda... – przyznał Buba.

– A widzisz.

– Wiesz co. Spadaj stąd. Drzwi są otwarte – stwierdził w końcu mężczyzna, odsuwając się na bok, żeby chłopiec mógł swobodnie wyjść.

I uczynił to. Bez słowa.

– Szefieeee... – zaczął w kilka chwil później jeden z bliźniaków – a może byśmy go podrzucili do szkoły, to jeszcze na czwartą lekcję zdąży...?

Katarzyna Soja (Etiam), kl.4
Zespół Szkół w Mielcu

Koniec świata

Nasze życie pozostaje we władzy głupców, którzy mogą nas zabić.

M. Hłasko

Dziesięcioletni Pawełek w ogóle nie bał się śmierci. Może dlatego, że po prostu w nią nie wierzył.

– Śmierć przychodzi do starych – mówiła babcia. – Młodych nie zabiera.

– Ty przecież jesteś stara. Umrzesz, babciu?

– Umrę, dziecko, umrę. Każdy kiedyś odejdzie z tego świata. Nawet Syn Boży umarł na krzyżu. Tylko później zmartwychwstał, zapomniałeś już?

– Nie chcę, żebyś umarła! – Pawełek skrzywił usta. – Nie umieraj, babciu!

– Dobrze, już dobrze. Nie umrę.

– Mówiłaś, że umrzesz!

– Poproszę Boga, żeby zamiast mnie wziął inną babcię.

– Babcię Palucha? – Pawełek poczuł ulgę. – Niech tamta umrze.

A ty nie umieraj!

– Powiem: zabierz, Panie, babcię Paluchową, a babcię Pawełka ocal od śmierci.

– I Bóg się nie pomyli?

– Bóg się nie myli i może zrobić co tylko zechce.

Powszechnie wiadomo, że małe dzieci nie muszą myśleć o śmierci, mają na to jeszcze czas. A czas biegnie bardzo powoli – jak wskazówki zegara. Można patrzeć i patrzeć, a one ani drgną. Starsi mówią, że czas ucieka. Nieprawda. Może czasem, gdy nikt nie widzi, jedna wskazówka robi maleńki krok naprzód, ale potem zaraz sztywnieje, jakby ktoś ją skarcił.

– Za godzinę pójdziemy na spacer – powiedziała babcia i usiadła przed telewizorem.

W oczekiwaniu na przechadzkę Pawełek obserwował z okna samochodu i czołgał się po dywanie, kładąc ręce na czerwonych, a stopy na fioletowych kwiatach. Potem powąchał wszystkie pudełeczka z kosmetykami mamy, przeglądał się w lustrze i namalował własną podobiznę. Wszystko to zajęło mu raptem trzydzieści minut. „Jawne kpiny” – jak powiedziałby tata.

Po powrocie ze spaceru Pawełek zjadł obiad i na dwie godziny położył się w łóżku – „młody organizm potrzebuje snu”. Zwykle oznacza to dwugodzinne oglądanie sufitu, który, z racji swej leniwej bieli, nie jest wart nawet minuty uwagi. Po leżakowaniu chłopiec wypatrywał rodziców. Długo kazali na siebie czekać. Ale prawdziwą wiecznością było wyczekiwanie świąt, choinki i prezentów. Od ostatniego Bożego Narodzenia minęło chyba sto lat. A ile czasu upłynie, nim przyjdzie starość? Zresztą do tego momentu naukowcy wymyślą lek na śmierć i Pawełek nie umrze. Poza tym, bycie starym ma też swoje zalety. Można samemu włączyć komputer i przeglądać internet. Można też napić się zimnego soku, samemu zjechać windą i patrzeć w wizjer bez pomocy krzesła.

Jedna rzecz nie dawała Pawełkowi spokoju. Co będzie, gdy oczekiwanie na spokojną starość zostanie przerwane absurdalnym wypadkiem, który zakończy jego młode życie? To chyba niemożliwe. Przecież sam nie wychodził na ulicę, w pociągu był tylko raz, a samolot widział w telewizji.

Może wybuchnąć wojna. Babcia, na samo jej wspomnienie, głośno wdychała i składała ręce do modlitwy. Sąsiad Pawełka, rudy Wiktor, uspokajał: „Nie martw się, mamy czołgi, samoloty i terytorialsów. Nikt nam nie podskoczy”. A babcia dorzucała: „Biblia głosi, że Bóg zawsze obroni Polaków”.

Zupełnie inną rzeczą będzie koniec świata. Bóg wezwie do siebie wszystkich – także i Polaków. Sąd będzie straszny, bo Pawełek zdążył już trochę nagrzeszyć. Śmierć w mękach piekielnych przerażała go bardziej niż wizyta u dentysty. O apokalipsie często opowiada babcia Palucha. Czyni to szczegółowo i z rozmachem. Ma już dziewięćdziesiąt lat i nie jest babcią Palucha, ale prababcią. Jest chyba tak samo stara i mądra jak Bóg. Dniem i nocą czyta Pismo Święte.

– Bóg już zesłał na grzeszników potop, a teraz spali ich ogniem za grzechy – głosiła staruszka.

– Ale dzieci chyba nie skrzywdzi? – dopytywał się Pawełek.

– Wszyscy są grzeszni: i starzy i młodzi. Ci, którzy byli z Bogiem, trafiają do królestwa niebieskiego, resztę diabeł zawlecze do piekła.

– A co to takiego: piekło?

– To miejsce, w którym diabeł wrzuci cię do kotła i ugotuje. Będziesz wtedy krzyczeć: „przebac mi, Boże”. Ale pomoc nie nadejdzie.

Śmierć jest więc nieunikniona. Jedyna pociecha, że wraz z Pawełkiem Bóg zabierze też mamę, tatę i babcię, a nawet całą rodzinę Palucha. Wizja pobytu w rozgrzanym kotle jest bardzo przerażająca. Pawełek wie o tym doskonale. Do końca życia nie zapomni jak mocno poparzył się smażoną kielbaską, którą mama zostawiła na patelni. Przez następny tydzień nie czuł smaku potraw. Język był twardy i szorstki, a podniebienie pomarszczyło się jak bibuła. Gorące kielbaski nachodzą Pawełka nawet we śnie. Lecą z nieba, wpadają za kołnierz, wypełniają kieszenie, wciskają się do ust. Deszcz kielbasek szczelnie wypełnia powietrze – nie ma już miast, wiosek, domów, jest tylko ocean gorących wędlin. Ziemia zmienia się w rozżarzoną patelnię, na której smażą się przekłute kielbaski. Pawełek parzy sobie stopy i ręce, próbuje wyrwać się z matni, ale nie ma dokąd uciec. Więc się budzi.

Kolejny cios spadł na Pawełka podczas urodzin mamy. W odwiedzinach pojawili się najróżniejsi goście: bliska rodzina, dalecy krewni oraz osoby widywane raz w roku przy okazji pogrzebów. Dorośli usiedli wokół rozłożonego stołu – śmiali się i smucili. Pawełek zajął miejsce na samym rogu i grał w ptaszka. Zasady gry były bardzo proste: Pawełek czubkiem języka podnosił okruchy chleba z obrusa i poruszał głową jak dziobiący wróbelek. Zabawę wymyślił po karcącej uwadze babci:

– Nie krusz chleba, dziecko, to dar Boży. Kto nie szanuje okruszyn, będzie smażyć się w piekle.

Od tego dnia Pawełek zawsze zjadał wszystkie okruszki chleba. A teraz udawał ptaszka i przysłuchiwał się rozmowom dorosłych. Do jego czujnych uszu dobiegły słowa cioci Marysi:

– Słyszeliście, co wczoraj mówili w telewizji? Zostało nam dwa lata życia, nadchodzi koniec świata.

Język Pawełka zrobił się nagle tak suchy, że przestały do niego przywierać nawet najmniejsze okruszki. Tymczasem przy stole słychać było rozmowy o dziwnym kalendarzu i plemieniu Majów. Okazało się, że już od dawna znano dokładną datę zagłady. Teraz brutalną prawdę poznał także Pawełek.

Przez kilka następnych dni chłopiec ciągle myślał o śmierci. Skoro koniec jest nieunikniony, niech przynajmniej nie będzie bolesny. Ze wszystkich sposobów odbierania sobie życia, o jakich słyszał Pawełek, najlepszy wydał mu się strzał z pistoletu. W tej kwestii poradził się nawet taty:

– Czy postrzał z broni jest bardzo bolesny?

– Zależy, w co dostanie się kulkę. Jeśli w głowę lub serce – umierasz natychmiast, ale w brzuch czy wątrobę – bardzo cierpisz.

Pawełek nie był jednak głupcem, by postrzelić się w wątrobę.

– A gdzie można kupić broń?

– W tym kraju nigdzie. Mają ją tylko policjanci i żołnierze.

Pawełek przypomniał sobie, że ojciec rudego Wiktora jest policjantem. Podczas jednego ze spacerów, chłopiec postanowił porozmawiać z sąsiadem:

– Czy ma pan broń?

– Oczywiście. Policjant jest zawsze na służbie.

– A mógłby mi ją pan dać?

– Co ty, chłopcze, zwariowałeś?

Pawełek zdał sobie sprawę, że będzie musiał ujawnić swój sekret. Zerknął z niepokojem na zajętą rozmową z sąsiadką babcię, po czym wyszeptał:

– Nie chcę nikogo zabić. Chcę się zastrzelić.

– Ojciec cię bije? Ciebie albo matkę?

– Nie, nie. Nadchodzi koniec świata, a ja nie chcę trafić do kotła. Poparzenia bardzo bołą, a śmierć z pistoletu jest szybka i bezbolesna.

Policjant zmrużył oczy i jakoś dziwnie spojrzał na Pawełka:

– Broń mam zawsze przy sobie, o tu, pod kurtką, i nikt nie może się o tym dowiedzieć. Mogę ci ją pożyczyć, ale tylko w dniu końca świata. A teraz zmykaj do domu!

Po tej rozmowie Pawełek mógł wreszcie trochę odetchnąć, a nawet zacząć optymistycznie patrzeć w przyszłość. Teraz, spotykając sąsiada, patrzył znacząco na jego kurtkę i mrugał porozumiewawczo. Chłopiec prawie zupełnie przestał myśleć o końcu świata, bez strachu potrafił nawet zjeść kielbaskę. Spokojne życie trwało ledwie dwa miesiące. Zaprzyjaźniony policjant zginął na służbie, usiłując złapać groźnych bandytów. Podczas pogrzebu Pawełek próbował podejść do trumny, chcąc sprawdzić, czy pod marynarką nieszczęśnika nadal znajduje się broń. Niestety, babcia złapała chłopca za rękę i wyprowadziła z kościoła. Na cmentarzu Pawełek patrzył z irytacją, jak jego ostatnia nadzieja znika w głębokim dole.

Nie można powiedzieć, że Pawełek ciągle myślał o końcu świata. Kiedy bawił się zabawkami – nie myślał. Kiedy uczył kota chodzić na dwóch łapach – też nie myślał. Kiedy oglądał bajki – także nie. Bywały jednak chwile, kiedy umysł małego Pawełka ogarniał potworny strach. Strach przychodził, łapał go zębami i przez pewien czas mocno ścisnął za serce. A czasu do końca świata było przecież coraz mniej.

Teraz Pawełek został sam w domu. Rodzice poszli do pracy, a babcia do lekarza. Na ostry sygnał dzwonka chłopiec zabrał z kuchni taboret, przystawił do drzwi i uważnie spojrzał przez wizjer. Po drugiej stronie stał jakiś nieznany człowiek.

– Kim pan jest? – Pawełek zadał wyuczone pytanie.

– Jestem twoim sąsiadem, wynajmuję kawalerkę na parterze. Mam na imię Michał. Chcę, żebyś pomógł mi wypełnić ankietę.

– Dorosłych nie ma w domu, nie mogę rozmawiać z obcymi.

– Możemy ją wypełnić przez drzwi... To ankietka na temat papierosów.

– Mój tata nie pali, ja też nie palę.

Zza drzwi dobiegł głośny śmiech:

– Oczywiście, rozumiem. Ja też nie palę. Możemy udawać, że wspólnie wypełniliśmy ankietę. Więc... napiszemy, że masz

osiemnaście lat... Palisz pół paczki dziennie... Nie zmienisz marki w niedalekiej przyszłości... Ta-ak... Dym papierosa przypomina ci: poranny wiatr, gorący pocałunek, orzeźwiająca bryzę, odurzającą wolność... Cóż, to wszystko drobiazgi. I teraz najważniejsza rzecz. Powiedz mi swoje imię i nazwisko, ja dorzucę twój adres. Jeśli zadzwonią i zapytają o ankietę, niech twój tata powie, że u was byłem... Tylko niech nie mówi, że mieszkamy w tym samym bloku.

– Przecież to oszustwo – zaprotestował Pawełek.

– To tylko taka sztuczka... Dziś pomożesz mi, jutro ja pomogę tobie. Nie zapomnę o tych, którzy oddali mi przysługę. Chcesz, to przyjdź do mnie, mam konsolę i fajne gry... Pogramy razem.

Pawełek uwielbiał gry, dlatego od razu polubił pana Michała. Poza tym, zawsze miło jest komuś pomóc. Chłopiec zaczął właśnie podawać dane personalne ojca, kiedy nadeszła babcia.

– Aaa, to pan wynajmuje kawalerkę na dole? Niech pan pamięta, u nas wszyscy żyją spokojnie.

Pan Michał pożegnał się, a Pawełek opowiedział babci o ankiecie. Dwa dni później, za zgodą rodziców, chłopiec odwiedził nowego sąsiada. Pan Michał żył skromnie, w pokoju było tylko łóżko, krzesło i telewizor. Wszędzie stały popielniczki wypełnione niedopałkami papierosów.

– Siadaj na łóżku, zagramy. Mam też czekoladę, chcesz? Te niedopałki zostały jeszcze po poprzednim właścicielu... Nikt tu nie sprząta, miałem żonę, ale mnie zostawiła... Nie pozwoliła nawet ochrzcić dziecka, więc nasze drogi się rozeszły. Formalnie jestem teraz na bezrobociu, a za ankiety płacą niewiele... Zresztą, na nieochrzczone dziecko płacić nie będę, ja takiego nie uznaję. I Bóg też takich nie uznaje.

– Wierzy pan w Boga?

– Jasne!... A ty, chłopcze?

– Wierzę. Kto nie wierzy, ten idzie do piekła. Wkrótce nastąpi koniec świata, ale może mnie jakoś Bóg oszczędzi.

– A kto powiedział ci o Stwórcy? – Michał nachylił się i badawczo spojrział na chłopca.

– Babcia. Ona mówi, że Bóg jest najważniejszy.

- Bardzo kochasz Pana Boga?
- No, nie wiem, myślę, że Kocham.
- To ja jestem Bogiem.
- Pan?
- Jestem synem Bożym... Przybyłem na ziemię po raz drugi, bo za pierwszym razem zostałem ukrzyżowany. Na pewno widziałeś mnie na krzyżyku. Nosisz krzyżyk?
- Nie, ale babcia nosi. Jest na nim szczupły pan z brodą i długimi włosami – Pawełek wbił wzrok w tabliczkę czekolady, którą otrzymał od rozmówcy.
- Tak wyglądałem w pierwszym wcieleniu. Przyszedłem raz, nie uwierzyli, ukrzyżowali, splunęli mi w twarz, drwili i sztychali. Przybili mnie do krzyża... Wzięli za ramiona, za nogi, położyli na krzyżu i wbili we mnie gwoździe. Musiałem cierpieć, aby trafić do nieba. Dlatego wszystko znośłem. Potem czekałem dwa tysiące lat, żeby tu wrócić.
- Gwoździe? Kto to panu zrobił?
- Żydzi!... Zawsze mnie nienawidzili. Oni wszystkich nienawidzą, wszystkim życzą źle! Zabili mnie, a mimo to rządzą światem... Spiskują! Tylko Hitler był wobec nich sprawiedliwy!
- Niech się pan nade mną ulituje – wyszeptał Pawełek – i... i odwoła koniec świata.
- Oszalałeś? Końca świata nie można anulować! Kiedy nadejdzie kres ziemskiego życia, przybiorę swoją prawdziwą postać i wstąpię do domu Ojca. Teraz cierpię, jestem głodny, zmarznięty, wszyscy mnie nienawidzą. Wokół sami sodomici, grzesznicy i ateści. Ale wkrótce spadnie na nich siarka – na samą myśl o zagładzie Michał radośnie zachichotał. – A ty się nie bój, nie wszystkich spotka kara. Kto mi pomógł, tego ocalę... Nie przypadkiem mam na imię Michał – to znaczy: »któż jak Bóg«... Jestem równy Bogu, to ja zwyciężyłem szatana! A Ty będziesz moim prorokiem!
- Pawełek wrócił do domu z poczuciem radości i dumy. Tajemnica, którą poznał, wypełniała jego umysł, pozwalała niemalże unosić się nad ziemią. Chłopiec czuł, jakby wyrosły mu anielskie skrzydła, dzięki którym mógł z nieba spoglądać na wszystkich miesz-

kańców miasta. Biedni śmiertelnicy nawet nie przypuszczali, co ich czeka. Tylko on, mały chłopiec, rozumiał, że nadchodzi koniec świata. Ale był gotowy: on, jego rodzice i babcia staną obok Stwórcy pod ogromnym, niewidzialnym parasolem. Żadna smażona kiełbaska nie spadnie im na głowę. Nawet stara Paluchowa będzie zazdrosna... Może poprosić pana Michała, aby ocalił Paluchów? Najpierw trzeba się jednak dowiedzieć, czy nie są Żydami albo tymi, no... sodomitami.

Pawełek nie zdążył jeszcze porozmawiać z Wiktorem Paluchem, kiedy do drzwi jego mieszkania zapukał Michał. Mężczyzna był bardzo pobudzony, w rękach ścisnął sfatygowaną torbę.

– Jesteś sam w domu? To dobrze... Chodź ze mną na spacer.

– Oczywiście.

Wkrótce obaj byli już na zewnątrz. Michał ruszył w stronę długiego rzędu niskich garaży. Pogoda była wyjątkowo ponura, lodowaty wiatr gonił po niebie ołowiane chmury. Mimo chłodu, Michał ciągle przecierał chusteczką spoconą twarz. Jego drążące dłonie zaciskały się wokół zawiniątka, które niósł pod pachą.

– Dziś miałem objawienie... Drugi raz w życiu – głos Michała wydobywał się ze ściśniętego gardła.

– Był u pana anioł?

– Nie, nie anioł. Dziś odbyłem rozmowę z moim niebiańskim ojcem. Nie widziałem go, ale wyraźnie słyszałem jego głos.

– I co powiedział?

– Że, zanim powoła mnie do siebie, muszę przejść próbę...

– Jaką próbę? – dopytywał się Pawełek.

– Próbę Abrahama... Nie bój się. Będzie tak jak w Biblii. Abraham podniósł nóż na swego syna, ale w ostatniej chwili pojawił się anioł, który zapobiegł tragedii. My przejdziemy test duchowy, test wiary... Ja, ty i mój ojciec... Podniosę nóż, ale wtedy i nam objawi się boski posłaniec. Po prostu musimy zdać test, rozumiesz? Pawełek wprawdzie nie rozumiał żadnego słowa, ale czuł się bardzo bezpiecznie. Zaraz za garażami znajdowała się betonowa płyta. Michał rozejrzał się badawczo i położył na niej chłopca. Pawe-

łek milcząco patrzył w ciemne, brudne niebo. W tym czasie towarzysz wsunął mu pod kark cegłę.

– Muszę widzieć twoje gardło... Wygodnie ci?... Nie? Bądź cierpliwym...

Michał rozwinął zawiniątko i wziął do ręki długi, kuchenny nóż.

– Czy Bóg zobaczy nas przez te chmury? – Pawełek zaczął się martwić.

– Nie bój się, Bóg widzi cię wszędzie, nawet pod kocem.

Michał uklęknął obok chłopca, podniósł ostrze i zapytał:

– Jesteś gotowy?

– Tak, gotowy.

– Najpierw trochę poprobuję – mężczyzna kilka razy powoli unosił i opuszczał nóż. – Nie boisz się?

– Nie, nie boję się.

– Zamknij oczy. Na trzy. I raz!... I dwa!... I trzy!...

Gdy Michał odliczał, Pawełek poczuł nieprzyjemny ucisk na gardle, a potem lekki podmuch powietrza. Pomyślał, że to zapewne skrzydła anioła, który przybył złapać opiekuna za rękę. Potem poczuł coś zimnego i kłującego, ale nie miał już czasu, żeby pomyśleć, co to takiego. Później nie czuł już nic i o niczym nie rozmyślał.

Zaczął padać deszcz chłostający ziemię długimi, zimnymi strugami. Woda zbierała resztki ciepła i brudu, niosła je daleko od ludzkiej radości. Rozpryskujące kałuże wyglądały jak patelnie z wrzącym olejem.

Nagle przestało padać. Niebo zajaśniało błękitem i jasna tęcza wyrosła nad horyzontem. Szary gołąb poderwał się z dachu, trzymając w dziobie małą zieloną gałązkę.

Jagoda Sałdyka (Lily), kl. 2
Liceum Ogólnokształcące w Tarnobrzegu
Siostry

Sama nie wiem od czego zacząć. To wszystko jest chaotyczne i nie-poukładane...

Ok, może zacznę od „Cześć...” Nie to głupie, ale czy jest coś lepszego? No dobra...

Hej, mam na imię Nema. Jestem przeciętną osobą, mam proste, średnio długie włosy w kolorze ciemnego blondu i kobaltowe oczy. Moja siostra mówi, że idealnie pasują do mojego charakteru, intensywnie granatowe jak ponure i ciemne zakamarki błękitnego oceanu. A właśnie, mam też siostrę bliźniaczkę Nomi. Na pierwszy rzut oka jesteśmy takie same, jednak Nomi ma oczy w kolorze topazu, intensywnie błękitne i zawsze roześmiane.

Jej włosy też są nieco jaśniejsze niż moje, falują się delikatnie na końcach, moje są proste jak druty.

Nomi zawsze była tą bardziej otwartą, towarzyską, zawsze miała mnóstwo przyjaciół i była w centrum zainteresowania. Ludzie po prostu do niej lgnęli.

Ja byłam bardziej wycofana, nie miałam wielu przyjaciół, w zasadzie miałam tylko jednego – ją. Zawsze siedziałam gdzieś w kącie z książką i marzyłam o światach elfów, wampirów, wilkołaków, faunów i innych „magicznych stworzeń”. Jediną osobą, która odrywała mnie od pięknych, innych światów była ona – Nomi.

Jak na bliźniaczki zawsze byłyśmy razem, Nomi nigdy mi nie dokuczała, zresztą tak jak ja jej. Nie umiałyśmy istnieć bez siebie, niestety do czasu...

Na pewno pamiętacie z dzieciństwa te wszystkie bajki o złych i dobrych wróżkach, czarodziejach, królach, etc., które ze sobą walczyły. Dobro zawsze zwyciężało i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Ale co z tą złą częścią historii, co się z nimi stało? Nikt nigdy o to nie pyta. Nikt nie zastanawia się, co się z nimi dzieje. Przecież byli i źli prawda? Ale czy źli chcą tacy być?

Otóż, ja jestem tą złą, czarnym charakterem tej historii. Zapytacie, jak to się stało?

Gdy wraz z moją siostrą skończyłyśmy 13 lat ujawniły się u nas dary. Zgodnie z naszym „przeznaczeniem” (naprawdę uważam, że coś takiego nie istnieje) Nomi otrzymała dobry dar – dar światła, a ja ten zły – dar mroku. Moja siostra miała wkrótce stanąć po stronie „obrońców ludzkości” – aniołów. Ja miałam stać się jej wrogiem i stanąć po stronie demonów.

Tak, anioły i demony, wiem jak to brzmi. Pomyślicie teraz, że to co mówię, to jakiś irracjonalny bełkot. Otóż nie, to prawda, najprawdziwsza prawda. Trzeba jednak zaznaczyć, że ani ja, ani Nomi nie byłyśmy „czystej krwi”, jak się później okazało nasi rodzice byli tak naprawdę mieszańcami, połączeniem człowieka i demona oraz człowieka i anioła. Dziećmi z zakazanego związku śmiertelnika i stworzenia, jak by nie patrzeć, boskiego.

Jeśli się zastanawiacie to tak, nasi rodzice znali swoje pochodzenie. Znali również przepowiednie, że ze związku człowieka i istoty wyższej (na przykład demona) narodzą się dzieci, które będą miały ogromny wpływ na wojnę u schyłku dziejów. Miło, że nie powiedzieli nam o tym przed swoim tajemniczym zniknięciem, czyż nie?

W ten sposób ja stałam się demonem pół-krwi, a moja siostra Nomi pół-anielicą. Lecz czy ci dobrzy są zawsze dobrzy, a ci źli zawsze źli?

Ja nie chciałam być złą, nie prosiłam się o to. Przez ostatnie cztery lata nigdy się z tym nie pogodziłam. Nienawidziłam mojego daru, przysparzał mi samych problemów. Gdziekolwiek się nie pojawiałam przynosiłam tylko smutek i zgorzkniałość. Z biegiem czasu jeszcze to narastało. Jednym przypadkowym „złym” spojrzeniem byłam w stanie sprowadzić na ludzi nieszczęście.

Nomi było łatwiej, zawsze była dobra i uśmiechnięta. Naturalne dla niej było, że jednym swoim uśmiechem roznosiła atmosferę miłości i pokoju. Czyniła dobro i obdarowywała nimi ludzi w swoim otoczeniu, przy okazji pomagając nieszczęsnym ofiarom mojego daru.

Rozdzielono nas kilka tygodni temu. Oddzielili mnie od mojej ostoji, mojego pocieszenia. Ja nie byłam i nie jestem zła! Dlaczego nikt nie zapytał mnie o zdanie. Nie zapytał, jak będę się z tym czuła, czy... czy moja psychika to wytrzyma. Nikt nawet nie pomyślał, jak bardzo zniszczy mi tym resztę, i tak już beznadziejnego życia. Staralam się z tym pogodzić, naprawdę, ale nie umiałam, nie potrafiłam tego zrobić. Nomi zawsze mnie wspierała i zawsze była przy mnie w tych najtrudniejszych momentach.

Teraz nawet ona nie może mnie wesprzeć. Zabrano mi ją, moją siostrę, moją jedyną i najlepszą przyjaciółkę.

Brutalnie uświadomiono mi, że nigdy już jej nie odzyskam. Wyciągnięto mnie za fraki i kazano ćwiczyć do „wielkiej wojny” między aniołami a demonami. Dokładano mi coraz więcej treningów. Skupiono się nie tylko na mojej tężyznie fizycznej, pilnowano też, abym rozwijała mój dar i uczyła się siał zniszczenie i chaos. Oprócz tego poddawano mnie swoistemu praniu mózgu. Usilnie próbowano wypłenić ze mnie wszystkie dobre odruchy i przede wszystkim miłość do mojej siostry. Ale nigdy o niej nie zapomniałam i cały czas łudziłam się, że jeszcze wszystko może być dobrze i możemy żyć tak jak przed czterema laty...

Teraz stoję na szczycie wielkiej wieży, dokoła rozgorzała na dobre wojna, zbierając swoje żniwo. I my, dwie siostry, po dwóch stronach barykady z darami, które mogą dać jednej ze stron zwycięstwo, wybijając drugą w pień.

Ja trzymam w ręku czarnego glocka i celuję w Nomi, w moją ukochaną siostrzyczkę. To ją kazano mi zabić, to ona jest głównym celem mojej misji. Ona otrzymała to samo zadanie. Ma zabić mnie, a ja ją, i obie dobrze o tym wiemy. Nie wyciąga jednak broni. Odrzuciła ją gdzieś w bok. Pogodziła się ze swoim losem. Ma ręce uniesione w geście poddania się i patrzy na mnie swoimi wielkimi błękitnymi oczami, mimo iż wie, że za chwilę może stracić życie. Czemu nie walczy? Patrzy na mnie tymi samymi oczami, którymi patrzyła na mnie w dzieciństwie, pełnymi miłości, ciepła i... rozpaczy? Dlaczego akurat ja muszę to zrobić?! Jedno pociągnięcie

spustu zabierze mi ją już na zawsze. Dlaczego „wygram”, skoro wyrządziłam tyle złego. Zrobiłam to wszystko przez mój dar. No właśnie, mój dar. To nie ja, tylko on. Ja nie jestem zła i mogę nad nim panować... Chyba...

Pociągnęła za spust. Po jej twarzy spłynęła krew. Upadła na kolana, wpatrując się we mnie swoimi kobaltowymi oczami z resztkami życia. Podbiegłam do niej, a ona upadła mi w ramiona. Dobro wygrało... Ale za jaką cenę?! Moja Nema... moja siostra... moja siostrzyczka... Dlaczego właśnie ona!!!

Uniosłam ręce lepkie od krwi. Gęste łyzy, jak deszcz kapiące z mojej twarzy zaczęły mieszać się z JEJ krwią. Przecierając twarz, cała się nią ubrudziłam. Wokół ciała kochanej Nemy powstała coraz większa kałuża czerwonej mazi. Wtuliłam się w nią, wtuliłam się w jej ciało. Leżałam tak, czując jak minuta po minucie, sekunda po sekundzie jej ciało stygnie, a krew krzepnie w jej żyłach.

Jan Skoumal (Mistrz Bogumił), kl. 2
Zespół Szkół w Głubczycach
Serce ludwisarza

– *Regina Caeli, laetare, alleluia, quia quem meruisti portare, alleluia...*

Para wzlatywała z ust ludzi, kłębiła się pośród zalanych woskiem kandelabrow i zostawiała mleczne ślady na witrażach. Ludzie stali, wspierali się o kolumny i trzęśli się w bocznych nawach, powtarzając za śpiewnymi głosami celebransa i kleryków.

– *Dominus vobiscum.*

– *Et cum spiritu tuo...*

Dzwon na wieży katedralnej zaczął bić. Wszyscy pochylili głowy, wsłuchując się w głuche uderzenia. Wraz z siódmym, po świątyni poniósł się żalosny trzask i huk spiżu o drewno. Zaraz za nim następny, kolejny i jeszcze jeden, każdy coraz głośniejszy. Oblega-

jący schody do dzwonnicy zebracy rozbiegli się, traturząc innych. Podniósł się jęk, ktoś krzyknął.

Po schodach stoczyło się pęknięte serce dzwonu.

Mróz malował pejzaże na mętnych szybach i wdzierał się przez szpary do wnętrza pracowni. Stojący w kącie piecyk z trudem radził sobie z chłodem, owijającym się wokół stóp siedzącego na krześle mężczyzny. Ten poprawił poły szaty i odchrząknął.

– Wśród ludzi jest pan znany jako najlepszy w swoim fachu, mistrzu Bogumile – zaczął w końcu diakon Prokop. – Dlatego właśnie wielbny biskup Baldwin, wraz z całą kapitułą naszej katedry, zwracają się do mistrza z prośbą... Zapewne wie mistrz, co stało się z naszym dzwonem?

Większość pomieszczenia zajmował ogromny piec. Grube, stalowe ściany wyrastały ponad dołem formierskim i sięgały stropu. Rozżarzony piecyk wyglądał przy nim niczym Dawid, spoglądający z dołu na Goliata, wyjątkowo obojętnego na świat poza stalowymi murami. Oddzielało ich od siebie wąskie łóżko, cudem wcisnięte w jedyne wolne miejsce.

– Słyszałem, słyszałem – odparł mistrz Bogumił, grzejący stopy przy piecu. – Brzęk pękającego serca wybudził mnie ze snu.

– Wielbny biskup pragnie zlecić mistrzowi wytopienie nowego serca. Pragnie, aby dzwon zabrzmiał znowu na mszy w Niedzielę Przewodnią. Zapłata, naturalnie, będzie godna najlepszego wśród ludwisarzy.

Starzec, wpatrzony w ogień skaczące w piecyku, nie podniósł wzroku.

– Przekaż biskupowi – powiedział po chwili, gdy diakon już otwierał usta – aby w wigilię tego dnia przysłał ludzi po serce.

Rozmowa była skończona. Diakon wstał i uklonił się rzemieślnikowi. Ten odpowiedział niemrawym skinieniem głowy. Ksiądz zawinął się w płaszcz i wyszedł na mróz.

– Bliski jest Pan tym, których serce jest złamane – mruknął starzec. – A wybawia utrapionych na duchu...

Czeladnik o mało nie zgubił czapki, gdy wraz ze śnieżycą wpadł do składu.

– Mistrz Bogumił! – wypalił teatralnym szeptem. – Mistrz Bogumił idzie!

Kupiec Aaron poprawił rozburzone włosy i starł z blatu niewidzialną warstewkę kurzu. Wydmuchał pośpiesznie nos, po czym stanął niemal na baczność. Ludwisarz wszedł do pomieszczenia, z pomocą czeladnika walcząc ze stopniami.

– Pomaga Bóg, mistrzu Bogumile – kupiec skłonił się i ucałował rękę starca. – Jak zdrowie? Trzeci rok mija, odkąd ostatni raz gościłem mistrza, ale widzę że dopisuje! Cóż sprowadza tak przezaconego rzemieślnika w moje progi?

– Czołem, Aaronie – rzekł starzec, siadając na krześle. – Brąz. Potrzebuję brązu na serce.

– Na serce... – zamyślił się meches. – Ach, rozumiem. Mam coś idealnego. Lepszego metalu nie znajdzie mistrz na całej Via Regia, zapewniam!

– Nie mam zbyt wiele... – rzekł ludwisarz, wyjmując lekką sakiewkę. – Naprawdę, wystarczy zwykły...

– Ależ niech mistrz nawet tak nie mówi! – przerwał mu kupiec.

– Wszystko na mój koszt! To dla mnie najczystsza przyjemność.

Wbrew protestom rzemieślnika, już po chwili na drewnianej kolasce przed składem wylądował spory pakunek. Mimo próśb i nalegań kupca, starzec odprawił czeladnika i sam chwycił za dyszel. Sapiąc, pociągnął wózek przez śnieg, znikając po chwili za węglem.

– Zawsze wszystko robi sam – pokręcił głową Aaron. – Nigdy nie brał pomocników. To niezdrowe w tym wieku.

– Mówią, że sprzedał duszę diabłu – rzekł czeladnik, spluwając. – Pono kto słyszał, jak przy wytapianiu dzwonów mruczy coś i szepota zaklęcia...

Kupiec trzepnął chłopaka w głowę, zrzucając przy tym czapkę.

Żar rozsadzał pracownię. Piecyk kulił się w kącie i z przerażeniem spoglądał na rozbudzonego, buchającego ogniem Goliata. Płomienista czerwień oblewała strop, ściany i stojącą przed piecem ludwisarskim postać. Mistrz Bogumił drżącymi dłońmi wznosił młot nad głowę i jednym uderzeniem zniszczył gliniany czop.

– Serce moje stało się jak воск – recytował psalm rzemieślnik. – Roztopiło się we wnętrzu moim.

Stopiony brąz pomknął rynną i wpadł w formę. Wszystko wokół zadrgało, zniekształcone przez gorąco, teraz na dodatek buchające z formy w kształcie serca dzwonu. Starzec dyszał, wsparty na młocie. Miał zamknięte oczy. Odmierzał czas, modląc się cicho.

Gdy dotarł do Amen, nadal nie otwierając oczu postąpił krok do przodu i zaczął wylot.

– Tygiel wytapia srebro, a piec złoto – szeptał dalej; otworzywszy oczy patrzył, jak ostatnie krople wypełniają formę. – Lecz Pan bada serca...

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Glina pękła, reszta stopu wylała się, pomknęła rynną i przelała formę. Brąz chlupnął o drewnianą podłogę, która momentalnie zajęła się płomieniami. Języki ognia powędrowały do łóżka, oplotły je i poczęły wspinać się po ścianie. Piec buchnął żarem i iskrami.

Mistrz Bogumił, dusząc się gorącym powietrzem, znów się modlił. Gdy skończył, brąz skrzepł do końca. Zarzucił na ramię płaszcz wzięty z krzesła i rozwarł formę. Chwycił kraniec serca przez rękaw, uniósł go z ogromnym trudem i położył sobie na ramieniu. Pociągnął, wieszając na nim cały swój ciężar. Kula wysunęła się z formy i huknęła o ziemię.

Starzec, dysząc ciężko i powstrzymując uginające się nogi, ruszył do drzwi.

– Gore! Gore!!!

Drzwi płonącej pracowni rozwarły się wraz z hukiem padającego stropu. Stary ludwisarz wytoczył się z wnętrza, nie wypuszczając serca. Okryty dymem z płonących onucy i płaszcza przeszedł kilka kroków, topiąc śnieg wokół. Padł na kolana i upuścił swoje dzieło.

– Gotowe jest serce moje, Boże – wyszeptał ostatni werset, utkwivszy niewidzące spojrzenie w odległej wieży katedralnej. – Gotowe jest serce moje. Będę śpiewał i grał...

Upadł w śnieg, tuląc swoje serce.

– Resurrexit, sicut dixit, alleluia, ora pro nobis Deum, alleluia!

Kupiec Aaron wyśpiewał ostatnie słowa trzęsąc się z zimna. Klerycy z diakonem Prokopem pochylili głowy i złożyli ręce. Skostniałe dłonie zebranych poczyniły znak krzyża, chyląc czoła przed błogosławiącym ich biskupem Baldwinem.

– Ite, missa est.

Huk dzwonu wstrząsnął kandelabrami. Biskup, klerycy i wierni unieśli głowy.

Serce ludwisarza biło nad miastem.

Przodkowie

Komentarz

Piszę ten komentarz, bo się boję. Można powiedzieć, że przeraża mnie wizja autonomiczności mojej pracy (opowiadania pisał Gombrowicz). Tego, że to wszystko zajdzie za daleko, albo za blisko. I albo ona będzie rozumiana na poziomie symbolicznym, albo dosłownym. Chcę narzucić swoją interpretację.

Zacznę od sfery językowej. Czytelnik zapewne zauważył swobodę wypowiedzi, to jak prowadzona jest akcja i to jak się wypowiadam. Język jest swobodny, prostacki, potoczny. Jest to jednak mój język i pragnę zaznaczyć, że decyzja o takim, a nie innym sposobie pisania, zrodziła się nie w wyniku jakichś fantazji, ale pod wpływem „Dzienników” Witolda Gombrowicza. Tam czytamy: „Wszak sztuka dzieje się między żywymi, konkretnymi ludźmi – a więc niedoskonałymi. Roi się dziś od stylów, które nudzą – które męczą – które wyciągają flaki – ponieważ są tworem intelektualnej recepty, dziełem ludzi nietowarzystkich i po prostu źle wychowanych. Celować słowem w ludzi a nie w teorię, w ludzi a nie w sztukę. Mój język w tym dzienniku jest zanadto poprawny – w utworach artystycznych jestem swobodniejszy”. Starłem się więc wypracować własny styl. Pisać pod dyktando chwili, emocji, a jednak nie tracić panowania nad pracą. Co prawda, próbowałem pisać poprawnie, kwieście, ale odczuwałem w tamtych słowach jakąś dziką nieszczerłość. Idea gubiła się w porządku słów. Tak, w porządku! Stąd mój własny styl – emocjonalny, podatny na ulotność chwili. Zdaję sobie oczywiście sprawę z jego niedoskonałości. Gombrowicz był mistrzem słowa, ja jestem jedynie marnym, prostym licealistą, który próbuje go naśladować.

Pragnę teraz przejść do sfery ideowej, a mianowicie do tego jaka myśl, idea przyświeca mojemu „opowiadaniu”. Jak już zapewne czytelnik się domyślił, odwołuję się w nim do filozofii dwudziestolecia międzywojennego, a konkretnie do jednego z haseł egzystencjalistów – „Istnie-

nie poprzedza istotę”. Zdawać by się mogło, że stało się ono niemalże paradygmatem. Jednak wraz z upływem czasu powstaje coraz więcej pytań. Między innymi dotyczących istoty człowieka. Czy jest w ogóle coś takiego? Moim zdaniem, tak. Istnieje pierwotna natura ludzka. Moje przekonania nie są jednak bezpodstawne. Determinizm w postępowaniu, dokonywaniu wyborów może być zakodowany przez geny. Genetyka behawioralna bada właśnie takie zależności – zachowania a genów. Jak czytamy w artykule Włodzimierza Oniszczenki: „Na początku tego wieku Turkheimer (2000) sformułował trzy, a potem Chabris i in. (2015) dodali czwarte nieformalne prawo genetyki zachowania oparte o podsumowanie wyników dotychczasowych jej badań. Zgodnie z tymi prawami, wszystkie zachowania człowieka są odziedziczalne, czyli czynniki genetyczne mają na nie wpływ. Po drugie, obserwowalny wpływ czynników wewnątrzrodzinnych (tzw. wspólnego środowiska) na zachowanie jest mniejszy niż wpływ genów. Po trzecie, znacząca część zmienności zachowania wynika nie z wpływu genów czy wspólnego środowiska, ale indywidualnych doświadczeń środowiskowych każdego człowieka (niepowtarzalnej historii jego życia), a jak ostatnio się wskazuje – również z przyczyn epigenetycznych. I wreszcie czwarte prawo, że zachowanie uwarunkowane jest przez wiele wariantów genów, z których każdy wyjaśnia niewielką część zmienności zachowania”. Wniosek nasuwa się sam – działania są w pewnym stopniu zdeterminowane. I człowiek nie rodzi się jako tabula rasa, ale są w nim pewne elementy, które determinują przyszłe zachowywanie się jednostki. Ta sama sytuacja tyczy się percepcji. A mianowicie tego, jak odbieramy rzeczywistość. Czy jest ten obraz w pewien sposób zakrzywiony? Według mnie, tak. Chciałbym podać kilka przykładów, które potwierdzałyby moje stanowisko. Pierwszym z nich jest problem percepcji dźwięków. Każdy, kto oglądał jakiś horror zwrócił zapewne uwagę na znaczenie ścieżki dźwiękowej w budowaniu „straszności” filmu. Im dźwięki wyższe i głośniejsze, tym większe zaniepokojenie odbiorcy. Dlaczego się niepokojmy? Psychologia daje odpowiedź – bo mózg jest tak zbudowany, że odgłosy te odbiera jako płacz dziecka. Powoduje to zaniepokojenie, gdyż my podświadomie boimy się o młodsze potomstwo. Boimy się faktu, że jest ono zagrożone. Sam dźwięk

nie jest bowiem powodem do strachu! Kolejny przykład dotyczył będzie percepcji zapachu. Niektóre zapachy kojarzą się nam dobrze, nawet jeśli są brzydkie. Niektóre, pomimo iż są uznawane powszechnie za „ładne”, mogą wzbudzać w nas niepokój. Dlaczego? Mogą być dwa powody. Albo podczas naszego rozwoju tak je zakodowaliśmy, że jedne są brzydkie, a inne ładne, albo ma na to wpływ, a jakżeby, genetyka. Najnowsze badania dowodzą, że nie dziedziczymy jedynie cech wyglądu, ale również lęki. Jak czytamy w artykule Doroty Romanowskiej „Lęk dziedziczony po przodkach”: „(prof. Ressler) przystąpił do eksperymentów na myszach. Szybko udało mu się potwierdzić, że emocje – przynajmniej te negatywne – mogą odbijać się na życiu następnych pokoleń. Jak do tego doszedł? Najpierw rozpytał gryzoniom zapach kwiatu wiśni, który im się podoba, a potem potraktował je lekkimi elektrowstrząsami. Po kilku takich seansach zwierzęta kojarzyły zapach kwiatu wiśni z przykrym odczuciem i gdy tylko znów go poczuły, stawały się zaleknione. Zachowywały się nerwowo, choć potem już nikt nie drażnił ich prądem. Tak odmienione myszy zaczęły się rozmnażać. Wkrótce na świat przyszły młode i ku zdziwieniu uczonych – podobnie jak ich rodzice – bały się zapachu wiśni. Wystarczyło, że go wyczuły, by stawały się zaleknione i wyraźnie szukały drogi ucieczki. Skąd to nietypowe dla myszy zachowanie? Przecież nikt nie poddał ich elektrowstrząsom, nie miały też żadnego kontaktu z rodzicami. Co więcej, myszy z następnego pokolenia również były zaleknione, gdy tylko wyczuły w powietrzu zapach wiśni. Odpowiedź mogła być tylko jedna: wiadomość o tym, że należy unikać tego aromatu, otrzymały w spadku po rodzicach i dziadkach”.

Przykładów jest wiele. Wypisałem jednak te najciekawsze. Oczywiście, jestem tylko człowiekiem i mogę się mylić. Nie zmienia to jednak faktu, że te wszystkie badania i obserwacje są niezwykle ciekawe. Pozwolę sobie na jeszcze jedno małe słówko. Przeczytawszy moją pracę można odczuć pewną tendencyjność, dążenie w jednym kierunku. Nie chciałbym, żeby ktoś ją w ten sposób odczytał. Niech będzie jedną z wielu prac, które budują (odkrywają) prawdziwy obraz świata. Niech będzie małym słówkiem w morzu słów, idei i poglądów. Niech nie ogranicza, niech nie będzie drogą, ale jej dopełnieniem.

Opowiem inną historię dziwniejszą...

Szedłem na spotkanie do kolegi, którego dawno nie widziałem, a i on mnie. Ech, Edmek – ryża morda wyblakła, blond. Zawsze spokojny, poukładany, pilnie studiował, chociaż zdarzało mu się zboczyć i zamiast zgłębiać prawo rzymskie, sięgał po Sartre'a. Lubił się wymądrzać. Często mówił o literaturze, że ten to to napisał, tamten tamto, a inny to powiedział o tym do tamtego, a Gombrowicz, a Sartre, a Heidegger, a och, a ach... I godzina przynajmniej minęła, zanim on o swych bohaterach i mentorach opowiedział. Zdawać by się mogło, że na profesora aspiruje albo innego dygnitarza, co dumny gości ważnych gości i dumą ich napęnia. Jednak w głębi duszy widziałem, że on podobny do mnie prosty facet, który do mądrych mądrze mówi, a do głupich głupio. Takich ludzi cenię, co uszanować innego potrafią.

Przedzierałem się więc przez śniegi południowych Kielc, żeby spotkać go i o tym, a o tamtym pogadać. Pogoda nie sprzyjała. Teren również. A to na kamień ostry stanąłem, co skryty w białym puchu czyhał na moje życie i zdrowie, a to śniegu trochę do buta wpadło, a to czapka uwierała i gryzła, a to to, a to tamto... Cała natura zdawała się jednoczyć, aby mnie dopiec i do furii doprowadzić.

Dotarłem wreszcie pod furtkę dawnego adresu. Tam dom wielki, dwupiętrowy, żółty, z przodu garaż, z tyłu schody. Wszystko miało swoje miejsce, przez lata już ustalone i ciągle niezmiennie.

Wchodzę po schodkach, pukam. Drzwi otwiera starsza kobieta – siwa, grubawa.

– O, Adrian przyjechał – powiedziała z radością na ustach – wchodź, wchodź.

Pani Stasia – zawsze przyjazna, ułożona, pobożna. W szczególności umiłowała herbatniki i picie herbatki z rana (bez cytryny). Z gorliwością, w okresie letnim, pielęgnowała grządki, kwiatki – a to róże czerwone, a to białe cyklameny, a to irysy żółte... Co wpadło w jej ręce, pielęgnowała.

– Kogo moje oczy widzą, Adrian! – wychyliwszy się z kuchni, powiedział starszy mężczyzna.

Był to pan Henryk – mąż pani Stasi. Okularnik, dobrze zbudowany, tęgi i jak na swój wiek, silny. Podobnie do syna – prostolinijny, chociaż oczytany, zadbany, i w ogóle idealny.

– Edmek! – zawołał ojciec.

Cisza.

– Edmek!

Cisza.

Wołając swoje dziecko, powoli do mnie podchodził krokiem ociężałym, jak na mężczyznę przystało. I z uśmiechem na twarzy rękę mi podał, a ja jemu. On z siłą i ja z siłą. Czuć było, że chłop ze stali, bo jak ścisnął moją dłoń, to o mało twarzy z bólu nie wykrzywiłem. Oczywiście, ja dłużnym być, nie byłem i również mocno dłonią swoją dłoń jego ścisnąłem. Ale ściśnięcie jego okazało się mocniejszym niż moje i w ten sposób, poprzez słabość, podrzędnym się stałem wobec niego.

– To chodź, zaprowadzę cię do jego pokoju – zaproponował i ciągnął dalej – jak tam studia?

– A dobrze, dobrze. Podziękować.

– A brat?

– A dobrze, dobrze. Podziękować.

– A matka?

– A dobrze, dobrze. Podziękować.

– A ojciec?

– A dobrze, dobrze. Podziękować.

– A pies?

– A dobrze, dobrze. Podziękować

– A to dobrze.

– No tak.

Pokój Edmusa nie był wielki. Mała klitka, ale zadbana. Po prawej stronie od wejścia znajdowało się okno wielkie (w białej framudze), pod nim łóżko jednoosobowe. Po lewej dumnie stał drewniany sekretarzyk, a w głębi pokoju wielka, mahoniowa szafa dwudrzwiowa. Wszystko było brązowe, stonowane, wprowadzało

w zadumę, uspokajało, a spokojem swym duszę nastrajało ku harmonii.

– Gdzie ten Edmuś? – głośno zastanawiał się ojciec – Edmuś!

– Edmek!

– Edmuś!

– Edmek!

– No nic – powiedział – musiał gdzieś wyjść, albo na strychu siedzi.

– Na strychu? – spytałem zdziwiony.

– Tak, na strychu. Ostatnimi czasy długo tam przesiaduje.

– To może pójde go poszukać, na tym strychu...

Okropny pisk przerwał moją sugestię. Pisk ciągły, nachalny i nieustający. Był tylko pisk przez pisk, o pisku. Coś piszczało i piszczało. Coraz głośniej piszczało. I piszczało. I pisk. I piszczenie. I pisk. I piszczenie nieustające. Tak cały czas, bez przerwy. A pisk ten duszą na wskroś przeszywał i wprawiał ciało w dziwne rozdygotanie. Byliśmy przez niego, ja i pan Henryk, jakby nie sobą. Nie dość on i ja. Niby odstawieni od ciał, które wolność zyskały i naprzód pognąły. Galopem! A biegliśmy, a pędziliśmy do źródła hałasu. A pisk nie ustawał i niczym nóż wykuty przez Boga, oddzielał nas od ciał. Byliśmy już poza sobą.

– Co to tak?! – krzyczał pytając pan Henryk.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Jakby dziecko!

– Może, nie wiem!

Wpadliśmy wreszcie do pokoju, z którego ten okropny pisk się wydobywał.

Ech, jakie zdziwienie nas ogarnęło, kiedy zobaczyliśmy panią Stasię gmerającą przy telewizorze. I nic poza nią... Żadnego dziecka skrzywdzonego... Nic... Pustka... Tylko pisk ten nieznośny...

– Stasiu, co tu się stało? – spytał zdziwiony i z lekka podenerwowany pan Henryk.

– No nie wiem. Tutaj coś przy tym... jakoś... tak jakby to... ale nie ja... to samo się... – tłumaczyła zakłopotana starsza pani.

– Daj.

– Masz.

Pan Henryk, wziął pilota, coś włączył, coś przełączył, poprzeklinał i naprawił.

– Masz, matka – powiedział, kiwając głową z politowaniem.

– No, no... – pogroziła pani Stasia.

Chwila ciszy. Niezręcznie.

– To ja może pójde Edmunda poszukać... – zaproponowałem nieśmiało.

– Tak, tak – odparł pan Henryk – idź, idź...

Jakoś dziwnie się czułem. Ten pisk... I w ogóle... Jakby nie ja, tylko ktoś inny... tam biegł... Tylko po co... A raczej dlaczego...

„Ale najważniejsze to znaleźć Edmka” – pomyślałem.

Wchodziłem więc do góry po schodach – na strych. Jakiś dziwny zapach towarzyszył mi od wejścia... Jakby róże usiane gdzieś po kątach, zaczęły nagle mocniej i silniej wydzielać swój zapach... Dziwny on był... Podobny do woni odświeżacza – takiego do kibla... Długo zastanawiałem się nad tym tajemniczym pachnidłem. Tym bardziej, że wachając je odczuwałem dziwne przerażenie. Róże zaczęły działać jak kawa. Serce waliło gdzieś w środku, zmysły wytężyły się, oddychać było coraz trudniej. Jakby demon złośliwy usiadł na piersi i zaczął ścisnąć, dusić. Chciałem uciec, nie czułem się tam bezpiecznie. Byłem rozdzielony na pół, jak wtedy, kiedy okropny pisk zagościł w moich uszach. Nie wiedziałem, czy brnąć dalej, czy zawrócić... Zapach na pozór przyjemny doprowadzał mnie do szaleństwa, chociaż... Chociaż wiedziałem, że szaleć nie trzeba...

Rozdygotany wchodziłem jednak po schodach i wspinałem się wyżej i wyżej – naprzeciw sobie.

Smród ustał. Ogarnęła mnie ciemność – prawie zupełna. Tylko parę pasków zakurzonego światła padało na drewniane ściany. Po lewej stronie od wejścia znajdował się włącznik. Wcisnąłem go. Ujrzałem wtedy kompletny rozgardiasz, bałagan, chaos. Wszystko było we wszystkim, na wszystkim, obok wszystkiego, przed wszystkim i za wszystkim. A w chaosie tym dziko krzyczała wielka, mahoniowa szafa dwudrzwiowa. „Aż chciałoby się zajrzeć” – pomyślałem wtedy.

Skręciłem w prawo, rozglądałem się, mierzę każdą ścianę i... tam w rogu... Edmek... Edmuś... Edmund... on... on... on wisiał. Dyn-dał na sznurze konopnym. Spokojny. Nieco błady. Jeszcze ciepły. Odczułem dziwność. Nie strach, nie żal, ale... dziwność. Ekscentryczność powieszenia na tyle mnie przejęła, że nie byłem w stanie odczuwać nic innego poza zdziwieniem... Edmek dyndał... Doprawdy... Był spokojny... I wisiał... Osobliwą ekscentryczność poczynił... Postanowił wisieć...

Po kilku minutach podziwiania wiszącego Edmunda, zauważyłem na jego białej koszuli krew. Widniała po mojej prawej, a po jego lewej stronie. Jakby z serca trysnęła...

„Co ten Edmuś... Zwariował...” – pomyślałem.

Nagle usłyszałem stukanie. Przeraziłem się oczywiście, bo myślałem, że to jego rodzice idą. A ja tu z Edmundem... On wisi, a ja podziwiam... To jakieś nienormalne.

Walenie nie ustawało. Było coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie ucichło... I wybuchło! Ale nie byli to rodzice. W ogóle nie zza drzwi hałas dochodził, ale z szafy... Z szafy, z której wyszedł starszy pan! Na szyi miał sznur konopny, przecięty, a na jego białej koszuli, po mojej prawej, a po jego lewej stronie, widniała krew. Jakby z serca trysnęła... Mordę miał bladą, wysmarowaną apatią, nieruchawą. Nic nie mówił, na nic nie zwracał uwagi, tylko podszedł do Edmunda i zaczął mówić:

– Wnusiukochany...

Niespodziewanie Edmek ożył – otworzył oczy, zaczął oddychać. A wyraz jego twarzy podobny był do wyrazu twarzy zjawy.

Duch odciął sznur, na którym wisiał jego wnuczek i... w tamtej chwili uderzyło mnie ich podobieństwo. Razem z zakrwawionymi koszulami, razem ze sznurami, razem w melancholii...

– Edmuś, wybacz – powiedział starzec, a twarz jego w grymas przeszła i załamawszy ręce, wtuliwszy w nie facjatę, gorzko zapłakał.

Edmund wpatrywał się gdzieś przed siebie. Wzrok miał nieruchomy, a twarz jego była jakby z kamienia.

Cisza...

Cisza...

Cisza...

Nagle ostro wciągnął powietrze i zaczął śpiewać:

„Starcze mój starcze, cóżem ci uczynił
W czymem zasmucił, albo w czym zawinił.
Jam ciebie kochał i świeczki ci palił,
a ty żeś na mnie swoje grzechy zwałił.

Starcze mój starcze, cóżem ci uczynił
W czymem zasmucił, albo w czym zawinił.
Jam ciebie nie znał, boś umarł za wczasu,
A ty żeś na mnie wylał tyle kwasu.

Starcze mój starcze, cóżem ci uczynił
W czymem zasmucił, albo w czym zawinił.
Ja wiem już teraz, żeś ty nieświadomie
uczynił zło to, więc wybaczam tobie”.

Odśpiewawszy pieśń przytulił dziadka, a ja uklęknąłem.

